

UN
ZN

CÓRKA OLIGARCHY

KATARZYNA MAK

Na wszystko przychodzi odpowiedni czas.
Zwłaszcza na prawdę...

LU
NA

CÓRKA OLIGARCHY

KATARZYNA MAK

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Copyright © by Katarzyna Mak

Copyright © by Wydawnictwo Luna, imprint Wydawnictwa Marginesy 2023

Wydawca: NATALIA GOWIN

Redakcja: MALWINA KOZŁOWSKA

Korekta: JOLANTA KUCHARSKA, IRENA PIECHA / e-DYTOR

Projekt okładki i stron tytułowych: MACIEJ SZYMANOWICZ

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Skład i łamanie: MACIEJ SZYMANOWICZ

Warszawa 2023

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67674-06-5

Wydawnictwo Luna

Imprint Wydawnictwa Marginesy Sp. z o.o.

ul. Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwoluna.pl

facebook.com/wydawnictwoluna

instagram.com/wydawnictwoluna

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Bo samotność jest najgorszym,
co może człowieka spotkać w życiu...*

PROLOG

Później...

LEO

Naprawdę nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Sytuacja zaczyna mnie przerastać. Miałem plan. Układałem go latami. Był dopracowany w każdym detalu, a teraz żaden element mojej strategicznej układanki zupełnie nie pasuje do reszty. Oczywiście nadal pragnę jej nienawidzić. Zupełnie jak wtedy, zanim ją poznałem, kiedy tylko ją sobie wyobrażałem. Gdy zastanawiałem się, jaka jest, co lubi robić, a czego nie; gdy wyobrażałem sobie, że ją pieprzę, zaciskając palce na jej gardle. Ale teraz, z każdym kolejnym dniem, z każdą upływającą godziną i minutą ta nienawiść słabnie. W zachowaniu Soni widzę bowiem coś, na co nie byłem przygotowany. A może tylko to sobie wyobraziłem? Przecież Sonia nie mówi niczego wprost, a ja nawet nie zadaję pytań. Żyję jednak dość długo, by mieć absolutną pewność, że ona również jest ofiarą tego psychologa... Swojego ojca.

Zupełnie nie wiem, co robić. Wiem tylko tyle, że Sonia, córka oligarchy, którego tak nienawidzę, jest zarówno ofiarą, jak i katem w tej samej skórze.

SONIA

Wish I could, I could've said goodbye

*I would've said what I wanted to
Maybe even cried for you
If I knew it would be the last time
I would've broke my heart in two
Tryin' to save a part of you
Don't wanna feel another touch
Don't wanna start another fire
Don't wanna know another kiss
No other name fallin' off my lips
Don't wanna give my heart away
To another stranger
Or let another day begin
Won't even let the sunlight in
No, I'll never love again
I'll never love again, oh, oh, oh, oh^[1].*

– Ty płaczesz? – Leo odsuwa się ode mnie nieznacznie i mi się przygląda.
Wciąż poruszamy się w tańcu, ale on teraz na mnie patrzy.

Zaczynam żałować, że namówiłam go na to wyjście. Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że miałam dość życia w klatce. Chciałam znów poczuć się wolna. Choćby na krótką chwilę. I wreszcie czuję tę swoją upragnioną wolność, a kolacja i tańce to jej część. Można by rzec, że zachowuję się jak dawniej. Tylko ta cholerna piosenka mnie rozczuliła. Jej słowa...

Chryste, już dawno niczym się tak nie wzruszyłam.

– Nie – zaprzeczam szybko. – Coś mi wpadło do oka.

Oczywiście nie mogę wyznać mu prawdy. Nie chcę, żeby stał się świadkiem mojej niemocy. Nigdy nie byłam słaba i nie chcę za taką uchodzić. Zwłaszcza w jego oczach.

ROZDZIAŁ 1

Kilka tygodni wcześniej...

LEO

Patrzę na wijącą się w tańcu dziewczynę. Jest piękna. Ciemne i długie, sięgające pośladków włosy, ładna i chyba niezeszpecona zabiegami medycyny estetycznej buzia, choć usta są dość wydatne. Reszta wygląda jednak bez zarzutu, naturalnie, co ostatnimi czasy widzi się raczej rzadko. Poza tym dziewczyna ma długie, sięgające aż po szyję nogi, smukłą talię i fajne piersi, choć osobiście preferuję nieco większe rozmiary. W tym czarnym topie ze złotą aplikacją Calvina Kleina prezentują się jednak naprawdę zachęcająco. Poza tym laska jest rzeczywiście cholernie seksowna. Jej kształtne pośladki opina czarna, krótka skórzana spódniczka. Całości dopełniają złote, niebotycznie wysokie szpilki. Wyglądają na drogie, jakby kosztowały co najmniej kilkanaście tysięcy... dolarów. Cóż, całkiem prawdopodobne, że faktycznie tak jest.

Przez moment zastanawiam się nad zamówieniem czegoś mocniejszego, ale uznaję, że lepiej zachować trzeźwość, i biorę piwo. Mam do zrealizowania plan, który wymaga ode mnie wyjątkowej ostrożności, a jak wiadomo, zdecydowanie lepiej myśli się z czystą głową.

Ponownie zerkam na parkiet. Dziewczyna wiruje w tańcu wraz z kilkoma bawiącymi się z nią laskami. Tańczą w grupie, kręcą biodrami, uśmiechają się. Ona również; sprawia wrażenie naprawdę wyluzowanej.

Kolejny raz muszę przyznać, że zdecydowanie lepiej wygląda na żywo niż na zdjęciach. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, wziąłem ją za typową kujonkę. Na tamtych kilku fotografiach sprawiała wrażenie zbyt poważnej jak na swój wiek. Miała na nosie okulary w czarnych oprawkach i ciasny, wysoki kok na czubku głowy. Nie jestem może szczególnie znawcą, ale wydawało mi się, że dwudziestoparolatki na ogół wyglądają inaczej. Pewnie dlatego pomyślałem wówczas, że za taką przykładną pannicę pragnie uchodzić w oczach ojca. Łatwiej odgrywać przykładną córeczkę tatusia, niż być nią w rzeczywistości. A jeśli rzeczywiście jest nudziarą? W końcu do niedawna studiowała medycynę...

Pani doktor.

Teraz jednak, im dłużej na nią patrzę i przyglądam się jej w tańcu, dochodzę do wniosku, że może to być kwestia nudziarskiego wyglądu. Okulary może nosić tylko dla szpanu, jak większość młodych kobiet, które maniakalnie wrzucają selfie na Instagrama. Jak dla mnie – to zupełnie bez sensu, ale nie zamierzam tym sobie zaprzętać głowy. Być może jestem za stary, by zrozumieć pewne sprawy. Nie mam już przecież dwudziestu lat.

Pociągam kolejny łyk piwa. Widzę, jak do tańczących dziewczyn podchodzi chłopak – towarzysz jednej z nich. Przynosi im drinki ze słomką, czym wzbudza we mnie pewne podejrzenia. Alkohol z reguły pija się przy barze, przy stoliku lub w wynajętej łoży, a nie na środku parkietu. Może się mylę, ale na moich oczach prawdopodobnie dochodzi do przestępstwa. Nie powinienem jeszcze reagować, ale postanawiam wzmóc czujność. W końcu to leży w zakresie moich służbowych obowiązków. To moja praca.

Obserwuję rozwój wydarzeń. Udaję, że sącę piwo, choć zupełnie straciłem na nie ochotę. Tymczasem dziewczyny chętnie sięgają po wysokie szklanki. Tylko długowłosa brunetka odmawia. Uśmiecham się nieznacznie i lekko kiwam głową z uznaniem, nie spuszczać wzroku z obiektu mojego zainteresowania. W klubie jest głośno, ale siedzę na tyle blisko bawiących się dziewczyn, że udaje mi się dosłyszeć strzępki ich rozmowy. Brunetka po raz kolejny odmawia chłopakowi, który ją nagabuje. Twierdzi, że już

sporo wypła, a jutro ma dyżur. Ale jej kolega wydaje się bardzo przekonujący.

– No nie daj się prosić. To ostatni, przysięgam. – Bije się w pierś. Uśmiecha się do niej i podsuwa jej drinka ze słomką.

Brunetka przewraca oczami i ulega.

– Okej, ale to już naprawdę ostatni. A potem odwieziesz nas do domu.

– Się wie! – odpowiada koleś jak dla mnie zbyt radosnym tonem, a potem czeka, jakby chciał się upewnić, czy dziewczyna na pewno wypije alkohol.

Brunetka niemal duszkiem opróżnia zawartość szklanki. Postępuje mało rozsądnie, sama się prosi o kłopoty. Sądziłem, że takie jak ona są rozważniejsze.

Idę za nimi niezauważony. Ten wychuchany typek i kilku jego kolegów wyglądających na majątnych paniczyków wyprowadzają pijane dziewczyny z klubu. Wśród nich jest także brunetka, której dziś mam strzec. Dostałem jasne wytyczne: „Pilnuj jej, ale nie przesadzaj z ochroną. Obserwuj, ale nie bądź nachalny. Bądź tuż za nią, ale się nie narzucaj”.

Obserwuję więc.

Każdy z mężczyzn prowadzi swoją *zdobycz*. Jest ich ośmioro. Czterech chłopaków i cztery dziewczyny. Z pozoru wyglądają na zwyczajne pary. Chłopcy tulący swoje dziewczyny, które przesadziły z alkoholem, zwłaszcza w takim miejscu, to żaden nadzwyczajny widok. Ale nie dla mnie. Ja jestem pewien, że to pułapka.

Zachowując dystans – kryję się za jednym z aut terenowych – nie spuszczam ich z oka. Podchodzą do samochodu. Jest pięcioosobowy. Zachodzę więc w głowę, jak się w nim zmieszczą. Kiedy jeden z mężczyzn otwiera tylne drzwi, na parkingu zjawia się jakaś przypadkowa kobieta. Zagaduje ich, a ja wyteżam słuch. Nieznajoma pyta, czy wszystko w porządku. Mężczyzna zapewnia ją, że w najlepszym, po czym namiętnie całuje brunetkę.

Według mnie robi to zbyt ostentacyjnie, ale czarnoskóra kobieta w średnim wieku, która jeszcze kilka sekund temu zainteresowała się pijanymi dziewczynami, mruczy coś pod nosem, a następnie odchodzi. Dała się nabrać.

„Szkoda – myślę. – Gdyby niektórzy ludzie byli trochę bystrzejsi i w porę reagowali, można by uniknąć wielu nieszczęść”.

Nie analizuję tego dłużej, tylko obserwuję rozwój wypadków. Mężczyźni, korzystając z okazji, że chwilowo na parkingu nie ma żywej duszy, wpychają dziewczyny na tylne siedzenie i szybko zatrzaskują drzwi. Samochód ma przyciemniane szyby, więc teraz już nikt niczego nie zauważy. Poza tym dziewczyny najpewniej całkiem straciły kontakt z rzeczywistością, bo nie protestowały. Patrzą jeszcze, jak dwóch mężczyzn wraca do klubu, a pozostali dwaj siadają z przodu i odjeżdżają.

Rozglądam się i sprawdzam teren. Jest czysto. Jeszcze raz upewniam się, czy nikt mnie nie obserwuje, a następnie wskakuję do swojego auta i ruszam za nimi.

Tak jak przypuszczałem, chłopaki nie mają czystych zamiarów. Opuszczają ściśle centrum i docierają na peryferie Londynu. Spodziewam się, że za chwilę moim oczom ukaże się jakiś podejrzany motel, w którym za pieniądze można kupić nawet milczenie, i... się nie mylę. Auto zatrzymuje się przed ciągiem parterowych baraków. Ja parkuję znacznie dalej. Nie mogą mnie zobaczyć, jeszcze nie teraz.

Wyskakuję z samochodu i ukrywam się za jednym z drzew. Tylne drzwi tamtego auta otwierają się i jedna dziewczyna wypada na chodnik. Chyba jest nieprzytomna. Nie wiem nawet, czy żyje, ale w zasadzie nie obchodzi mnie to aż tak bardzo. Nie po to tu przyjechałem, żeby niańczyć którąś z tych pustych panius. Jestem tu, bo moim zadaniem jest dziś chronić *obiekt*, a ten nadal znajduje się we wnętrzu pojazdu. Na nikim innym mi nie zależy.

Widzę, że jeden z chłopaków podnosi nieprzytomną laskę, a potem bierze ją na ręce i niesie w stronę baraku. Drugi w tym czasie zajmuje się jej

koleżanką. Na moment mężczyźni znikają w pokoju motelowym, więc zastanawiam się, czy nie byłoby prościej podkraść się do samochodu i po prostu zwinąć stamtąd *obiekt*. Ale coś każe mi zostać. Nie wiem, może zrobiło mi się żal pozostałych trzech naiwnych lasek? A może nie pozwalają mi na to resztki przyzwoitości? Zabierając tylko jedną z dziewczyn, skazałbym pozostałe na łaskę tych młodych oprychów...

Mężczyźni wracają naprawdę szybko. Wyciągają z auta pozostałe dwie dziewczyny, w tym mój *obiekt*, a następnie znikają za drzwiami lokum. Dostrzegam, że światło, które wcześniej paliło się w przedsionku, zgasło. Po chwili jednak znów rozbłyska mdła poświata. Żeby zorientować się w sytuacji, muszę szybko znaleźć się po drugiej stronie budynku, gdzie zapewne znajdują się strefa tarasowa i ogród dla gości. Mam rację, a do tego szczęście mi sprzyja, bo te olbrzymie bukszpany, które mają zapewniać prywatność mieszkańców, naprawdę zbyt długo nie były traktowane nożycami ogrodowymi. Dzięki temu i ja staję się prawie zupełnie niewidoczny.

Przedzieram się przez gęsty zielony mur i spoglądam w okna, w których rzeczywiście pali się światło. Dostrzegam zarysy postaci. Podchodzę bliżej. Widzę, że na łóżku leżą dwie dziewczyny, więc kolejne dwie, a właściwie ich *zwłoki*, lądują na podłodze i na fotelu. Na tym ostatnim spoczywa mój *obiekt*.

Wyjmuję spluwę. Chcę być gotowy do działania. Oczywiście mógłbym tam pójść i zakończyć to od razu, ale wolę jeszcze trochę poczekać. Mam w tym pewien interes. Poza tym życie mnie nauczyło, że nie należy się zbyt szybko spieszyć.

Patrzę, jak tych dwóch typów zdejmuje ubrania z leżących na łóżku dziewczyn. Obie nie dość, że są pijane, to chyba jeszcze nafaszerowane jakimś gównem, bo nadal kompletnie nie reagują. Nie stawiają żadnego oporu, gdy ich *koledzy* rozbierają je do naga. Kiedy kończą, sami się rozbierają i od razu przystępują do zabawy. Obserwuję z odrazą, jak rozchylają im usta, a potem wpychają swoje nabuzowane kutasy prosto do ich gardeł. Laski nawet nie reagują, a chłopaki przybijają sobie piątki i zaczynają je pieprzyć.

„Kurwa – przeklinam w myślach. – To chore. To tak, jakby zabawiać się z trupem”.

Nie jestem zwyrodnialcem; zastanawiam się, czy tego nie przerwać. Powstrzymuję się jednak. Muszę wykonać plan, choć do niedawna wyglądał zupełnie inaczej. Stoję więc za oknem i tylko się przyglądam.

Jeden z chłopaków zmienia pozycję. Opuszcza rozchylone usta swojej ofiary i podchodzi do niej z drugiej strony. Zsuwa ją na brzeg łóżka, a potem unosi jej nogi, kładzie je sobie na ramionach i wchodzi w nią. Dziewczyna zdaje się poruszać – jej pokaźny biust faluje pod wpływem jego ruchów – ale ja wiem, że nadal jest nieprzytomna. Jestem też przekonany, że jutro nic nie będzie pamiętała. Jak każda z nich. Bez wyjątku.

Przenoszę wzrok na drugiego typka. On także wyjmuje swojego fiuta z ust nieświadomej blondynki. Pewnie za moment zacznie się zabawiać w podobny sposób jak jego kolega, ale nagle zmienia obiekt zainteresowania. Bierze kutasa do ręki, masuje go, po czym podchodzi do leżącej na fotelu brunetki. Na moment wstrzymuję oddech. Nie wiem, co robić. Czekać czy działać? Decyduję się na opcję numer jeden, choć odruchowo przeładuję broń. Czuję buzującą w żyłach adrenalinę, która miesza się z dziwną obawą. Patrzę, jak koleś zbliża przyrodzenie do twarzy brunetki. Bezszelestnie postępuję więc parę kroków do przodu, ale nadal pozostaję w ukryciu. Na szczęście gówniarz nagle rezygnuje z pomysłu wetknięcia swojego członka do ust brunetki i zamiast tego zaczyna ją rozbierać. Znow wstrzymuję oddech, a tętno mi przyspiesza. Widzę, że zaczyna od stóp. Pozbywa się jej szpilek, odrzuca je za siebie.

„Dziwne – myślę. – Do nekrofila i zbrojeńca mi daleko, ale gdybym był na jego miejscu, zostawiłbym buty. Kobiece stopy w szpilkach oparte na ramionach to całkiem podniecający widok...”

Ale nie jestem na jego miejscu, a dziewczyna, z której ten oprych właśnie zdejmuje kolejne części ubrania, jest jedynie... moim *obiektem*. Pozostaje mi zatem działać. Zemsta przecież smakuje tak słodko.

Kiedy *obiekt* jest już zupełnie nagi, zbliżam się do drzwi balkonowych, które są uchylone. Wolną ręką sięgam po telefon, uruchamiam kamerę i za-

czynam nagrywać.

„Niezły fuksiarz ze mnie – myślę z satysfakcją. – Obejdzie się bez hałasu tłuczonego szkła”.

Popycham ostrożnie jedno ze skrzydeł i zupełnie niezauważony wchodzę do środka. Przez moment stoję jeszcze za ciężką kotarą i obserwuję rozwój wydarzeń. Chłoptaş stojący przy *obiekcie* znów bierze kutasa do ręki. Pociera go i porusza biodrami. Następnie klęka obok fotela i zsuwa dziewczynę, która zaczyna mamrotać. Nie jestem pewien, czy to jej bełkotliwy, aczkolwiek protestujący głos powoduje, że zaczynam kontaktować, ale tak właśnie się dzieje. Chowam telefon i wpadam do środka, a następnie kolbą pistoletu walę zdezorientowanego zboczeńca. Upada jak długi na podłogę, wprost pod moje nogi. Nie zamierzam go zabijać, ale tego drugiego niestety już muszę. Na mój widok odskakuje bowiem od nieprzytomnej dziewczyny, którą jeszcze sekundę temu posuwał, i sięga do swoich spodni, które leżą na łóżku. Nie jestem pewien, czy ma broń, ale nie mam ochoty się o tym przekonywać. Typek otrzymuje precyzyjny strzał prosto w głowę, więc szybko dołącza do leżącego na podłodze ogłuszonego kolegi. Spoglądam na swój *obiekt*. Porusza się, ale nadal ma zamknięte oczy. Chyba zaczyna kontaktować, bo nieudolnie próbuje złączyć uda, choć nie ma na to dość siły, i tylko porusza palcami rąk. Zamierzam jej pomóc, ale najpierw z kieszeni spodni jednego z gwałcicieli wydaję telefon i dzwonię na numer alarmowy, po czym podaję jedynie adres. Przecież nie mogę w takim stanie zostawić pozostałych trzech dziewczyn. Czy mam wyrzuty sumienia, że nie pomogłem im wcześniej? Tak, bo pomimo że przez lata karmiłem się nienawiścią, nie zamieniła mnie ona w potwora.

To nieodpowiedni moment, żeby ubierać brunetkę, więc przekładam *obiekt* przez ramię, a potem ruszam do wyjścia. Nie mam zbyt wiele czasu, więc nie silę się na dyskrecję i wychodzę głównymi drzwiami.

Z oddali słyhać już syreny, muszę się pospieszyć.

SONIA

Jestem zła na ojca, że tak mnie kontroluje, choć w pewnym sensie nawet go rozumiem. Wiem, że chce mnie chronić, ale nie pojmuję, dlaczego skazuje mnie na takie życie. Od zawsze decydował o wszystkim. Wybierał mi przyjaciół, szkoły, a czasem nawet ciuchy, w jakie mam się ubrać. Działo się tak na ogół wtedy, kiedy do naszego domu miał przyjść jakiś ważny gość. Wówczas ojciec chwalił się mną. Dosłownie. Nie czułam się jego ukochaną córeczką, jak miewał w zwyczaju mnie nazywać, ale jak trofeum. Tak, to właściwe określenie. Byłam jego trofeum, zdobyczą, którą szczylił się przed innymi. Pamiętam, że ledwie skończyłam pięć lat, a on przed ludźmi z branży przedstawiał mnie jako przyszlą, niezwykle cenioną i bezwzględną panią doktor. Wtedy jeszcze nie rozumiałam znaczenia jego słów, a gdy podrosłam, ostatnie z tych zapadających w pamięć określeń brałam za zwykłe przejęzyczenie. Dopiero po latach odkryłam, co ojciec miał na myśli... Oczywiście kiedy to do mnie dotarło, próbowałam mu wytłumaczyć, że nie zamierzam spełniać jego oczekiwań, ale ojciec był naprawdę godnym przeciwnikiem. A kiedy mu się stawiałam, umiał sprowadzić mnie do parteru. Odcinał mnie od kasy, czasem nawet groził. Tak, był w tym naprawdę *dobry*. Pewnego razu powiedział mi wprost, że jeśli nie będę robiła tego, czego on chce, skończę jak moja matka. Nie poznałam jej, ale to i owo o niej słyszałam. Jak się okazało po latach – więcej niż powinnam.

Krojenie zwłok nie jest moją ulubioną czynnością, ale czego nie robi się dla ojca. Zwłaszcza *takiego* ojca.

Patrzę na młodą kobietę leżącą na metalowym stole. Ma góra trzydzieści lat. Jej życie nagle zgasło niczym płomień świecy zdmuchnięty przez silny poryw wiatru. Zanim wezmę do rąk skalpel, przyglądam się jej. To blondynka. Ma, a raczej... miała ładną sylwetkę. Zgrabna, o długich nogach i ładnie umięśnionych łydkach, co może świadczyć o tym, że lubiła chodzić w szpilkach. Kobieta ma też smukłe ramiona i piękne dłonie, z niezwykle długimi, idealnymi palcami, stworzonymi do gry na fortepianie albo innym instrumencie. Przyglądam się jej uważniej i zastanawiam się przez chwilę,

czy rzeczywiście grała. Zaraz potem porzucam te rozważania, choć nie przeczę, że kiedy poddaję analizom tak przyziemne sprawy, na ogół jest mi trochę łatwiej pracować. Zanim dotknę ostrzem skalpela jej zimnej, bladej skóry, jeszcze raz oceniam jej ciało. Kobieta ma piękny, dość okazały biust. Ja, odkąd zaczęłam dojrzewać, stale zazdroszczę dziewczynom hojniej obdarzonym przez naturę. Niestety szczęście mi nie dopisało i noszę raptem siedemdziesiąt pięć B. Moje koleżanki żartują ze mnie; mówią, że mój biust wcale nie jest najmniejszy. Lola, którą przezywamy Lolitką, a która ma ogromne balony, sugeruje, że powinnam go sobie powiększyć. Fakt, stać mnie na to, ale jednocześnie wiem, że taki zabieg wiąże się z ryzykiem. Nie robię więc nic, staram się jedynie zaakceptować siebie. Poza tym facetom, z którymi czasem sypiam, rozmiar moich piersi jakoś specjalnie nie przeszkadza, więc nie zamierzam tego zmieniać. Nic na siłę.

Zerkam na twarz denatki. Pomimo kilku głębszych zmarszczek i nienaturalnej bledości skóry nadal jest piękna. Ma mały zadarty nos, owalną, symetryczną twarz i ładne usta. Unoszę wargę; pokryte bondingiem zęby też są w porządku, w nienaruszonym stanie. Widywałam już różne uzębienie. Z reguły zaglądam w usta denatów; dokładne oględziny bardzo pomagają mi potem w pracy.

Czas na waginę. Cóż, każda niby taka sama, ale na swój sposób inna. Wagina tej kobiety nie wyróżnia się niczym od tych, których stan oceniałam, ale resztki wypływającego z niej nasienia świadczą o tym, że na chwilę przed śmiercią uprawiała seks. Do mnie należy sprawdzenie wszystkiego i ustalenie, co było przyczyną zgonu, zwłaszcza że ciało nie nosi żadnych śladów dowodzących przemocy. A i takie widziałam. Nieraz.

Po pobieżnej ocenie zatapiam skalpel w klatce piersiowej zmarłej kobiety. Mam nadzieję, że za chwilę dowiem się, jak umarła.

A więc to był zawał.

„Dziwne – myślę w duchu. – Rzekomo nigdy nie chorowała na serce”.

Próbki krwi, które pobrałam do analizy, miały rozwiać moje wątpliwości i potwierdzić przypuszczenia. Według mnie – ktoś ją otruł. To była całkiem możliwa hipoteza. Blondynka wykonywała bowiem najstarszy zawód świata i obracała się w bardzo niebezpiecznym towarzystwie. A tam panują zupełnie inne reguły niż w normalnej rzeczywistości. Znam się na tym...

Potrzebuję rozrywki. Ale wcale nie chodzi mi o faceta – nie mam ochoty na seks. Chcę się jedynie napić, rozerwać. Najlepiej w klubie, na parkiecie. Muszę zapomnieć...

To jednak nie widok prostytutki tak mnie przeczłgał emocjonalnie. Kiedy miałam już opuszczać prosektorium, przyniesiono zwłoki dziecka. Chłopiec miał raptem trzy lata. Według oficjalnej wersji „ugotował się”. Żywcem. Jego ojciec zapomniał o nim i zostawił go w nagrzanym samochodzie. Gdy się zorientował, co nieumyślnie spowodował, zastrzelił się.

Nie wierzę w takie brednie. Zbyt wiele już widziałam, za dużo wiem. W końcu pochodzę z takiego samego świata co rzekomy samobójca.

Nie jestem pieprzonym mięczakiem i nie płaczę bez powodu, ale ten jeden raz nie potrafię się powstrzymać i łkam nad losem tego biednego dziecka.

Alkohol potrafi działać cuda. Wreszcie czuję totalny luz. Tego było mi trzeba. Piję i tańczę. Tańczę i piję, słuchając muzyki i chichotu towarzyszących mi koleżanek. Patrzę na bawiących się wokół ludzi. Jest mi dobrze. Młody Iwanow trochę mi się narzuca, ale przywykłam. Ten młokos – chłopak ma dwadzieścia sześć lat, czyli dokładnie tyle samo co ja, a zachowuje się jak gówniarz – wciąż namawia mnie do picia, choć ja mam już dość. W końcu ulegam jego namowom. Ostatni raz. A potem wrócę do domu – to postanowione.

ROZDZIAŁ 2

LEO

Moja dobra passa zdaje się nie mieć końca. Kiedy wyjeżdżamy z parkingu, a potem oddalamy się na tyle, że wreszcie mogę wyjąć z kieszeni telefon i zadzwonić, szybko dowiaduję się czegoś, przez co muszę zupełnie zmienić dotychczasowy plan. Czy jestem z tego powodu zadowolony? Ciężko powiedzieć. Ale muszę przyznać, że na pewno robi się ciekawiej.

– Liczę, że masz dziewczynę? – słyszę w słuchawce.

Danił wydaje się mocno zaniepokojony.

– Tak – rzucam jedynie, zerkając przez ramię na nagie, wciąż bezwładne ciało leżące na tylnym siedzeniu.

– Na nadbrzeżu, w porcie, zacumowany jest jacht – informuje mnie człowiek Vasiljewa. – Odnajdź „Typhona” i niezwłocznie wypłyńcie z portu. To polecenie samego szefa.

„Polecenie samego szefa – powtarzam w myślach. – Szkoda, że nikt nie zapyta, czy w ogóle umiem sterować tym dziadostwem”.

Na szczęście mam doświadczenie i w tej dziedzinie. Niemniej to nie rozkaz samego szefa tak bardzo mnie dziwi. Nie umiem pojąć jednego: Czy stary Vasiljew ma pełną świadomość tego, co spotkało jego córkę?

Postanawiam się tego dowiedzieć. Wkrótce. Teraz, żeby nie wzbudzać podejrzeń, muszę należycie wykonywać wszystkie polecenia i rozkazy.

– Mówisz poważnie? – pytam, udając zaskoczonego, a nawet nieco niepewnego.

Chcę zyskać przewagę, choćby za cenę tego, że ktoś uzna mnie za nieudacznika. Nie liczę się ze zdaniem innych. Wiem, jak jest naprawdę.

– A słyszysz, żebym się śmiał? – warczy Danił. – Wypłyn z Londynu. Kieruj się na zachód. I czekaj na dalsze instrukcje.

Nie zamierzam z nim dłużej polemizować, bo w zasadzie taki obrót sprawy jest mi na rękę.

Kiedy docieramy do portu, gaszę silnik i obracam się jeszcze raz w stronę nagiej dziewczyny. Wiem, że ostatnie, co powinienem do niej poczuć, to żal. Ale nagle, widząc ją w tym stanie, naprawdę zaczynam się nad nią litować. Zdaję sobie sprawę, że Sonia Vasiljew to ostatnia kobieta, która na to zasługuje, ale te emocje są silniejsze ode mnie.

Wysiadam z samochodu, obchodzę go, a potem otwieram tylne drzwi. Krucha, choć naprawdę wysoka brunetka porusza się. Zastanawiam się, czy znów zaczyna kontaktować, czy kompletnie odpłynęła. A jednak po raz kolejny daje oznaki życia. Czy może to wiejący od strony wody wiatr sprawia, że jest jej zimno?

Pewnie jestem głupcem, ale na myśl, że może być jej zimno, najpierw rozpinam, a potem zdejmuję koszulę i okrywam nią dziewczynę, zostając w podkoszulku. Wtedy ona mamrocze coś pod nosem, co utwierdza mnie we wcześniejszym przypuszczeniu, że dochodzi do siebie szybciej, niżbym się spodziewał, a nawet zdaje mi się, że próbuje stawiać opór, kiedy zaczynam ją ubierać. Nie ma jednak żadnych szans i moja koszula już po chwili łąduje na jej ramionach. Oczywiście jest za duża, ale przynajmniej odrobinę ochroni ją przed zimnem i spojrzeniami ludzi pracujących nocą w porcie. Zaraz po tym, jak zapinam kilka guzików, znów biorę kobietę na rękę. Tym razem jednak, nie chcąc wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń, nie niosę jej jak jaskiniowiec, na ramieniu, a trzymam na rękach, tuląc do piersi. W opinii ludzi, na których z pewnością tu wpadniemy, będziemy niczym para kochanków, chociaż prawda jest zgoła inna.

Przepląnąłem przez kanał La Manche. Jeszcze tylko Morze Celtyckie, a potem pełne wody Atlantyku i kurs na Portugalię. Dopiero tam mam otrzymać dalsze instrukcje.

Dopłynięcie do Lizbony zajmie mi pewnie kilka dni, więc zyskuję cenny czas, żeby pomyśleć, co dalej. Wciąż nie mam planu, ale wiem jedno: muszę wykorzystać nadarżającą się okazję najlepiej, jak to możliwe.

Kolejną godzinę stoję za sterem, kiedy w mojej kieszeni rozbrzmiewa dzwonek telefonu. Wiem, że to ktoś z *naszych*. Odbieram niechętnie, bo właściwie już nie mam ochoty z nimi gadać. Skoro nikt z ludzi Vasiljewa nie pofatygował się nawet do portu, żeby ocenić sytuację, a w dodatku teraz nikt nie siedzi nam na ogonie, to zamierzam stworzyć własny i przede wszystkim nowy plan działania.

Zerkam na wyświetlacz. To Dima Vasiljew. Jestem tego pewien, choć jak dotąd nie miałem z nim tej *niewątpliwej*, bezpośredniej przyjemności.

– Leo, słucham – rzucam do słuchawki.

– Masz moją córkę? – słyszę w odpowiedzi.

Ten stary kacap nawet nie omieszkał się przywitać. Cóż, jest bossem, a tacy nie liczą się z innymi. Zwłaszcza ludźmi, którzy dla nich pracują. Ci traktowani są jak zwykle śmieci.

– Jest ze mną – odpowiadam zdawkowo.

– Nic jej nie jest? – pyta, ale nim zdążę odpowiedzieć, dodaje: – To ty załatwiłeś tych gówniarzy?

Wydawało mi się, że tylko jednego, ale może rzeczywiście tego drugiego też niefortunnie wciągnąłem na listę. Mam twardą rękę. Jak widać, lata praktyki nie poszły na marne.

– Tak – odpowiadam.

– Jestem twoim dłużnikiem.

Nie to spodziewałem się usłyszeć, ale po raz kolejny dociera do mnie, że mam dziś *wyjatkowe* szczęście. Dla wielu byłoby niebywałym zaszczytem znaleźć się na tak szacownej liście. Ale nie dla mnie. Ja nie zamierzam tego wykorzystywać.

– Daj mi ją do telefonu – żąda Vasiljew.

– Obawiam się, że chwilowo nie jest to możliwe – mówię. – Czuję satysfakcję, kiedy po drugiej stronie wyczuwam niepokój. Sycę się tym, upajam. A to dopiero początek. – Pańska córka dostała jakieś świństwo – wyjaśniam po przedłużającej się chwili milczenia.

– Ale żyje?

– Tak. Myślę nawet, że do rana zupełnie się ocknie. Uważam jednak, że teraz powinna odpoczywać.

– Czy ci skurwiele jej... coś zrobili? – pyta nagle. Wydaje się szczerze zaniepokojony.

A to coś nowego. Prześwietliłem go wcześniej i sądziłem, że nie jest zdolny do wyższych uczuć.

Mam ochotę opowiedzieć mu ze szczegółami cały przebieg wydarzeń, a nawet lekko podkreślić pewne sceny. Myślę także, żeby przesłać mu nagranie, które nieświadomego widza może wprowadzać w błąd, ale postanawiam tego nie robić. Jeszcze nie teraz. Muszę zyskać na czasie.

– Proszę się nie martwić. Nic jej nie jest. Poza tym znajduje się w dobrych rękach – zapewniam, czując dziką satysfakcję.

Vasiljew mruży cicho. Nie mam jednak pojęcia, czy jest rozczarowany, czy zupełnie odwrotnie. Ale nawet jeśli jest niezadowolony, to widząc w sobie mojego dłużnika, nie mówi tego wprost. I dobrze, bo na razie nie chcę odsłaniać wszystkich kart. Jest na to za wcześnie.

– Opiekuj się nią – słyszę i obracam w palcach naszyjnik, który zdjąłem z jej szyi. Właściwie jeszcze nie wiem, czy mi się przyda, ale uznałem, że może być częścią mojego planu, więc postanowiłem jej go pozbawić. – I bądźcie ostrożni. Nie rzucajcie się w oczy. Popłyńcie do Lizbony. Tam

moi ludzie odpowiednio się wami zajmą – mówi, a po chwili dodaje: – Pamiętaj, że jestem człowiekiem honoru i umiem się zrewanżować.

„Nie wątpię. Ja również” – myślę.

Vasiljew oddaje słuchawkę Daniłowi. Ten rzekomo ma mi bardziej szczegółowo wyjaśnić, co robić dalej.

To właśnie od niego dowiaduję się, że gówniarze, którzy porwali Sonię Vasiljewównę, działali w zмовie z największym wrogiem jej ojca. Tych dwóch młokosów miało najpierw w możliwie najbardziej upokarzający sposób zgwałcić jego córkę, a potem ją zabić. Koleżanki Soni znalazły się tam przez przypadek, jak przystawka przed daniem głównym. Ale to ona, córka jednego z najbardziej wpływowych oligarchów, była celem.

Mnie za to powierzono jej bezpośrednią ochronę. W zatłoczonym klubie właściwie znalazłem się przez przypadek, tylko dlatego, że Boris poprosił mnie o zastępstwo. Pierwotnie to było jego zadanie – strzec córkę szefa. Ale poprzedniego dnia czymś się zatrul i kiedy poprosił, nie byłem w stanie mu odmówić. A precyzyjniej: nie posiadałem się ze szczęścia, że przyszedł z tym właśnie do mnie.

SONIA

Kręci mi się w głowie. Właściwie zdarzało mi się już niejednokrotnie przesadzić z alkoholem, ale tym razem czuję się naprawdę dziwnie. Zastanawiam się, czy to efekt stresu. Ten dzieciak... widok jego wnętrzości – nadal zbiera mi się na wymioty, kiedy o tym myślę, a do oczu napływają mi łzy. Naprawdę mnie to rozbiło.

Ojciec nie byłby ze mnie dumny. Gdyby dowiedział się, że jestem taka słaba, taka miękka, pewnie dałby mi reprimendę. Może nawet na pewien czas odciąłby mnie od kasy. Tylko po to, by wyrazić swoje niezadowolenie. Cóż, pewnie przez jakiś czas dałabym radę i bez tego, bo miałam jakieś oszczędności, ale na dłuższą metę nie byłabym w stanie funkcjonować bez jego pieniędzy. Utrzymanie apartamentu w luksusowej dzielnicy Londynu,

w którym mieszkałam, kosztowało krocie. Oczywiście zawsze mogłam wrócić do rezydencji ojca, ale to wydawało mi się kompletnie bez sensu. Chciałam być samodzielna, a pod jego dachem – wystarczyło, że jego ludzie wciąż za mną łazili, a w rodzinnym domu stale bym na nich wpadała – na pewno nie nabrałabym wiatru w żagle. Muszę więc dokończyć specjalizację i zacząć samodzielnie zarabiać. Mam tylko nadzieję, że to wystarczy, bo przywykłam do życia na dość wysokim poziomie.

I powinnam być twarda i posłuszna. Tak, właśnie tego ode mnie oczekuje ojciec. On nie lubi mazgajów, a za niesubordynację karze nawet śmiercią.

– Chyba mi niedobrze – mówi Wera, chwiejąc się na nogach.

Wyrывa mnie z zamyślenia. Już chcę jej powiedzieć, że ja również nie czuję się najlepiej, ale ona wówczas potyka się, a następnie łąduje w ramionach jakiegoś obcego faceta. Nie widziałam go wcześniej. Pojawił się znikąd. Próbuję do niej podejść, ale robię raptem dwa kroki, gdy nagle nogi odmawiają mi posłuszeństwa. A potem nastaje ciemność.

Słyszę głosy, nie wszystkie z nich poznaję. Ale jeden należy do Iwanowa – jestem tego pewna, bo znam go od dziecka i nie pomyliłabym go z żadnym innym. Dyskutuje o czymś z jakąś kobietą. I tuli mnie w ramionach. Nie mam dość siły, żeby go odepchnąć, bo nie jest mi w smak to jego obściskanie. Za każdym razem, gdy proponował mi spotkanie, ja mu odmawiałam. Z Antonem nic mnie nie łączy. Jest tylko moim dobrym kolegą, a właściwie był, w okresie wczesnego dzieciństwa. Teraz, oprócz *wspólnych interesów* naszych ojców, nie mamy żadnych powiązań. I żadne bliższe relacje nie wchodzi i nie będą wchodzić w rachubę. Ani teraz, ani nigdy.

Próbuję mu zatem powiedzieć, żeby mnie zostawił, ale wówczas łąduje na czymś miękkim, a po chwili robi się ciasno i duszno – chyba zaczyna mi brakować powietrza – i odpływam.

Nie mogę otworzyć oczu, ale wiem, że dzieje się coś niedobrego. Czuję na sobie dotyk. Nie podoba mi się, choć nie jestem nawet pewna, czy rzeczywiście ktoś mnie dotyka. Próbuję dźwignąć ciężkie jak z ołowiu powieki, ale ani drgną. Naprawdę nie wiem, co jest grane, a jednocześnie przekonuję się, że nie jest to nic dobrego.

ROZDZIAŁ 3

LEO

Z nastaniem świtu czuję ogromne zmęczenie. Zamierzam wyłączyć silnik i odpocząć. Najpierw jednak wypada zobaczyć, co u niej, jak się miewa mój *obiekt*.

Schodzę pod pokład. „Typhon” nie należy do najmniejszych jachtów, ale pomimo wielu wygod – przestronnej łazienki, znajdującej się obok kajuty przeznaczonej do odpoczynku i relaksu, a także dodatkowego jacuzzi na pokładzie czy olbrzymiej, świetnie wyposażonej kuchni i baru – ma tylko jedną sypialnię. Nie narzekam, bo to oszczędza mi kłopotu. Zamierzam bowiem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Rzucę okiem na mój *obiekt*, ocenię sytuację, a potem zwyczajnie zlegnę obok. Przecież nie będę spał na pokładzie. Łóżko to co innego niż kanapa. Poza tym na górnym pokładzie nie ma klimatyzacji, a w mojej ocenie słońce będzie dziś solidnie grzało.

Otwieram drzwi i patrzę na zwiniętą w kłębek, śpiącą w mojej koszuli na środku łóżka dziewczynę. Ma rozchylone usta i lekko zaróżowione policzki, a to oznacza, że zaczyna wracać do żywych. Musiałem przyznać sam przed sobą, że trochę mnie niepokoił widok jej nienaturalnie bladej skóry. Naprawdę wyglądała, jakby umarła. Gdyby nie miarowe tętno, pomyślałbym, że nie dożyje do rana. A przecież nie tego teraz chciałem.

Kładę się na brzegu łóżka, w ubraniu. Wiem, że powinienem najpierw wziąć prysznic, ale nie mam na to ani ochoty, ani nawet siły. Za sterem stałem calutką noc. Jestem wykończony. Przez moment patrzę jeszcze na śpiącą na wyciągnięcie ręki brunetkę. Teraz, w świetle dnia, wydaje mi się

jeszcze ładniejsza niż wczoraj. Dostrzegam, że ma szlachetne rysy. Mały, prosty nos, ładnie zarysowany owal twarzy, długa, łabędzia szyja i naprawdę wydatne usta, choć nadal nie jestem pewien, czy nie są zasługą chirurga plastycznego. Do tego wachlarz czarnych rzęs, rzucających cienie na jej idealnie wyrysowane kości policzkowe. Nie byłbym facetem, gdybym nie spojrział w dół, w stronę kilku niezapiętych guzików koszuli; podczas akcji w ogóle o tym nie myślałem. Teraz obejmowałem wzrokiem dość znaczący dekolt i krągłość jej małych, ale naprawdę kształtnych piersi. Tyłeczek też ma spoko – materiał koszuli był podwinięty na tyle, że mogłem podziwiać jej pośladki w całej krasie.

„Gdyby nie była *jego* córką – myślę, ziewając przeciągle. – Mógłbym się z nią nawet ostro zabawić”.

Musiałem być bardziej zmęczony, niż przypuszczałem, bo obudziłem się dość późno. Właściwie spałbym jeszcze, gdyby ze snu nie wyrwał mnie dziwny szmer. Początkowo zamierzam go zbagatelizować, ale kiedy nagle dociera do mnie, co oznacza, szybko otwieram oczy.

Vasiljewówna klęczy na brzegu łóżka i mierzy do mnie z mojej broni. Jestem zdezorientowany, może nawet wciąż śnię, ale jestem również pewien, że pistolet, który trzyma w trzęsących się dłoniach, należy do mnie. Musiała mi go wyjąć zza paska do spodni, kiedy spałem.

– Odłóż to – mówię po rosyjsku, a kiedy nie reaguje, dodaję w języku angielskim: – Odłóż, bo jeszcze zrobisz sobie krzywdę.

– Kim ty, kurwa, jesteś? – warczy i mruży gniewnie oczy. Nadal do mnie celuje.

Zaskakuje mnie, bo odpowiada po angielsku. Sądziłem, że córka rosyjskiego oligarchy raczej używa ojczystego języka. Pewnie w jego obecności musi.

– Odłóż broń – powtarzam. Czuję się niezbyt komfortowo, kiedy widzę jej minę i zaciskające się na pistolecie palce.

Wiele ryzykuję, ale siadam powoli na łóżku, a ona zaczyna wyraźnie panikować. To daje mi okazję, żebym ją zaskoczył. Spoglądam za jej plecy, zupełnie jakbym tam kogoś zauważył. Podziałało, bo zerka przerażona przez ramię. A mnie wystarczy ten ułamek sekundy. Rzucam się na nią i odbieram jej pistolet. Oczywiście próbuje mi to udaremnić, ale jestem od niej silniejszy, o czym zdaje się nie pomyślała. Obezwładniam ją, przewracając na plecy, i dłońią krepuję jej ręce nad głową, udaremniając ruchy. Zauważam blizny na obu nadgarstkach, ale w tej chwili nie zamierzam się nad tym zastanawiać, bo ona piszczy i rzuca się, choć przygniatam ją ciężarem własnego ciała. Ze mną nie ma żadnych szans. Wolną dłońią umieszczam pistolet za paskiem do spodni.

– Nie szarp się, a nic ci nie zrobię – próbuję mówić łagodnie.

Odruchowo przechodzę na polski, który znam doskonale, bo posługiwałem się nim przez lata, czym niewątpliwie zaskakuję dziewczynę.

Na myśl o przeszłości wzbiera we mnie gniew. Ledwie panuję nad żądzą. Patrzę na szyję Vasiljewówny. Jedną rękę wciąż mam wolną. I nadal mogę nie zdołać się powstrzymać.

– Puszczaj! – krzyczy i próbuje mnie kopnąć.

Dociskam ją mocniej do materaca, blokując biodrami jej uda.

Jest bardziej waleczna, niż przypuszczałem, bo nadal próbuje machać nogami, ale nie ma szans mnie trafić. Jest za słaba, a ja zbyt ciężki, żeby mnie odepchnęła na tyle mocno, by móc oddać mi cios.

– Puszczaj, zwyrolu! – wrzeszczy po polsku.

– Jak mnie nazwałaś? – pytam, nie dowierzając.

Ja, zwyrol? Większej głupoty w życiu nie słyszałem.

Nie odpowiada, a nawet sprawia wrażenie, jakby chwilowo skapitulowała, ale mogę przysiąc, że jak tylko ją puszcze, znów przystąpi do ataku.

Muszę przyznać, że nie doceniałem jej. Brałem ją za typową, rozpieszczoną, bogatą paniusię. A tymczasem okazała się prawdziwą kocicą. I niewątpliwie lubi pokazywać pazurki.

– Puszczę cię, ale najpierw ci coś pokażę – mówię, a kiedy znów mruży wściekle oczy, mam ochotę rozeźmiać jej się w twarz. Nie robię tego jednak, tylko sięgam do kieszeni spodni i wyjmuję telefon. Szybko odnajduję nagranie, ostatnie, które zrobiłem wczorajszego wieczoru. – Nie ja jestem zwyrolem – dorzucam z satysfakcją, a potem już tylko włączam odtwarzanie.

Obserwuję, jak patrzy w ekran mojego smartfona. Początkowo zdaje się niczego nie rozumieć, ale po chwili... Do jej niebieskich, niemal błękitnych oczu – dopiero teraz zauważam ich barwę – napływają łzy.

– Nadal uważasz mnie za zwyroła? – Kiedy czuję, że się poddaje, nieco rozluźniam uścisk. – Odpowiadaj!

Odwraca głowę. Ledwie panuje nad łzami, ale powstrzymuje się. Po chwili zbiera się w sobie i znów na mnie patrzy.

– Kim zatem jesteś? – pyta zdławionym głosem. Wciąż z ledwością powstrzymuje się od płaczu.

– Mam na imię Leo.

– Gównu mnie obchodzi, jak masz na imię! – wykrzykuje mi prosto w twarz.

Nie pojmuję tego. Sekundę temu sprawiała wrażenie, jakby miała się rozpląkać. Tymczasem...

– Chcę wiedzieć, kim jesteś!

– Twoim ochroniarzem – odpowiadam łagodnie, chociaż przez ułamek sekundy mam ochotę opowiedzieć jej o swoich najczarniejszych pragnieniach. Szybko jednak dochodzę do wniosku, że to głupi pomysł. Mogłaby na mnie donieść ojcu. Nie boję się go, ale póki mój nowy plan nie jest do końca dopracowany, chcę mieć Vasiljewa po swojej stronie. Przynajmniej na razie.

– Moimi ochroniarzami są Boris i Wowa – mówi, ponownie odwracając głowę.

Nie jestem pewien, czy brzydzi się tego, co jej niedawno pokazałem – nie zdziwiłbym się, bo nie wyglądało to najlepiej – czy może odrzuca ją

mój widok. Z takimi jak ona różnie bywa.

– Boris poprosił mnie o zastępstwo. Ale gdybym wiedział, że tak to będzie wyglądało... – dorzucam dwuznacznie.

Wtedy dostrzegam, że po jej policzku spływa łza. Zdaję sobie sprawę, że w przypadku ludzi pokroju jej, a także jej ojca są to raczej krokodyle łzy. Ale ryzykuję, pomimo świadomości, że może właśnie popełniam największą głupotę życia.

– Puszczę cię. Tylko nie rób głupstw, dobrze?

Nie odpowiada, tylko nieznacznie kiwa głową. Puszczam więc najpierw jedną jej rękę, a kiedy nic się nie dzieje, to samo robię z drugą. Nadal nie reaguje, więc po chwili schodzę z niej. W koszuli, którą wciąż ma na sobie, rozpięło się kilka dodatkowych guzików, więc teraz leży przede mną niemal zupełnie naga. Oczekuję, że zaraz się poderwie i zacznie ją na powrót zapinać, ale znów się mylę. A ona, pomimo że już w żaden sposób jej nie ograniczam, wciąż leży w bezruchu.

SONIA

Zaraz po tym, jak budzę się obok obcego mężczyzny, a w dodatku mam na sobie męską koszulę, która w mojej ocenie może należeć do niego, ogarnia mnie panika. Zrywam się na równe nogi, choć robię to na tyle ostrożnie, by nie zbudzić śpiącego obok mnie typa. A dodatkowo, gdy odkrywam, że znajduję się z nim na jachcie, który prawdopodobnie należy do mojego ojca, doznaję szoku.

Znów przenoszę wzrok na posapującego cicho mężczyznę. Nie wiem, kim jest, ale z pewnością jest uzbrojony. Leży na boku, a zza paska jego dżinsowych spodni wystaje pistolet. Działam więc odruchowo, bezwarunkowo. Klękam ostrożnie na materacu, starając się, aby człowiek obok nie poczuł moich ruchów, a potem wydaję zza jego paska gnata, szybko go przeładowuję i celuję w nieznanego. Wtedy się budzi. Chyba jeszcze do

niego nie dociera, co się dzieje, ale już po chwili zdecydowanym głosem każe mi odłożyć pistolet.

Niedoczekanie!

Zanim jednak pošlę mu kulkę, szybko próbuję ustalić, kim właściwie jest i co robię z nim na jachcie ojca. Ale on w ogóle mnie nie słucha i uparcie każe mi odłożyć spluwę.

Już mówiłam: niedo...

Wtedy zauważam, jak zerka ponad moją głowę, a to oznacza, że nie jesteśmy tu sami, i że zagrożenie może czaić się także za moimi plecami. Spoglądam w tamtą stronę, dosłownie na chwilę... Nikogo nie ma.

Tyle mu wystarcza, żeby mnie obezwładnić. Jest wściekły, ale ja nadal się bronię, choć nie dość skutecznie.

Wyzywam go od najgorszych, nie kontrolując nawet tego, że tak płynnie przeszłam na język ojczysty mojej matki. Nie mam pojęcia, czy mnie rozumie, nie wiem nawet, czy to przypadkiem nie on pierwszy zaczął mówić po polsku, ale kiedy po chwili odpowiada mi nienaganną polszczyzną, zupełnie odbiera mi mowę, zwłaszcza że chwilę wcześniej zwracał się do mnie w dwóch językach. Nie analizuję tego jednak, bo wyjaśnia mi nagle, że jest moim nowym ochroniarzem.

Nie ufam mu, zwłaszcza że jestem ubrana prawdopodobnie w jego koszulę, pod którą nie mam zupełnie nic. Nie rozumiem tego. Nie pamiętam poprzedniego wieczoru. Wiem tylko, że szalałam z koleżankami na parkiecie, że piłyśmy drinki, które donosił nam młody Iwanow.

Myśląc o tym chłopaku, głośno przetykam ślinę, bo zaczynam podejrzewać, że to on jest odpowiedzialny za moją „amnezję”. Moje przypuszczenia szybko się potwierdzają, kiedy nieznajomy pokazuje mi film, na którym...

Nie jestem jebanym mięczakiem, ale nie mogę zapanować nad łzami. Próbuję. Naprawdę się staram, ale to jest silniejsze ode mnie. A kiedy mężczyzna podający się za nowego ochroniarza mnie uwalnia, dociera do mnie,

że znów leżę przed nim bezbronna, w całej okazałości. To takie poniżające...

– Pomogę ci – słyszę, jak mówi, ale nie reaguję. Po prostu czuję się jak bezwartościowy śmieć. – Podaj mi rękę – dodaje, ale ja tylko zaciskam uda, osłaniam się szczelniej męską koszulą, a potem obracam na bok i zwiżam w kłębek. Nie chcę płakać, ale to się okazuje silniejsze ode mnie.

Ja pierdolę.

– Chcę zostać sama – szepczę zdławionym gardłem. – Proszę... – dodaje, kiedy moje ciche prośby nie spotykają się z żadną reakcją. Mam nadzieję, że to zmiękczy jego serce i że mnie posłucha.

Kiedy wreszcie przestaję płakać, zwlekam się z łóżka i maszeruję do łazienki. Czuję się oszukana, zbrukana i sama nie wiem, co jeszcze; zamierzam wejść pod prysznic i zostać tam najdłużej, jak się da. Wciąż nie mogę uwierzyć, że chłopak, z którym bawiłam się, gdy oboje byliśmy dziećmi, wyciął mi taki numer. Jak mógł? W dodatku ten nowy ochroniarz nagrał to i pokazał, jak gdyby nigdy nic.

Jest mi tak cholernie wstyd...

Biorę się w garść. Przynajmniej staram się to zrobić. Muszę. Dla samej siebie.

Przemykam przez korytarz, próbując nie narobić zbędnego hałasu. Nie chcę na nikogo wpaść. Tego, którego koszulę mam na sobie, też nie chcę widzieć. Albo zwłaszcza jego. Oby mnie nie zauważył. Nadal nie wiem, kim jest, bo oprócz tego, że zastępuje Borisa, nic więcej o sobie nie powiedział. I w zasadzie czemu miałabym mu wierzyć? Mógł być takim samym padalcem jak Iwanow. W końcu faceci są tacy sami. Oni wszyscy, bez wyjątku, myślą tylko o jednym.

Docieram wreszcie pod drzwi łazienki. Oglądam się jeszcze za siebie, mając nadzieję, że ten *mój nowy ochroniarz* nie wyrośnie mi nagle za plecami, a potem szybko przekręcam obrotową klamkę. Z moich ust prawie

wyrywa się pisk, kiedy przekraczam próg łazienki i widzę go zupełnie nagiego pod prysznicem. Niestety on także mnie zauważa, ale zupełnie nic sobie z tego nie robi. Nagle jednak zmienia zdanie i najwyraźniej postanawia mnie sprowokować.

– Miejsca starczy dla nas obojga – mówi drwiąco po polsku.

Nie odpowiadam, tylko wypadam stamtąd jak z procy, zatraskując z hukiem drzwi łazienki.

Wybiegam na pokład. Nie wiem, na co liczyłam, kierując się właśnie tam, ale być może wierzyłam, że ujrzę choćby jedną bardziej przyjazną mi twarz. W końcu większość współpracowników ojca znam w miarę dobrze. Z niektórymi nawet udało mi się symbolicznie zaprzyjaźnić. Ale niestety – na górze nikogo nie zastaję. On za to na pokładzie pojawia się naprawdę szybko.

– Zawsze zachowujesz się tak dziecinnie? – pyta.

Jest w samym ręczniku, który ledwie trzyma się na jego biodrach. Drugim wyciera mokre włosy.

– A ty zawsze jesteś takim... chamem? – odcinam się, mrużąc gniewnie oczy i krzyżując ramiona na piersiach.

Uśmiecha się, kręcąc głową jakby z niedowierzaniem. Nie mam pojęcia, co go tak, kurwa, bawi. Przecież nie powiedziałam niczego śmiesznego. Poza tym cała ta sytuacja wcale nie jest zabawna. Raptem chwilę temu pokazał mi nagranie, na którym leżałam w pozycji... Nieważne. Byłam nagiusia, jak mnie Bóg stworzył, a w dodatku pomiędzy moimi nogami miałam... intruza.

Boże, brakuje mi epitetów, żeby właściwie nazwać młodego Iwanowa. Niemniej wszystko wskazuje na to, że Anton mnie przeleciał.

Nigdy nie byłam świętoszką. Lubiłam się bzykać, ale z reguły robiłam to świadomie i z partnerami, których sama sobie wybierałam. A syn starego Iwanowa, jednego z biznesmenów, z którym mój ojciec miał wspólne interesy, z całą pewnością nie znajdował się na liście moich kochanków. Tym

większe było moje zażenowanie. Na myśl o tym wszystkim przeszył mnie dreszcz obrzydzenia.

– Chciałabym zadzwonić do ojca – mówię nagle.

Dawno bym to zrobiła, ale nie mam telefonu. Już wcześniej zorientowałam się, że bardzo mało było tu moich rzeczy.

– A wiesz, czego ja bym chciała? – odpowiada mi pytaniem półnagi mężczyzna, gapiąc się na mnie z wyższością. – Żebyś wreszcie poszła się umyć.

Zduszam w ustach przekleństwo, a raczej bardzo nieprzyzwoity epitet, który mam ochotę wysłać pod jego adresem, a potem chwilowo się poddaję i wracam pod pokład. Próbuję się do tego nie przyznawać, ale jego uwaga mnie zabolala. Sugerował, że jestem nieczysta. Właściwie może mieć rację, bo odkąd zobaczyłam ten filmik – przypuszczam, że jego autorstwa – rzeczywiście czuję się brudna i zbrukana, niczym nic niewarta szmata.

Zanim wracam na górę, suszę i szczotkuję włosy, myję zęby i na powrót wkładam jego koszulę. Brakuje w niej co prawda kilku guzików – musiały odpaść, kiedy szamotaliśmy się na łóżku – ale skoro nie mam większego wyboru, to nie mogę wybrzydzać. Poza tym lepsza koszula bez guzików niż ręcznik, który może się zsunąć albo co gorsza zupełnie opaść.

Spoglądam w lustro. Wyglądam mizernie. Mam mętne spojrzenie, prawdopodobnie spowodowane przez świństwo, które ten chłystek Iwanow musiał mnie i moim koleżankom dosypać do drinków. Swoją drogą, ciekawe, co z nimi. Zaczynam się martwić.

Szybko jednak porzucam myślenie o tym, co było, i przywdziewam maskę obojętności. Biorę głębszy wdech, klepię się po policzkach, a potem ruszam na pokład. Liczę, że mój *nowy ochroniarz* nie okaże się gołosłownym dupkiem i pożycz mi telefon, żebym mogła zadzwonić do ojca. Co prawda nawet mi tego nie obiecał, ale co mi pozostaje? Muszę uwierzyć we własne myśli. Bo jeśli nie, to...

Nie wiem, co zrobię. Sytuacja zaczyna mnie przerastać.

Ten... koleś stoi przy sterze. Dopiero teraz zauważam, że płyniemy. Nadal nie wiem, gdzie jesteśmy ani dokąd zmierzamy, ale mam nadzieję, że zaraz się tego od niego dowiem.

– Pozwolisz mi zadzwonić do taty? – pytam, na co spogląda przez ramię i lekko się uśmiecha.

Zaskakuje mnie tą nagłą zmianą nastawienia. I nie wiem, jak to robi, ale już aż tak bardzo mnie nie wkurza, jak zaraz po przebudzeniu. Pokuszę się również o stwierdzenie, że chyba się nawet go nie boję tak jak na początku. Być może nie powinnam mu zbyt ufać, bo jest naprawdę potężnie zbudowany i ma imponujące mięśnie, a to oznacza, że musi być silny i – to całkiem możliwe – niebezpieczny. W dodatku istnieje coś jeszcze, co powinno dać mi do myślenia. Ten facet jest przystojny, a jak wiadomo, przystojniacy są najbardziej niebezpiecznymi osobnikami wśród mężczyzn, bo potrafią wykorzystywać naiwne, głupiotki kobiety.

Ale ja nie jestem ani głupia, ani łatwowierna. A poza tym jak dla mnie jest zdecydowanie za stary. Uznaję więc, że nie ma żadnego problemu.

– Jeśli mi coś obiecasz – mówi dwuznacznie.

Nie mam zamiaru niczego mu obiecywać, bo nic nie jestem mu winna, ale w obecnej sytuacji chyba nie mam wyjścia. Kiwam więc głową.

– Ugotujesz nam coś? Bo umieram z głodu.

– Żartujesz? – pryham. – Nie jestem kucharką.

– No popatrz! Ja też nie pracuję w wypożyczalni. I tak się również składa, że pracownikiem branży telekomunikacyjnej także nie jestem.

Odbiera mi mowę, więc chwilowo nie wiem, co powiedzieć. Chyba pozostaje mi pójść na kompromis, bo nie sięga dłonią po telefon, który wyraźnie odstaje mu w tylnej kieszeni dzinsów. Zerkam jeszcze na pistolet. Rozważam, czy zdołałabym ponownie go wyjąć i tym razem strzelić, zanim znów mi go odbierze, ale porzucam ten pomysł, kiedy słyszę jego głos:

– Nawet o tym nie myśl.

Nie jestem pewna, czy sprostam jego oczekiwaniom, a na usprawiedliwienie mam jedynie fakt, że z gotowaniem rzeczywiście nigdy nie było mi po drodze. W domu od wszystkiego mamy ludzi. Nie muszę robić tak przyziemnych rzeczy, jak sprzątanie, a już na pewno nikt nie zmusza mnie do stania przy garach. Liczę więc, że pokrojony w plastry ser pleśniowy, pobijane na wykałaczki oliwki poprzekładane papryką i suszonymi pomidorami, a także precelki w zupełności mu, a właściwie nam wystarczą. Bo okazuje się, że ja też jestem głodna. Odkryłam to, jak tylko zajrzałam do lodówki i zobaczyłam, że jest w pełni zaopatrzona. Do picia zabieram jeszcze butelkę wody dla mnie i wino dla niego. Mam nadzieję, że się skusi. Może dzięki temu choć odrobinę straci czujność? Jeszcze nie wiem, co z tym zrobię, jeśli naprawdę zdołam go nieco otumanić, ale coś na pewno.

Oczywiście kiedy stawiam tacę na stole znajdującym się na górnym pokładzie, *mój ochroniarz* uśmiecha się pod nosem. Ja jakoś nie potrafię odpowiedzieć mu tym samym. Liczę jednak, że jestem wystarczająco miła i uczynna, by spełnił daną mi obietnicę.

– Telefon poproszę – mówię, podchodząc do niego i wyciągając rękę.

– Skaleczyłaś się – odpowiada, patrząc wymownie na mój palec owinięty kawałkiem ręcznika kuchennego. Fakt, drasnęłam się nożem. Ale to w zasadzie jego wina. Gdyby mnie nie zaganiał do garów, do niczego by nie doszło.

Boże, za kogo on się uważa?! Wciąż nie mogę uwierzyć, że mu usługiwałam. Wystarczył mały szantaż...

– Może przydałoby się to opatrzyć? – proponuje.

– Sama umiem o siebie zadbać – warczę, trzymając wysuniętą w jego kierunku dłoń.

– Nie wątpię – odpowiada, wyraźnie ze mnie kpiąc.

Mam ochotę się odszczeknąć, zrobić cokolwiek – to takie w moim stylu – ale na szczęście widzę, że wyjmuje z kieszeni telefon i podaje mi go. Biorę go szybko, zanim się rozmyśli, a potem natychmiast wstukuję numer

taty. Znam go na pamięć. Liczę tylko, że odbierze. Muszę go zapytać, jak długo będę zdana na łaskę tego pożałuj Boże *bodyguarda*.

Na szczęście odbiera po pierwszym sygnale.

– Jakieś wieści z frontu? – słyszę głos ojca.

– To ja, tato – odpowiadam po rosyjsku. Może jestem bardziej naiwna, niż sądziłam, ale liczę, że mój nowy ochroniarz nie włada zbyt dobrze tym językiem.

– Nic ci nie jest?

– Nie – mówię, zerkając na typa, który przygląda mi się z wyraźnym zaciekawieniem. Chyba go nie doceniałam, zwłaszcza jego zdolności do języków, na co wskazuje jego pewna siebie mina. – Chociaż bywało lepiej.

Ojciec wzdycha. Wiem, że się martwi, choć rzadko okazuje jakiegokolwiek uczucia.

– Kim jest ten człowiek i co robię z nim na „Thyfonie”? – pytam wprost.

– To twój nowy ochroniarz i chwilowo jesteś zdana właśnie na niego – pada rzeczowa odpowiedź.

Właśnie tego obawiałam się najbardziej.

– Leo zabierze cię w bezpieczne miejsce – dodaje ojciec.

– W bezpieczne miejsce? – Właściwie nie pytam, tylko powtarzam po nim, kątem oka obserwując niejakiego Leo. Nie ufam mu.

– Tak. O szczegóły pytaj jego. Został już wtajemniczony.

Już?

Patrzę z niechęcią na Leo, dodatkowo zdając sobie sprawę z tego, że mnie rozumie. Każde moje słowo. Zdradza go cwaniacki uśmiech, który maluje się na jego twarzy. Daje mi wyraźnie odczuć, że jestem zdana na jego łaskę.

A to się jeszcze zobaczy...

– Ale ja muszę wracać. Mam ważną rozmowę i jeśli... – przekonuję go, ale nawet nie dostaję szansy na dokończenie myśli, bo ojciec mi przerywa.

– Będzie tak, jak mówię.

- Tato... Wiesz, jakie to dla mnie ważne.
- Twoje życie jest w tej chwili ważniejsze.

W innej sytuacji pewnie bym dociekała, co konkretnie ma na myśli, a nawet próbowałabym dopiąć swego, ale słowa ojca dały mi do myślenia. Musiało się wydarzyć coś złego, że naraz postanowił mnie odesłać. Szkoda tylko, że nie zrobił tego w bardziej cywilizowany sposób. Nie mam tu własnych ubrań – sprawdziłam to, przeszukując garderobę – i wciąż paradowałam w koszuli tego *typka ochroniarza*, który nie spuszczał ze mnie wzroku.

- A teraz daj mi do słuchawki chłopaka – słyszę jeszcze.
- Chłopaka? – powtarzam po nim, a potem oddaję słuchawkę i rzucam pod nosem: – Chyba raczej dziadka.

ROZDZIAŁ 4

LEO

Biorę z jej rąk słuchawkę i zagaduję do starego Vasiljewa. W milczeniu słucham jego kolejnych wytycznych, jednocześnie obserwując jego córkę, która ostentacyjnie kręcąc pupą, podchodzi do zastawionego stołu. Siada na jednej z ławek i nie zwracając na mnie uwagi, zabiera się do jedzenia. Przyglądam się jej z rosnącą uwagą. Rozchyła wargi i zsuwa z wykałaczki oliwkę, która natychmiast ląduje w jej ustach. Przymyka powieki, zmysłowo oblizując wargi. Podejrzewam, że robi to celowo – nie jest ślepa i widzi, że się na nią gapię. Uwodzi mnie, a to sprawia, że zaczynam odczuwać ciasnotę w spodniach.

Odwracam się w stronę burty; za plecami wyraźnie słyszę jej chichot. A więc miałem rację.

„Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni” – myślę, wracając do rozmowy z jej ojcem. Mamy sporo do omówienia. Vasiljew daje mi kolejne wytyczne i każe ich ściśle przestrzegać. Oczywiście popieram go w stu procentach. Na razie.

Przez ramię zerkam na jego córkę. Wolę mieć pewność, że nie skrada się za moimi plecami. Nie twierdzę, że znów będzie chciała się *pobawić* moją splewą, ale mogła wziąć z kuchni nóż. Jest tak samo popieprzona jak jej ojciec, więc sądzę, że byłaby do tego zdolna. Ale ona nadal siedzi przy stole i tym razem delectuje się serem. Podnosi plasterk palcami i wsuwa go do ust, a potem, podobnie jak wcześniej wargi, wymownie oblizuje opuszki. Naprawdę ciężko jest mi się powstrzymać, ale jakoś udaje mi się zdusić

przekleństwo, którego nie powinna słyszeć. Przeklinanie w mojej pracy byłoby nieprofesjonalne. Jak się jednak okazuje, nie mam na to wpływu, bo kiedy ona znów oblizuje usta, nie potrafię dłużej nad sobą panować...

Kiedy kończę gadać z jej starym, gaszę silnik i podchodzę do stołu. Siedząca przy nim dziewczyna uśmiecha się przelotnie, choć robi to na tyle dyskretnie, żebym nie zauważył. Wiem, z czego wynika jej radość. Nabija się ze mnie, a właściwie z mojej niekontrolowanej reakcji. Jestem głodny, więc ignoruję ją i jej zaczepki. Zamierzam się posilić, ale dopiero teraz widząc, co nam *upichciła*, zaczynam nabierać wątpliwości, czy w ogóle się najem. Idąc za jej przykładem, sięgam po plasterek pleśniowego sera, który z całej reszty wygląda najsmaczniej i najbardziej sycąco. Pewnie i tak nie zaspokoi mojego wilczego głodu, ale liczę, że wystarczy chociaż na chwilę.

– Co ustaliłeś z ojcem? – pyta mnie nagle dziewczyna.

– Mogłaś sama go o to zapytać – odpowiadam jedynie, na co mruży gniewnie oczy. Wyraźnie nie lubi być zbywana. Cóż, jej problem, bo nie zamierzam się przed nią tłumaczyć.

– Zapytam. Następnym razem.

Gryzę się w język, ale mam ochotę powiedzieć jej, że owszem, o ile pozwolę jej skorzystać ze swojego telefonu. A na to będzie musiała zasłużyć – a przynajmniej bardziej się postarać. Choćby w kwestii przyrządzania posiłków.

– Wina? – proponuje nagle, czym mnie zaskakuje. Nie sądziłem, że osoba jej pokroju może mieć drugą twarz: zwyczajnej, kulturalnej dziewczyny.

Zerkam wymownie na jej kieliszek z wodą i zastanawiam się, co tym razem kombinuje.

– Nie obawiaj się – uprzedza moje pytanie. – Nie zamierzam cię upić. Uznałam tylko, że mój organizm nie jest jeszcze gotowy na kolejne procenty.

Nie odpowiadam, tylko sięgam po butelkę z winem, odkorkowuję ją, i nalewam sobie symboliczne pół kieliszka. Zamaczam usta. To musi być

trunek z górnej półki, bo smakuje wybornie.

– Smakuje ci? – pyta, sięgając po swoją wodę, i upija łyżeczk.

„A jednak typowa z niej paniusia” – myślę z przekąsem.

Kiwam głową i znów sięgam po ser, który szybko znika w moich ustach.

– Nie lubisz warzyw? – zagaduje, sięgając po kolejnego kolorowego szaszłyka. Na szczęście tym razem zjada go w miarę przyzwoicie, dzięki czemu nie wzbudza we mnie odruchów, na które nie mam wpływu.

– Lubię, ale uważam, że są mało pożywne – wyjaśniam.

– No tak. Takie mięśnie nie biorą się z niczego – słyszę w odpowiedzi.

Nie jestem pewien, czy właśnie mnie skomentowała, czy raczej w jej głosie pobrzmiewała kpina, a ona sama uważa mnie za typowego bezmózgiego mięśniaka. Przekonałem się już, że „złośliwość” to drugie imię tej nieznośnej kobiety, więc staję się nieco bardziej podejrzliwy.

– Uwierz mi, że nie biorą się również z jedzenia – odcinam.

– To fakt – odpowiada. – Mojemu ojcu od jedzenia urósł jedynie brzuch, nie bicki – śmieje się.

Odpowiadam jej tym samym, choć pomimo niechęci, jaką żywię do swojego pracodawcy, nie uważam, że źle wygląda. Według mnie, jak na swoje lata trzyma się naprawdę spoko i nie ma oblanego tłuszczem brzucha, co właśnie zasugerowała jego córka. Gdyby jednak bardziej o siebie zadbał, to i wyglądałby znacznie lepiej. Ale on nie musiał spędzać godzin w siłowni, żeby być atrakcyjny dla kobiet, które wskakiwały mu do łóżka. Tak, Dima Vasiljew miał kobiet na pęczki. Odkąd zacząłem u niego pracować, nieraz byłem świadkiem, jak nad ranem z jego sypialni wychodziły laski. Rzadko kiedy bywał z jedną kobietą naraz. Dwie, trzy – taką miał normę. Dla tych wszystkich dziewczyn – na ogół były to bardzo młode kobiety, większość z nich zapewne w wieku jego córki, a nawet zdarzały się młodsze – nie liczył się jego wygląd, a zasobność portfela i nierzadko pozycja społeczna. Myślę nawet, że ta druga opcja dla wielu dziewczyn była bardziej pociągająca od pieniędzy. Ten człowiek bowiem mógł naprawdę wiele...

– Twój ojciec wie, że śmiejesz się z niego za jego plecami? – podtrzymuję rozmowę.

Kręci głową, a potem unosi brew i pyta:

– A co? Zamierzasz mu na mnie donieść?

Uśmiecham się i także zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie, ale pod pewnym warunkiem.

Vasiljewówna, która chyba ma wyraźną ochotę powiedzieć mi, że nie będę jej dyktował warunków, finalnie zamyka buzię. Wydaje się zaintrygowana.

– Zamieniam się w słuch – mówi po chwili namysłu, bez złości, której wcześniej mi nie szczędziła.

– Na kolację ugotujesz coś bardziej – spoglądam na talerz z warzywami i serem – pożywnego.

– Słucham?

Teraz patrzy na mnie tak, jakby nie rozumiała ani słowa. Zamierzam więc powtórzyć, a nawet jasno doprecyzować, że zjadłbym jakiś porządny kawał mięsa – zaglądałem do lodówki, to wiem, że było go tam całkiem sporo. Całe szczęście, bo dzięki temu, że spiżarnia jest dobrze wyposażona, istnieje szansa, że nie będziemy przymierać głodem. Ale ona ubiega mnie i rzuca:

– Sugerujesz, że mam ci ugotować kolację?

A więc o to jej chodzi?! Znow próbuje odgrywać przede mną księżniczkę...

– A masz może coś lepszego do roboty? – drwię, przez co zdobywam chwilową przewagę, bo wyraźnie znow ją zaskakuję, o czym świadczy jej mina.

– Jeśli myślisz, że będę ci usługiwała, to się pomyliłeś – odpowiada cierpko. – Nie jestem twoją matką ani żonką w ciepłych kapciach.

Jej odpowiedź skutecznie studzi moją ochotę na kontynuowanie tej rozmowy. Ale to nie zasługa jej ciętego języka czy riposty, jaką rzuciła mi na prede, a jedynie myśl o żonie sprawiła, że uciałem temat.

Dopijam resztę wina, odstawiam kieliszek na stół, a następnie wstaję i ruszam w stronę steru. Dotrzymanie towarzystwa tej dziewczynie nie ma dłużej sensu.

SONIA

Kiedy wreszcie się przemogłam i w końcu zaczęłam z nim normalnie rozmawiać, on nagle wstaje i odchodzi. Nie wiem, co go ugryzło. Prowadziliśmy luźną, niezobowiązującą rozmowę, trochę się przekomarzaliśmy, co było nawet przyjemne, gdy nagle on z brzdękiem odstawił pusty kieliszek na stół, wstał, a potem poszedł za ster.

Patrzę na niego jeszcze przez chwilę, a następnie dopijam resztę wody i idę pod pokład. Wciąż odczuwam skutki tego cholerstwa, które mi wczoraj dosypano do drinka, więc postanawiam odpocząć. Co prawda mogłabym się położyć na jednym z leżaków i złapać trochę promieni słonecznych, na co przez ostatnie zobowiązania w pracy nie miałam czasu, ale decyduję się zejść z oczu *mojemu ochroniarzowi*. Właściwie jestem niemal pewna, że tylko udaje, że mnie nie widzi, bo pomimo że stoi do mnie odwrócony plecami, to jednak obserwuje każdy mój ruch. Chyba odrobinę się mnie obawia. I słusznie, bo chwilami mam przemożną ochotę wziąć cokolwiek, chociażby butelkę z ledwie napoczętym winem, i zdzielić go w łeb. Pokazałabym mu w ten sposób, że nie jestem głupią, słabiutką panienką, za którą mnie uważa, a silną i zdecydowaną kobietą. A już tym bardziej udowodniłabym mu, że kobiet nie należy traktować przedmiotowo.

Im wcześniej zrozumie, że nie zamierzam mu służyć, tym lepiej dla nas obojga.

Nie wiem, ile czasu mamy jeszcze ze sobą spędzić, ale z tego, co zdążyłam wywnioskować, przez kilka najbliższych dni będę zdana na towarzystwo niejakiego Leo. Czuję się dziwnie z tą myślą, zwłaszcza że przy bliższym poznaniu facet odrobinę zyskał w moich oczach. Do tego, choć dla mnie jest stanowczo za stary, muszę przyznać, że jest szalenie przystojny.

Wysoki – ja nie należę do niskich kobiet, bo mam ponad metr siedemdziesiąt, ale on jest ode mnie jeszcze o głowę wyższy. Poza tym jest umięśniony – tak, mięśnie ma chyba ze stali...

„Musi dobrze pompować – przelatuje mi przez głowę. – Znaczy... Pakować... Nieważne, głupia” – besztam się w duchu.

Oprócz tego Leo ma piękną cerę, a jego krótko przystrzyżone, nieco rozjaśnione słońcem ciemne włosy świetnie współgrają z musniętą na złoto skórą. No i te piękne oczy. Tak, oczy tego faceta niby nie wyróżniają się niczym szczególnym spośród innych – ich zielona barwa jest dość powszechna wśród osób, które znam – ale mają w sobie coś hipnotyzującego. Dlatego właśnie staram się w nie nie patrzeć. A jeśli już sytuacja tego wymaga, staję się czujna i robię to z wyjątkową ostrożnością. Życie mnie nauczyło, żeby nie dać się nabrać na słodkie spojrzenia. Faceci, z którymi byłam, okazali się strasznymi manipulacjami. Pewnie cała reszta, która jeszcze nie zaliczała się do tego *zacnego* grona, wcale nie jest lepsza, i żeby dostać się do moich majątków, jest w stanie naprawdę się poświęcić. Marzenie! A już zwłaszcza nie zamierzam ulegać temu... *ochroniarzowi*.

Od razu kieruję kroki w stronę jedynej sypialni, jaka znajduje się na jachcie. Zaczynam się zastanawiać, jak będzie wyglądała kolejna noc, bo nie zamierzam tego faceta wpuścić do łóżka. To, że obudziłam się u jego boku, nie oznaczało, że mam ochotę po przebudzeniu znów ujrzeć jego twarz. Zwłaszcza w tak bliskiej odległości. Nie wiem jeszcze, co zrobi i gdzie będzie spał, ale w swojej sypialni gościć go nie zamierzam – to postanowione.

Kiedy zamykam za sobą drzwi, idę do garderoby, aby po raz kolejny się upewnić, że nie ma w niej choćby jednej rzeczy, którą mogłabym na siebie włożyć, poza jego koszulą. Niestety – poza obszernym i zbyt ciepłym jak na porę roku, sygnowanym szlafrokiem *frotté*, który prawdopodobnie należy do ojca, nie ma tam niczego, czym mogłabym zastąpić koszulę swojego ochroniarza. Właściwie nadal nie mam pewności, że to właśnie jego koszula okrywa moje nagie ciało, ale wszystkie znaki na niebie wskazują, że tak właśnie jest, gdyż niejaki Leo poza dżinsami i podkoszulkiem na ra-

miączkach nie ma nic na sobie, a ja muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie widziałam tak skąpo ubranego ochroniarza.

Z westchnieniem zamykam drzwi garderoby i siadam na łóżku, a następnie kładę się na plecach. Przez moment jeszcze patrzę w sufit, a potem zamykam oczy i zmuszam się do snu. Na szczęście nadchodzi bardzo szybko.

ROZDZIAŁ 5

LEO

Kiedy ta rozpuszczona gówniara znika pod pokładem, mam ochotę wziąć do rąk butelkę z winem i opróżnić ją do końca, a już najlepiej napić się prosto z gwinta. Tak, wypicie duszkiem niemal całej butelki z pewnością by mi pomogło ochłonać. Znów ledwie nad sobą zapanowałem. Czuję gniew tak olbrzymi, że mam ochotę pójść za tą rozkapryszoną dziewczuchą, złapać ją za... ramiona i mocno nią potrząsnąć. Zasłużyła sobie, żeby jej pokazać, jak postępuje się z takimi jak ona.

Zduszam jednak tę chęć w zarodku. Mam co do niej inny plan. Muszę się tylko opanować, by nie spierdolić wszystkiego już na starcie. Wreszcie bowiem nadarzyła się okazja, bym wcielił w życie mój plan zemsty. I to w iście spektakularnym stylu.

Zaczyna zmierzchać, a ja ledwie trzymam się na nogach. *Sterowanie jachtem* może i nie należy do wyczerpujących zajęć, ale mnie wielogodzinne stanie za sterem totalnie pokonało. Poza tym, nie licząc kilku kawałków sera, od dawna nie miałem nic w ustach. A jak wiadomo, żeby mieć siłę i kondycję, trzeba właściwie się odżywiać. Co więcej, moje gorsze samopoczucie bierze się stąd, że jestem niewyspany po poprzedniej, dość absorbującej nocy. Naprawdę czuję się skonany.

Wyłączam więc silnik, zarzucam kotwicę, a potem idę pod pokład. Panuje tam absolutna cisza, co musi oznaczać, że *moja podopieczna* śpi. Za-

glądam do niej, żeby się upewnić. Dziewczyna leży na środku łóżka i ma zamknięte oczy. Ręce ma zarzucone za głowę, nogi szeroko rozłożone; od-
ruchowo zerkam pomiędzy nie. Moja za duża koszula jest jednak zbyt
długa, więc zasłania to, co powinna, albo raczej – w tym jednym, konkret-
nym przypadku – skrywa to, czego nie powinna zakrywać.

„Szkoda – myślę, zamykając na powrót drzwi i idąc do łazienki. – Popa-
trzyłbym sobie”.

A było na co. Sonia Vasiljewówna to naprawdę piękna dziewczyna. Ma
długie, czarne włosy, jasną, nieskazitelną cerę i jędrną skórę. Jak na moje
oko, jest trochę zbyt koścista – osobiście gustuję w bardziej krągłych ko-
biecych kształtach – ale tak dawno nie miałem kobiety, że nie wybrzydzał-
bym. Brałbym ją. O tak! Tylko co potem?

Wchodzę do łazienki, zapalam światło i od razu zdejmuję ubranie. Nie
mam na sobie zbyt wielu ciuchów, więc wystarczy moment i zupełnie już
nagi wchodzę pod prysznic. Odkręcam kurek z wodą i wystawiam twarz
w stronę deszczownicy. Ciepła woda zalewa mi twarz, spływa miękko po
ramionach i szybko obejmuje resztę spragnionego wytchnienia ciała. De-
lektuję się tą chwilą, ale nie przeciągam jej specjalnie, bo lecę z nóg. Wy-
chodzę z kabiny, wycieram się, a potem zgarniam jedynie pistolet, który
leży na podłodze wraz z moimi ubraniami, i całkiem nagi idę do sypialni.
Nie zamierzam spać w przeupoconym ubraniu. I po prostu muszę się wy-
spać.

Kładę pistolet na szafce nocnej i zerkam na śpiącą dziewczynę. Leży
w tej samej pozycji co wcześniej, więc zanim dołączę do niej, muszę odro-
binę ją przesunąć. Robię to delikatnie, żeby jej nie obudzić. Najpierw odsu-
wam rękę, potem nogę, a następnie wślizguję się pod kołdrę. Jest ciepło,
ale uważam, że tak bezczelne paradowanie przed tą dziewczyną bez gaci to
nie najlepszy pomysł.

Jestem naprawdę skonany, więc wystarczy sekunda, bym zapadł w błogi
sen.

Budzę się, czując znikomy ruch. Nie otwieram od razu oczu; zerkam przez wąskie szparki pomiędzy powiekami. Obserwuję, jak dziewczyna, która obudziła się wcześniej, pochyła się nade mną i próbuje dosięgnąć coś, co leży za moją głową. Dobrze wiem, co się tam znajduje, bo sam to tam położyłem.

– Nawet nie próbuj – ostrzegam i w jednej chwili chwytam jej rękę w nadgarstkach, krępuję i umieszczam ją pod sobą.

– Puszczaj mnie, ty zboku – warczy i się szamocze. Nie ma ze mną żadnych szans, ale nie odpuszcza. – Głuchy, kurwa, jesteś?! – zaczyna mnie obrażać. – O wszystkim powiem ojcu!

– Niby o czym? – dociekam, patrząc jej twardo w oczy. – Przecież jeszcze nic ci nie zrobiłem.

– Jeszcze?!

Jest wściekła i rzuca się pode mną, ale tylko na tyle ją stać, bo jej ręce spoczywają w mojej dłoni i trzymam je tuż nad jej głową. Przygniatam ją własnym ciężarem tak, że znajduję się nagle pomiędzy jej nogami, którymi nieudolnie wierzga.

Uśmiecham się, widząc jej oburzenie i bezsilność. Nie umiem się powstrzymać. Szczerzę się jeszcze szerzej, kiedy widzę jej reakcję na moją... fizjonomię i to, co się z nią dzieje. Cóż, jestem tylko facetem, który naraz znalazł się pomiędzy udami pięknej dziewczyny.

– Nie zrobisz tego – mówi.

Nie wrzeszczy już, nagle przestała się ruszać.

Przez ułamek sekundy zastanawiam się, jak by zareagowała, gdybym wykonał ten jeden, precyzyjny ruch. Teraz mój sterczący penis tylko ociera się o jej szparkę, ale wystarczyłoby mocniej pchnąć biodrami i od razu znalazłbym się w niej.

– Nie – śmieję się. – Ale nie dlatego, że nie mam ochoty. Bo mam, i to wielką – dodaję i ocieram się o nią ponownie.

Przymyka oczy i wstrzymuje oddech. Nie jestem pewien, czy robi tak, bo się boi, że nie dotrzymam słowa, czy zwyczajnie obawia się, że ujrzę

w jej oczach pragnienie. Otwiera je dopiero, gdy połączym uścisk.

– Więc dlaczego? – pyta, kiedy ostrożnie wypuszczam jej rękę. Nadal muszę być czujny, bo ta dziewczyna udowodniła już, że bywa nieobliczalna.

Uśmiecham się tylko, nic nie mówię. Sięgam po pistolet, wstaję, a potem wychodzę, czując na sobie jej wzrok.

SONIA

Nie wiem, co mu chodzi po głowie, ale czuję niepokój, ilekroć patrzy na mnie w *ten* sposób. Chyba nawet odrobinę się go boję, choć do bojaźliwych panienek się nie zaliczam. Najbardziej jednak mnie przeraża nie jego nieodgadnione spojrzenie, a... moje własne ukryte pragnienia. Pora przyznać przed sobą, że pragnę tego faceta. Pomimo że mnie wkurza i traktuje przedmiotowo, czego nie znoszę, mam na niego coraz większą ochotę. Wiem, to irracjonalne, bo po pierwsze, nie jestem od niego lepsza i sama nie traktuję go inaczej – w końcu jaki ojciec, taka córka – a po drugie, wcale go nie znam. Ale czy zawsze trzeba kogoś najpierw poznać, żeby się z kimś przebrać? Nie sądzę.

Przecież nic bym mu nie zrobiła. Kradnąc mu broń, chciałam go jedynie zaskoczyć, pokazać mu, że nie jestem głupiutką panienką, za którą uważa mnie większość bandziorów ojca. Ale kiedy zupełnie nagi przyparł mnie do materaca, myślałam, że oszaleję. Chryste, niewiele brakowało, a sama bym się na niego nadziała. Tak, w tamtej jednej chwili miałam na niego straszną ochotę. Chciałam się z nim pieprzyć do utraty tchu. Wiem, że raptem wieczór wcześniej wykorzystał mnie kolega, przyjaciel rodziny, więc zwyczajnie wypadało się *zachowywać*, a już na pewno nie tak rozpustnie. Na usprawiedliwienie miałam jedynie fakt, że nie pamiętałam niczego z tamtej nocy: żadnego obrazu, dotyku, ani jednego bodźca. A *jego* czułam. I to bardzo wyraźnie.

Teraz mi wstyd z powodu własnego zachowania, więc długo jeszcze nie opuszczam pokoju. Wiem jednak, że ukrywanie się nie ma najmniejszego sensu, bo w końcu i tak będę musiała stawić mu czoła. Poza tym chce mi się pić. W zasadzie chyba nawet jestem głodna, a przez moment wydaje mi się, że czuję zapach smażonego mięsa.

„Nie – myślę. – Musi mi się wydawać. Przecież *on* sam by sobie niczego nie ugotował, skoro ode mnie oczekiwał, że będę mu usługiwała w kuchni”.

Raptem kilka godzin temu próbował mnie zagonić do garów, przedstawił mi listę życzeń. Zupełnie jakbym była jego służącą! A prawda wyglądała zgoła inaczej. To on pracował dla mojego ojca, a tym samym również dla mnie.

Opuszczam wreszcie sypialnię i już w korytarzu czuję wyraźniejszy zapach. To ewidentnie aromat smażonego mięsa.

– Dziwne – mruczę pod nosem i podążam za zapachem.

Docieram na środkowy pokład, na którym oprócz dość przestronnego salonu znajduje się również kuchnia. Po drodze poprawiam jeszcze koszulę. Krzywię się na widok wygniecionego materiału, ale to nie wygląd ubrania wzbudza we mnie poczucie dyskomfortu. Potrzebuję kosmetyków i świeżych ciuchów, a póki co muszę się zadowolić żelem pod prysznic. Poza tym mam na sobie od dwóch dni wciąż tę samą koszulę, a ta w dodatku należy do faceta, który budzi we mnie same skrajne emocje. Zamierzam z nim o tym pogadać i przedstawić mu moją listę. Tak, powiem mu wprost, czego oczekuję. Liczę, że będzie ze mną szczerzy i wreszcie zdradzi mi, dokąd na rozkaz ojca mnie zabiera. Mam nadzieję, że zdołam się tam obkupić.

Wchodząc do kuchni, nie kryję zaskoczenia. Widok, jaki tam zastaję, jest intrygujący.

– To ty gotujesz? – pytam.

Leo stoi przy elektrycznym grillu. Oczywiście już wcześniej rozpoznałam zapach smażonego mięsa, ale sądziłam, że mój ochroniarz wyjął z lodówki jakiegoś gotowca, który wystarczy tylko podgrzać.

– Nie wiedziałaś, że najlepsi szefowie kuchni to mężczyźni? – odpowiada pytaniem. – Poza tym chyba nie mam wyjścia, a raczej muszę – dodaje, chwytając szczypcami olbrzymi stek i przewracając go na drugą stronę. – Żeby nie umrzeć z głodu. – Wbija mi szpilkę.

Nie wiem dlaczego, ale czuję się nieco dotknięta jego zuchwałą uwagą. Przecież wczoraj przygotowałam mu coś na szybko. Poza tym nie miałam ochoty się przed nim tłumaczyć, że to i tak dużo, jak na moje możliwości. Już sam skaleczony nożem palec powinien być dowodem na to, że w kuchni radzę sobie kiepsko. Po co się więc narażać jeszcze bardziej?

Gdy nie kwituję ani słowem jego zaczepki, spogląda na mnie i pyta:

– A ty?

– Co ja? – Patrzę na niego, nie rozumiejąc.

– Gotujesz?

– Każdy czasem musi, czyż nie? – odpowiadam wymijająco.

Przez moment mam wrażenie, że taka odpowiedź go zadowala. Ale tylko przez moment.

– Nie lubisz gotować? – docieka.

Wiem, co o mnie myśli: że taka rozpuszczona damulka jak ja nie musi. Że zawsze przecież ktoś może to zrobić za mnie. W końcu w naszym rodzinnym domu pracuje mnóstwo ludzi i każdy odpowiada za coś innego – niektórzy również za gotowanie. Ale Leo chyba zapomina, że ja od jakiegoś czasu jestem na swoim, więc ze wszystkim muszę radzić sobie sama. *Z gotowaniem* również. A już z pewnością nie muszę się przed nim tłumaczyć i wyjaśniać mu, że jadam w szpitalnej stołówce, gdzie podają naprawdę dobre posiłki. Poza tym nawet gdyby było inaczej i zamiast lekarką, na którą mam zadatki, byłabym świetną gospodynią, to on wcale mnie nie zna, nic o mnie nie wie. Przynajmniej tak mi się wydaje. Dlatego ostatecznie stwierdzam, że nie powinien wyciągać pochopnych wniosków, a tym bardziej mnie oceniać.

– To twoje zdanie – mówię jedynie, gapiąc się na skwierczącego steka. – Wygląda pysznie – dodaję, na co on się uśmiecha.

– Masz ochotę spróbować? – pyta po chwili, znów obracając mięso na ruszcie.

– Zamierzasz się ze mną podzielić? – nie dowierzam.

Raptem wczoraj był na mnie zły, kiedy odmówiłam spełnienia jego prośby, gdy wprost zażądał czegoś *pożywnego* do zjedzenia. I nawet się z tym jakoś specjalnie nie krył. A teraz? Właśnie proponuje mi wspólny posiłek. Fakt, stek jest przeogromniasty, więc spokojnie wystarczy dla dwojga. Tylko że ja nie pojmuję, dlaczego w tym facecie nagle zaszła taka zmiana?

– Liczę, że umiesz się odwdzięczyć – słyszę w odpowiedzi.

Przyglądam mu się badawczo. Nie wiem, jak odebrać te dwuznaczne słowa, ale na samą myśl, że właśnie insynuuje, abym się z nim przespała, czuję przyjemne łaskotanie w żołądku, które dociera aż... tam.

– No co tak patrzysz? – dodaje i szczerzy do mnie zęby w uśmiechu. – Mam nadzieję, że przyrządzisz do tego jakąś sałatkę – wyjaśnia i lekko potrząsa głową. – A ty co pomyślałaś?

Ja pierdołę! Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się wygłupiłam.

Na moją twarz natychmiast wypływają soczyste rumieńce. Nie muszę nawet zerkać w lustro, żeby wiedzieć o ich istnieniu. Policzki bowiem pieką mnie żywym ogniem!

– Dokładnie o tym samym – odpowiadam, uciekając wzrokiem. – To z czego ma być ta sałatka? – Zerkam na leżące na stole warzywa.

– Może z pomidorów i bazylii?

– Jasne – mruczę jedynie, po czym sięgam po nóż.

– Tylko nie zrób sobie krzywdy. – Uśmiech nie znika mu z ust. – Tak jak wczoraj. – Mruga do mnie, a ja udaję, że tego nie widzę.

– Bez obawy. Wczorajsze draśnięcie jeszcze niczego nie dowodzi – zapewniam pospiesznie. – Mam wprawę z tego typu zabawkami – dorzucam jeszcze, choć różnica między kuchennym nożem a skalpelem jest zasadnicza.

Nie jestem pewna, co takiego powiedziałam, ale Leo nagle poważnieje. Wyraźnie się spina, sztywnieje.

– Przepraszam – mówię, sięgając po deskę do krojenia, która leży przed nim.

Odsuwa się odrobine, a ja biorę ją i przesuwam w swoją stronę.

Chwytam dwa pomidory i uważając, żeby *nie zrobić sobie krzywdy*, kroję je na małe kawałki i wrzucam do uszykowanej wcześniej miski. Na szczęście poradziłam sobie świetnie, o czym świadczy obecność wszystkich palców u moich dłoni. Rozpiera mnie duma, choć staram się z nią nie obnosić.

– Z bazylią, tak? – zagaduję go raptem, bo nagle stał się jakiś wyjątkowo milczący.

Nie odpowiada, tylko kiwa głową.

Podchodzę do miejsca, w którym znajdują się zioła, i szukam właściwego. Po chwili namysłu ucinam nożem mały pęczek i wracam do stołu. Czuję na sobie zaciekawione spojrzenie Leo, kiedy siekam zieleninę, a to zaczyna mnie coraz bardziej krępować. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje, czemu tak reaguję na jego wzrok, ale gdy tak mi się przygląda, muszę jeszcze bardziej uważać, żeby się nie skaleczyć.

– Coś jeszcze? – pytam, dosypując do pomidorków posiekaną bazylię.

– Naprawdę nie umiesz gotować? – słyszę nagle, a w jego głosie po-brzmiewa niedowierzanie.

– Skąd takie stwierdzenie? – odpowiadam. – Uważasz, że tylko smażenie steków to wyczyn na miarę szefa kuchni?

– Nie. Wcale tak nie uważam, bo żaden ze mnie szef kuchni – mówi z przekonaniem.

– To dlaczego masz mnie za kulinarne beztalencie? – pytam wprost.

Liczę, że będzie ze mną szczery.

– Z tym beztalenciem to trochę przesadziłaś. – Znow puszczą do mnie oko.

– Możesz zatem wyjaśnić, o co ci chodzi? – Jestem już lekko zniecierpliwiona. Nie znoszę tego uczucia.

– Pomyliłaś bazylię z kolendrą – oznajmia spokojnie.

– Serio?

Prawda jest taka, że faktycznie mój wybór był dość... przypadkowy. Nie znam się na ziołach, ani trochę. Jak zresztą na wielu rzeczach, zwłaszcza związanych z kuchnią.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wczoraj? – docieka.

– A co by to zmieniło?

Patrzy na mnie, ale nie odpowiada, więc postanawiam zabić tę krępującą ciszę.

– Nie powiedziałam, bo i nie było o czym mówić. I tak już wcześniej zdążyłaś sobie wyrobić opinię na mój temat.

Nadal milczy, co oznacza, że musiałam trafić w punkt. Zresztą nie on jeden mnie tak oceniał. Przywykłam do takiego traktowania.

– Nigdy nie chciałaś się nauczyć czy nie dopuszczano cię do tego?

Nie wiem, dlaczego to go interesuje, ale zaskakuje mnie. Żadna z osób z mojego bliskiego otoczenia nie zadała mi nigdy dotąd takiego pytania. On jest pierwszy.

– Ojciec uważa, że powinnam się skupić na czymś innym.

– Na medycynie?

– Skąd wiesz? – Przyglądam się mu.

Znów odnoszę wrażenie, że patrzy na mnie w ten niepokojący sposób.

– Nie zapominaj, że każdy z ludzi twojego ojca wie o tobie wszystko.

– Zapewniam cię, że to nieprawda – odcinam się, ale bez złości. – Masz rację jedynie po części, ludzie ojca wiedzą o mnie sporo. Ale nie wszystko. O tym, że w kuchni mam dwie lewe ręce, nie wiedziałeś.

Na moment znów nastaje niezręczna cisza. Słysząc tylko skwierczenie mięsa.

– Przynieś talerze – odzywa się nagle, a ja posłusznie spełniam jego prośbę.

ROZDZIAŁ 6

LEO

Musiałem wziąć się w garść, żeby już niczego więcej nie spierdolić. Niemniej myśl o całej tej... medycynie sprawiała, że znów miałem ochotę trochę namieszać w moim planie działania. Opanowałem się jednak. Wiedziałem bowiem, że zbyt pochopne, często emocjonalne decyzje z reguły przynoszą mizerne skutki. A ja wreszcie chciałem poczuć się w stu procentach usatysfakcjonowany.

Patrzę, jak dziewczyna bez najmniejszego sprzeciwu wykonuje moje polecenie. A to już jakaś odmiana. Dotąd wyraźnie chciała mi pokazać, że to ona gra pierwsze skrzypce. Zerkam na nią, kiedy wyjmuje z szafki talerze i ustawia je na blacie. Na jednym z nich kładę steka, kroję go na pół, a potem tak jak zapowiedziałem wcześniej, dzielę się nim z nią. W zasadzie lubię się dzielić. Zawsze lubiłem, choć do pewnego momentu dzieliłem się z kimś innym, zwłaszcza jedzeniem. Ale teraz, w tym jednym momencie, już nie chcę do tego wracać. W tej chwili muszę po prostu udawać miłego.

– I jak ci smakuje? – pytam, widząc, że pierwszy kęs ląduje w jej ustach.

„Głupie pytanie” – besztam się w myślach, bo ona mruczy wymownie, a mnie natychmiast staje. Cóż, może i nie pałam do niej sympatią, ale prawda jest taka, że mam na nią ochotę.

– Jest pyszne – chwali mnie z pełnymi ustami. – Nie to co moja sałatka.
– Przewraca oczami, a ja uśmiecham się szczerze.

– Nie jest taka zła – zapewniam i skubię odrobinę.

– Taaa, widzę – śmieje się, obserwując, jak próbuję się nie krzywić.

– Po prostu nie przepadam za kolendrą – wyjaśniam.

Wtedy i ona kosztuje *swego dzieła*, po czym robi pełną obrzydzenia minę.

– Rzeczywiście. Szału nie ma, dupy nie urywa.

– Ano nie urywa – kwituję ze śmiechem. – Wina? – pytam, zerkając na wczorajszą ledwie napoczętą butelkę.

– A nie za wcześnie na wino? Nie ma jeszcze południa...

– Co z tego? Zresztą nikt nie musi się dowiedzieć. – Mrugam do niej.

– No nie wiem...

– Naprawdę się boisz, że cię upiję, a potem wykorzystam?

Już otwiera usta, żeby mi coś odpowiedzieć, może nawet odpyskować, ale ją ubiegam:

– Wierz mi, skarbie, że gdybym chciał, już dawno bym to zrobił.

– Jesteś bardzo pewny siebie jak na ochroniarza – mówi nagle poważnym głosem i przygląda mi się z zainteresowaniem.

Jak widać, nie doceniałem jej. Muszę być bardziej czujny. Ostrożniejszy. Zwłaszcza powinienem starannie dobierać słowa oraz bardziej ważyć to, co mówię.

– To źle? – pytam, siląc się na lekki, obojętny ton.

– Nie wiem. Jakoś się nie złożyło i dotąd nie miałam okazji, by któregoś z was poznać bliżej – wyjaśnia i tym razem to ona puszcza oko do mnie.

Punkt dla niej.

– No to jak będzie z tym winem? – dociekam, zerkając wymownie na butelkę.

– Będiesz po pijaku sterował łodzią?

– Zaraz tam po pijaku – śmieję się. – Poza tym nie jestem pewien, ale na oceanie chyba nie kursuje policja wodna. Czy się mylę?

– Nie mam pojęcia. – Wzrusza ramionami.

– Sama widzisz – kwituję.

Wstaję i wyjmuję z szafki dwa kieliszki. Nalewam do nich schłodzone wino.

– Poza tym, nawet jeśli bym się mylił, to co jakaś tam policja może zrobić córce i ochroniarzowi wpływowego oligarchy?

Nie odpowiada, tylko krzywi się nieznacznie. Nie wydaje się zachwycona tym komentarzem. Ale przecież nie powiedziałem nic, co nie byłoby prawdą.

– Nalej mi. – Zmienia szybko temat. – Tylko odrobinę – dodaje, jednocześnie wykonując gest, że niby patrzy mi na ręce.

– Bez obawy – mówię, napełniając oba kieliszki. Jeden od razu podsuwam jej. Natychmiast upija łyk. – Nie zamierzam cię wykorzystać – zapewniam ponownie. – No, chyba że sama będziesz tego chciała – dorzucam, przez co się krztusi czerwonym trunkiem.

Rzucam się jej z pomocą. Jeszcze by mi tego brakowało, żeby się zadławiła. Nie taki mam plan.

– Już? Oddychasz? – pytam, poklepując ją między łopatkami.

– Tak – odpowiada, wciąż lekko pokaszując. – Zdradzisz mi, dokąd mnie zabierasz?

– Do raju – mówię, a ona przewraca oczami.

– Pytam serio – wzdycha i nad wyraz ostrożnie bierze kolejny mały łyk. – Potrzebuję świeżej odzieży. Twoja koszula nadaje się do prania.

– Skąd pomysł, że należy do mnie?

Nigdy jej nie powiedziałem, że jest moja.

– Pachnie tobą – odpowiada wprost, a ja znów czuję ciasnotę w spodniach. – Więc?

– Co „więc”? – Chwilowo tracę wątek.

– Dokąd płyniemy?

– Do Lizbony.

– To przecież w Portugalii.

Mam ochotę jej dogryźć, jaka z niej bystra dziewczynka jak na... Ale gryzę się w język. Jest miło i nie chcę tego psuć. Kiwam tylko głową.

– Po co tam płyniemy i co będziemy robić na miejscu?

Ledwie się powstrzymuję przed powiedzeniem jej prawdy. Wiele chciałbym z nią zrobić... Muszę jednak ograniczyć się tylko do konkretów.

– Jak już dobijemy do portu, mam dostać dalsze instrukcje.

– Chcesz mi powiedzieć, że ojciec wysłał nas na dłuższą przymusową wycieczkę?

– A o to musisz już spytać jego.

– Jak zawsze – mruczy, a potem wychyla całą zawartość kieliszka.

„Ciekawe, że początkowo była taka ostrożna, nieufna...” – myślę, świntuszając w myślach.

– Nalać ci jeszcze? – pytam, a ona mruży oczy. Jej spojrzenie nie jest jednak gniewne. Raczej podejrzliwe. Urocza jest. – Już cię zapewniałem, że...

– Poproszę – wchodzi mi w słowo i przesuwa w moją stronę pusty kieliszek.

– Naprawdę? – Unoszę brew. – Nie boisz się mnie?

– Nie. Już nie – mówi, a potem bierze ode mnie do połowy napełnione szkło i upija z niego spory łyk. – Gdybyś miał nieczne zamiary, już dawno wcieliłbyś je w życie. Poza tym nie wyglądasz groźnie. – Mruga do mnie i oblizuje usta, na których osiadły kropelki wina. – Więc jedyne, co mógłbyś mi zrobić, to... – myśli – ...zrobić dobrze – dodaje, uśmiechając się od ucha do ucha, przez co tym razem to ja omal nie dławię się winem.

– Potrzebujesz pomocy specjalisty? – pyta drwiąco, widząc, jak odchrząkuję.

– Obejdzie się – burczę, wyobrażając ją sobie ze skalpelem w dłoni.

– Nie to nie – mówi jeszcze, a potem zeruje kolejny kieliszek.

Wstaje od stołu i idzie w stronę schodów, które wiodą na najwyższy pokład.

Patrzę w ślad za nią, ale nie ruszam się z miejsca. Po prostu nie mam ochoty na jej towarzystwo. Nie w tej chwili, nie po tym, co usłyszałem i co sobie naraz wyobraziłem.

SONIA

Nie mam pojęcia, co go ugryzło tym razem, ale najpierw mnie kokietował, a potem znów zaczął zachowywać się chłodno. W dodatku po raz kolejny odnoszę wrażenie, że spogląda na mnie takim wzrokiem, jakby chciał mnie zabić. Od samego wspomnienia jego zabójczego wzroku mam ciarki.

Wychodzę na górny pokład. Jacht kołysze się nieznacznie, ale silniki nie pracują. Spoglądam na wody Atlantyku. Spokojna tafla, na której odbija się gorące słońce, aż kusi, by się w niej ochłodzić. Oglądam się za siebie, upewniam się, że jestem sama, a potem szybko zdejmuję koszulę i wskażuję w odmęty oceanu. Zanurzam się na moment, ale szybko wypływam na powierzchnię. Woda jest chłodniejsza, niż się spodziewałam, jednak nie przeszkadza mi to zbyt. Mam ochotę na trening, przeciwiczenie mięśni. Ostatnie godziny przeleżałam w łóżku i jestem zdrętwiała. Naprawdę potrzebuję ruchu.

Zaczynam płynąć przed siebie. Początkowo obieram styl klasyczny, ale szybko odwracam się na plecy. Słońce mnie oślepia, ale też cudownie ogrzewa moją twarz i liże piersi. Zamykam więc oczy i dryfuję. Jest mi tak dobrze...

Nie wiem, jak długo daję się nieść delikatnym falom, ale kiedy na powrót otwieram oczy, widzę nad sobą jego wzburzoną twarz. Woda ścieka mu z włosów, a na czubku nosa gromadzą się kropelki. Chcę go zapytać, co tutaj robi, ale nawet nie dane mi jest otworzyć usta, gdy on chwyta mnie w pasie i zaczyna holować w stronę jachtu. Czuję się mało komfortowo, bo nagle uświadamiam sobie, że jestem zupełnie naga. Próbuję go odepchnąć, a nawet wytłumaczyć, że tylko pływam, ale on nie dopuszcza mnie do głosu i wrzeszczy na mnie na całe gardło:

– Życie ci, kurwa, niemiłe?!

– Odpierdol się – odpłacam mu pięknym za nadobne, a nawet próbuję się wyrwać, lecz jego szerokie dłonie, choć ślizgają się po moim brzuchu, trzymają mnie jak kleszcze.

Wtedy chwyta mnie mocniej, a kiedy nadal oponuję, rzuca groźnie:

– Nie zmuszaj mnie, żebym cię uderzył.

– Jak śmiesz?! – krzyczę mu prosto w twarz, próbując wziąć zamach. Bezskutecznie, bo odpiera atak, łapiąc moją rękę w powietrzu.

– Ani się waż! – syczy przy moich ustach.

– Puszczaj!

Gdy nie reaguje i nadal ciągnie mnie w stronę jachtu, znów próbuję go uderzyć. Ale i tym razem łapie mnie za rękę, a potem to samo robi z drugą. Widzę, że ledwie się powstrzymuje, by mnie za to nie ukarać. Gdy dopływamy do jachtu, wpycha mnie na rufę i po chwili sam się na nią podciąga.

– Zupełnie cię popierdoliło?! – wydzieram się, choć nadal trochę się obawiam, że spełni swoją groźbę i mnie uderzy. – Za mocno wczułeś się w rolę? – dodaję już odrobinę łagodniej. Nie chcę go prowokować. Nie do tego stopnia.

Nie odpowiada. Jest silnie wzburzony.

– Na górę!

Co?! Próbuję być miła, a on? Jeszcze mi rozkazuje. Niedoczekanie!

– Co to było? – pytam, kiedy naraz słyszę dziwny dźwięk, którego nie potrafię zinterpretować.

– Na pokład! – słyszę jedynie w odpowiedzi.

– Jeśli myślisz, że cię posłu...

– Powiedziałem, kurwa, na pokład! – Łapie mnie za ramiona i mocno mną potrząsa.

Już chcę mu powiedzieć, że zapłaci mi za to, ale wówczas po lewej stronie zauważam spiczastą trójkątną płetwę. I nagle wszystko staje się jasne...

Leo wpycha mnie na schodki, a potem pomaga mi wdrapać się na górę. Boję się jak nigdy dotąd, a mokre stopy ślizgają się podczas każdego kroku. Ale *on* jest za mną i pomaga mi. Zapominam, że jestem naga, a on dotyka moich pośladków, bo moich uszu dobiega kolejny dźwięk. Rekin najwyraźniej wyczuł ofiary, a do tego musi być głodny, skoro po raz kolejny uderza w jacht. Kiedy wreszcie udaje nam się wspiąć na górę, drzę.

– Przepraszam – mówię, szcękając zębami. – Nie pomyślałam, nie przypuszczałam... – dodaję i rozglądam się za koszulą. Niestety, została po drugiej stronie górnego pokładu. Ale teraz nie w głowie mi wstyd. Właściwie wstydzę się, i to bardzo, ale nie nagości, a własnej głupoty.

– A czy ty w ogóle myślisz?! – Leo wydziera się na mnie.

– Nie przesadzaj – próbuję się bronić. – W końcu nic się nie stało.

– Ale mogło się stać, do cholery! – wrzeszczy, a potem znów chwytam mnie za ramiona i po raz kolejny patrzy na mnie tym nieodgadnionym wzrokiem.

Boję się go.

– Nie rób mi krzywdy – szepczę, kurcząc się pod wpływem jego spojrzenia.

Wtedy zauważam, jak jego twarz się zmienia. Nadal jest zły. Wciąż zaciska palce na moich ramionach, ale już nie patrzy na mnie w ten... niezrozumiały sposób.

– Nie słyszałaś, jak cię wołałem? – pyta, odrobinę spuszczać z tonu. Rozluźnia też uścisk. – Nie widziałaś, jak machałem rękami?

Kręcę głową, bo naprawdę nie miałam o tym pojęcia, a następnie dodaję:

– Przysięgam.

Mam ochotę jeszcze się wytłumaczyć, że woda musiała mi chwilowo przytknąć uszy, a oczy oślepiło słońce, lecz zachowuję tę myśl dla siebie. Bo nagle zdaję sobie sprawę, że nawet jeśli byłoby inaczej, to i tak bym go nie posłuchała. Nie znosiłam, kiedy mi rozkazywano. Jedyńą osobą, której na to pozwalałam, był mój ojciec. Ale robiłam to ze zwykłego strachu. Wiedziałałam bowiem, do czego jest zdolny.

– Skąd wiedziałeś? – dociekam, kiedy wreszcie zabiera ręce i odsuwa się ode mnie. Od razu ruszam na przeciwległą stronę jachtu. Muszę się ubrać.

– Ten jacht ma na wyposażeniu sonde, która widzi wszystko, co znajduje się wokół: przeszkody, inne statki. Większe drapieżniki także – wyjaśnia już dużo łagodniejszym głosem.

Jedyne, co mogę zrobić, to po raz kolejny go przeprosić. Naprawdę głupio wyszło. Poza tym wypadało jeszcze podziękować za uratowanie mi życia. Najpierw jednak muszę się przyodziać.

Szybko zarzucam koszulę na ramiona; owijam się nią, co chyba nie jest najlepszym pomysłem, bo materiał przykleja mi się do ciała, przez co widać każdą krągłość i zagięcie. Ale nie przejmuję się tym zbytnio. Przecież już i tak widział wszystko. I to nieraz.

Wracam do Leo.

– Dziękuję – szepczę i próbuję nawet nieśmiało się uśmiechnąć.

Ale uśmiech z moich warg znika równie szybko, jak się pojawił, bo naraż widzę, jak stojący naprzeciw mnie mężczyzna zdejmuje koszulkę i rozpina spodnie, pod którymi... – Co robisz? – pytam piskliwym, niepodobnym do swojego głosem.

– Rozbieram się. Nie widać?

– Widać... – Łykam głośno ślinę. – Ale po co?

Kiedy zsuwa z siebie spodnie, moim oczom ukazują się jego nagie pośladki i... naprawdę okazałych rozmiarów fiut. Zupełnie zasycha mi w gardle.

Prawdopodobnie odrobinę wygłupiłam się tym pytaniem, bo przecież jego ubranie jest przemoczone, więc należało je zdjąć i wysuszyć, a najlepiej też wyprać.

– Daj – rozkazuję, ale on nie reaguje.

Zdaje się, że nie zrozumiał moich naprawdę szczyrych intencji. Wyciągam rękę, widząc, jak zaczyna rozwieszać mokrą odzież na jednym z krzeseł. Staram się na niego nie patrzeć, ale pokusa jest silniejsza, więc zerkam od czasu do czasu.

Ja pierdolę! Leo ma naprawdę boskie ciało i dopiero teraz mogę spokojnie mu się przyjrzeć. Mięśnie mu się prężą przy każdym ruchu. Na pośladkach także, co budzi we mnie naprawdę gorące skojarzenia, przez które zaczynam czuć łaskotanie w dole brzucha. Skupiam się zatem na podziwianiu reszty jego ciała. Wąska talia, mocne, szerokie plecy. I barki. Kilka starych blizn, które je pokrywają, dodaje mu wyjątkowości, charakteru. Mam ochotę ich dotknąć, pogłaskać je, a potem...

– Upiorę ci to. – Biorę się w garść i wyjaśniam, na co unosi znacząco brew. – No co? – pytam, wzruszając ramionami, udając totalną obojętność. – Musimy się jakoś uzupełniać. Ty mi gotujesz, ja ci piorę gacie! – Śmieję się z własnego żartu. – Uważaj, bo jeszcze będzie ze mnie materiał na żonę – dodaję, a potem zabieram jego rzeczy i znikam pod pokładem.

Mogłabym przysiąc, że kiedy napomknęłam o żonie, wyraz jego twarzy natychmiast się zmienił. Ale nie zamierzam się tym przejmować ani tego analizować. Przecież tylko żartowałam.

Ja i żona? Też mi coś. Brrr.

Kiedy znajduję się wreszcie w pomieszczeniu gospodarczym, wkładam mokre ubranie Leo do pralki i dolewam detergentu. Zerkam jeszcze na koszulę, która, odkąd wypłynęliśmy z portu, służy mi za jedyną garderobę. Oglądam się za siebie, upewniając się, czy nadal jestem tu sama. Wiem, to idiotyczne, bo przecież ten mężczyzna widział mnie już tyle razy naga, że powinnam przywyknąć do paradowania przed nim na golasa. Zresztą on teraz także świeci tyłkiem... Na myśl o jego idealnych pośladkach znów zasycha mi w gardle.

Po namyśle zdejmuję koszulę i wrzucam ją do bębna. Nastawiam program i uruchamiam pralkę, po czym szybko znikam w sypialni. Tu czuję się względnie bezpiecznie. I nie mam na myśli poczucia fizycznego bezpieczeństwa. Wiem, że ten facet mnie nie skrzywdzi. Bo niby czemu miałyby to zrobić, skoro dopiero co mnie ocalił? Po prostu wiem, że w razie *niekomfortowej* sytuacji zawsze mogę wskoczyć do łóżka i zakryć się kołdrą.

Mam w głowie mętlik. Próbuję sobie wmówić, że to normalne, bo przez ostatnie czterdzieści osiem godzin wiele się wydarzyło, ale jednocześnie

wiem, że chaos, jaki teraz panował w moim życiu, został wywołany przez tego mężczyznę, mojego prywatnego ochroniarza, niejakiego Leo.

Właśnie dociera do mnie, że nic o nim nie wiem. Na ogół nie interesuję się przesadnie ludźmi z ochrony czy w ogóle osobami z otoczenia ojca, ale naraz nachodzi mnie myśl, że może powinnam to zmienić. W końcu sytuacja, w której oboje się znaleźliśmy, jest zgoła odmienna od okoliczności, w których się dotąd znajdowałam. Postanawiam więc wypytać go o pewne sprawy, zadać mu kilka pytań wprost. Tak jest najlepiej. Przecież nawet nie wiem, ile ma lat, czy ma kogoś, może właśnie... żonę? Właściwie to nie mój interes, ale...

– Chryste... – mrużę, a potem zwlekam się z łóżka i idę do pomieszczenia gospodarczego, mając nadzieję, że pralka już skończyła program i będę mogła z niej wyjąć naszą mokrą odzież, by ją wysuszyć.

Moje prośby zostały wysłuchane. Wyciągam czyste ubranie, jednocześnie przeklinając w duchu, że ojciec nie pomyślał i nie zaopatrzył jachtu także w suszarkę, a potem ruszam na górę. Stąпам cicho, na paluszkach, żeby nie narobić hałasu. Zamierzam tylko rozwiesić pranie i przemknąć niezauważona, ale oczywiście nie byłabym sobą, gdybym sobie trochę nie popatrzyła...

Leo stoi przy sterze. Ręce opiera na kole, nogi rozstawił w lekkim rozkroku, ale pośladki ma zwarte. Naprawdę już od samego tego obrazka robi mi się gorąco.

– Chcesz czegoś? – pyta mnie nagle, a ja aż podskakuję. Sądziłam, że mnie nie zauważy.

– Ni...e – rzucam jedynie, a potem wycofując się pod pokład, dodaję: – Idę się położyć.

Gdy docieram do łóżka, odnoszę wrażenie, że serce chce mi wyskoczyć z piersi. Wali jak oszalałe, a ja nie umiem zebrać myśli. Chyba postradałam rozum, ale kiedy zapytał mnie, czy czegoś chcę, ledwie się powstrzymałam, żeby nie odpowiedzieć wprost.

Tak, chciałam. I to bardzo. Jego.

ROZDZIAŁ 7

LEO

Wielogodzinne stanie za sterem jest naprawdę wyczerpujące. Muszę przyznać, że to zupełnie co innego wypłynąć sobie naprawdę wypasionym jachtem na krótki rejs po to, żeby się pobyczyć, a płynąć niemal non stop, uciekając, by nie stać się celem ataku. Oczywiście i na to ostatnie jestem przygotowany, ale wolałbym uniknąć konfrontacji z wrogami Vasiljewa, zwłaszcza na otwartym oceanie. Tu możliwości obrony stają się znacznie mniejsze niż na brzegu. Na suchym lądzie szanse na przetrwanie wzrastały wielokrotnie.

Powoli zapada zmierzch, więc zamierzam zrobić sobie kilkogodzinną przerwę. Jestem zmęczony, a od stania nago w palącym słońcu spiekła mi się skóra. Na szczęście po tym, jak Sonia zrobiła pranie, moje ubranie zdążyło już wyschnąć. Wciągam spodnie na goły tyłek – nigdy nie noszę bielizny, bo czuję się w niej skrępowany – i wkładam koszulkę. Oczywiście z przekorą myślę także o włożeniu koszuli, ale się powstrzymuję. Nie chcę dłużej prowokować tej dziewczyny. Zresztą nie od dziś wiadomo, że kij ma dwa końce i ostatecznie to ja musiałbym się katować widokiem jej nagiego, ponętnego ciała. A tego chyba nie zniósł, zwłaszcza że od dawna nie byłem z żadną kobietą.

Gaszę silnik, zarzucam kotwicę, a następnie chwytam zupełnie już suchą koszulę i ruszam pod pokład. Odkąd Sonia przyszła tu, by rozwiesić ciuchy, nie widziałem jej przez całe popołudnie. Swoją drogą, nadal zadziwia mnie jej gest. Sądziłem, że paniusie jej pokroju nie mają bladego pojęcia,

jak uruchamia się pralkę czy inny sprzęt domowy. I muszę przyznać, że mnie zaskoczyła. Pozytywnie. Chociaż potem, jak wypaliła z tekstem o żonie, dosłownie mnie zatkało. Nie wiem, może roję sobie głupoty, ale przez moment wydawało mi się, że ta dziewczyna na mnie leci. W końcu doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie poniosła mnie wyobraźnia. W końcu samo patrzenie – a patrzyła na mnie, i to jak! Wprost pożerała mnie wzrokiem! – jeszcze niczego nie dowodzi. Zdaję sobie sprawę, że pomimo moich trzydziestu pięciu wiosen rzeźby mógłby mi pozazdrościć niejeden małolat. Nie, nie jestem zadufanym, zakochanym w sobie dupkiem. Po prostu latami pracowałem na taką sylwetkę.

Już po chwili zaglądam do sypialnianej kajuty. Jestem pewien, że Sonia się w niej zaszyła na wypadek, gdybym chciał do niej zagadać. Cóż, sprytnie. Tutaj mogła się ukryć przed moim wzrokiem. Czyżby się wstydziła?

Potwierdzam swoje przypuszczenia – dziewczyna śpi. Oczywiście typowo dla niej, na samym środku łóżka. I jak zwykle z porozrzucanymi wokół kończynami. Zanim zasnęła, okryła się cienką narzutą, ale w trakcie gdy drzemała i zapewne ruszała się we śnie, śliski materiał musiał zsunąć się z niej odrobinę, dzięki czemu mam teraz przed oczami działające na każdego faceta widoki. Jej drobne piersi falują podczas każdego oddechu, a ja nagle nabieram ochoty, by ich dotknąć, a nawet posmakować. Oczywiście powstrzymuję się przed tym, a jednocześnie nie omieszka spojrzeć niżej. Ma naprawdę wąską talię, więc natychmiast zaczynam sobie wyobrażać, jak ją obłapiam, kiedy biorę ją od tyłu.

Nie mam pojęcia, czy podświadomie wyczuła moją obecność, ale nagle, mrużąc coś pod nosem przez sen, przewraca się na bok, dzięki czemu mogę podziwiać jej naprawdę jędrne i kształtne pośladki.

Boże, co ja bym jej zrobił...

Uśmiecham się do własnych myśli; mając przed oczami ten *pobudzający* wyobraźnię widok, podchodzę bliżej. Nie zamierzam jej budzić ani jakkolwiek się jej narzucać. Przyszedłem tu w innym celu, z zamiarem oddania koszuli. Odpocznę gdzie indziej. W części jadalnianej stoją kanapy, więc może się przekimam na którejs z nich. Spanie obok tej dziewczyny, kiedy

jest naga, nie wydaje mi się najlepszym pomysłem. Co prawda, ja jestem w ubraniu, ale czy to powstrzyma mnie przed spełnieniem pragnienia, które mogło mną zawładnąć do reszty? A nie tego chciałem. Przecież mam plan.

Odkładam więc złożoną w kostkę i pachnącą morską bryzą koszulę na brzeg łóżka i odwracam się w stronę drzwi. I wtedy w kieszeni moich dżinsów rozbrzmiewa dzwonek telefonu. Gdybym wiedział, że właśnie teraz ktoś będzie chciał się ze mną skontaktować, odpowiednio wcześniej wyciszyłbym urządzenie. Ale za późno, stało się. Dziewczyna się budzi.

Wyjmuję smartfona i natychmiast odbieram. To szef, a on nie lubi czekać; od razu przechodzi do rzeczy. Słucham go, ale jednocześnie obserwuję jego córkę. Jest zdezorientowana, powoli podnosi się na łokciach. Dopiero kiedy odkrywa, że znów świeci nagim tyłkiem, łapie za róg narzuty i szczelnie się nią okrywa. Rozbraja mnie tym, ale udaje mi się powstrzymać od śmiechu; w trakcie rozmowy z jej ojcem muszę zachować powagę. Vasiljew wreszcie kończy swój wywód – informuje mnie, że w Lizbonie czeka już na nas wynajęte mieszkanie – a następnie pyta o córkę.

– Właśnie się obudziła – mówię zgodnie z prawdą.

– Daj mi ją – rozkazuje tonem nieznoszącym sprzeciwu.

„Jaka córka, taki ojciec” – myślę z przekąsem.

Oczywiście jak na porządnego, znającego zasady pracownika przystoi, posłusznie spełniam jego *prośbę* i wręczam telefon jego córce. Następnie na migi daję jej znak, że zostawiam ją samą i wychodzę z kajuty. Ale zamiast tak jak planowałem, iść na półpiętro, by położyć się na miękkiej kanapie, kieruję się do kuchni. Zgłodniałem.

„Ona pewnie także chętnie coś przekąsi” – przez głowę przemyka mi myśl. To dziwne; początkowo niańczenie jej mnie drażniło, a teraz nawet zaczyna mi sprawiać przyjemność.

Zaglądam do lodówki i ogarniam wzrokiem zawartość. Zapasów pewnie starczyłoby nam na tydzień albo i dwa. Wybór też jest naprawdę bogaty. Są świeże krewetki, jajka, cała masa rozmaitych serów – a to uświadamia mi, że zapewne w ich rodzinie gustuje się w tego typu przekąskach. Na górnej półce, w misce, leżą pomidory i sałata, piętro niżej znajduję jakieś gotowe

sosy i dipy. Ja jednak mam ochotę na coś bardziej pożywnego. Sięgam po jajka, ale po chwili rezygnuję i zamiast nich biorę krewetki, z szuflady na warzywa wyjmuję fenkuł i czosnek. Zamykam lodówkę i kładę na stół wszystkie składniki, a potem jeszcze sprawdzam, czy w którejś z szafek znajdę piwo. Niestety, tego akurat nie ma, więc zadowolam się białym winem. Też doskonale się nada. Pozostaje mi już tylko zabrać się do pracy.

Dziewczyna chyba ucina sobie dłuższą pogawędkę z ojcem, bo długo nie wraca. Nie zamierzam jednak iść tam teraz i podsłuchiwać pod drzwiami, żeby zaspokoić swoją ciekawość. Zresztą, co takiego miałbym usłyszeć, jakiego jej sekretu jeszcze nie poznałem? Zanim podjąłem się zadania, zrobiłem porządny research i wiem o tej rodzinie prawie wszystko, a ich pierdoły z życia prywatnego zupełnie mnie nie obchodzą. Nie obawiam się też tego, że Sonia mogłaby donieść na mnie ojcu, choć początkowo rzeczywiście nie byłem dla niej zbyt miły. Teraz nasze stosunki uległy znacznej poprawie, ale nawet jeśli młoda Vasiljewówna miałaby ochotę poskarżyć się na mnie, byłem pewien, że Vasiljew i tak nic z tym nie zrobi. Bo jak na ironię, on i ja mamy cechę wspólną. Dima Vasiljew to zbir, nie przeczę, ale też człowiek honoru. Zupełnie jak ja. A że zawdzięcza mi sporo, bo aż życie swojej jedynej córki, zasłużyłem na jego wdzięczność i przychyłność.

Krewetki dochodzą już w białym winie, więc podchodzę jeszcze do szafki, w której trzymamy pieczywo. Sięgam po bagietkę; zamierzam ją zgrillować na suchej patelni. Kiedy wracam do płyty indukcyjnej, zauważam, że mam już towarzystwo. Dziewczyna stoi w przejściu, oparta o framugę, i przygląda mi się w milczeniu. Ja czynię to samo i z ulgą odkrywam, że jest ubrana. Nie jestem pewien, czy to zasługa składników dodanych do sosu z krewetek, które rzekomo są afrodyzjakiem (próbowałem ich, by sprawdzić smak), czy raczej wina prześladującego mnie widoku jej seksownego, nagiego ciała, ale jestem bardzo pobudzony. Kolokwialnie mówiąc, chce mi się pieprzyć.

– Stało się coś? – odzywam się pierwszy, a wtedy ona podchodzi i oddaje mi telefon. Nadal jednak milczy. – Sonia?

Chyba po raz pierwszy zwróciłem się do niej w ten sposób. I prawdę mówiąc, nawet podoba mi się brzmienie jej imienia w moich ustach. Ale ona nadal nic nie mówi, tylko wzdycha i siada na barowym stołku, na wprost wyspy, przy której stoję i gotuję.

– Co się dzieje? – pytam ponownie.

– Ojciec mówi, że na razie mój powrót do Londynu nie jest możliwy.

Mam ochotę powiedzieć jej, że przecież skoro płyniemy w przeciwnym kierunku, to powinna była sama się tego domyślić, ale gryzę się w język. Nie zamierzam się kłócić.

– Zwodzi mnie – kontynuuje – a nawet insynuuje, że długo się tam nie pojawię.

– Widocznie ma powód...

– Nic nie rozumiesz! – Sonia podnosi głos. Nie wydaje się jednak zła na mnie, ale na to, co ją spotkało. – Za kilka dni mam rozmowę, od której wiele zależy. Jeśli do niej nie podejść w terminie, profesor może mi utrudniać na kolejnych etapach, a ja będę musiała zaczynać od nowa. Chcę być lekarzem, a nie wiecznym rezydentem!

Mam ochotę zapytać: „Wyrzucić? Ciebie? Przecież jesteś pupilką swego ojca, a on steruje większością wysoko postawionych osobistości tego miasta, a już na pewno władz szpitala, w którym *praktykujesz*”. Ale również tę myśl zachowuję dla siebie.

– To dla ciebie problem? – podejmuję, snując pewną wizję, która budzi we mnie odrazę. Myśl o tych *praktykach* budzi we mnie emocje, nad którymi próbuję zapanować. Tłamszę je, bo wybuch złości czy wściekłość, która mnie zalewa, ilekroć o tym myślę, mogłyby wszystko zepsuć. – To takie ważne? – pytam jedynie.

– Tak, do cholery! – mówi, a potem wstaje, podchodzi do szafki i wyjmuje dwa kieliszki do wina. Następnie sięga po butelkę, którą otworzyłem w trakcie przyrządzania sosu, i nalewa nam po solidnej porcji.

– Myślisz, że alkohol to dobry pomysł?

Nie od razu odpowiada, ale zanim bierze pierwszy łyk, wyraźnie się waha.

– O co ci chodzi? – Obraca kieliszek w dłoniach i patrzy wyczekująco.

– Rano po winie omal nie padłaś ofiarą rekina – wyjaśniam.

Trochę się z nią drocę, nie przeczę.

– Bez obawy – odpowiada, a potem pociąga kolejny spory łyk. – Nie zamierzam się kapać, więc jeśli miałabym stać się czyjąś ofiarą, to najprędzej twoją, bo oprócz ciebie nie widzę tu żadnego innego drapieżnika – dodaje i znów zanurza usta w winie.

Kręcę głową i się uśmiecham. Nie mogę uwierzyć, że właśnie przyrównała mnie do krwiożerczej bestii.

Zaskakuje mnie. A gdy tylko pomyślę o jej rzekomej *ofierze*, natychmiast mi staje. Naprawdę mam na tę dziewczynę coraz większą ochotę. Problem w tym, że nie wiem, co z tą ochotą zrobić.

– Nie prowokuj mnie – silę się na żart, choć mówię już całkiem poważnie.

Ona także się nie śmieje. Wychyla resztę wina i sięga po butelkę.

Muszę działać, bo nie chcę, żeby się upiła. A już na pewno nie w takim szalonym tempie. Pijane kobiety na ogół sprawiają masę kłopotów, a ja nie mam na to najmniejszej ochoty. Po głowie chodzi mi bowiem coś innego.

SONIA

Ojciec, pośród wielu wad, z którymi się obnosił, miał jedną, wyjątkowo pasudną manierę. Uwielbiał prześladować ludzi. Do tego, że terroryzował wrogów, przywykłam. Ale gdy zaczynał nadmiernie kontrolować mnie, musiałam się jakoś bronić. Budził się we mnie wówczas instynkt obronny i... tęsknota za matką. Nie wiedziałam o niej nic, co pomogłoby mi stworzyć w głowie jej obraz. Urodziła mnie, a była mi zupełnie obca. Nie posia-

dałam z nią żadnych wspólnych wspomnień. Postawiłam więc na własną fantazję. Wielokrotnie wyobrażałam sobie, jaka byłaby dla mnie dobra, że kochałaby mnie tak, jak na to zasługiwałam. Ale wyobrażenia nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, a ja naprawdę nie mogłam odżałować, że nigdy jej nie poznałam, że nic o niej nie wiem... Do czasu.

Kiedyś któryś z dzieciaków z jednej z *zaprzyjaźnionych* rodzin coś napomknął na temat mojej matki. Początkowo uznałam to za stek bzdur – przecież moja matka nie mogła być zwykłą prostytutką. To jakiś absurd! Początkowo nie chciałam w to uwierzyć, ale wątpliwości narastały. Zapytałam więc o to ojca, wprost. Tak było najrozsądniej. I pomimo że bardzo bałam się jego reakcji, liczyłam, że będzie ze mną szczery. Był. Ten jeden raz był ze mną szczery. Aż do bólu. Opowiedział mi wszystko...

Mówił, że moją matkę wziął prosto z ulicy. Zarabiała na życie ciałem, ale rzekomo była ładna, więc zwrócił na nią szczególną uwagę. To było w Polsce, w Warszawie. Mój ojciec ponoć robił tam wtedy interesy z jakimś skorumpowanym politykiem. Kiedy ujrzał moją matkę na chodniku jednej z najbardziej uczęszczanych ulic w mieście, kazał kierowcy zatrzymać samochód, po czym zaprosił ją do środka i od razu zaproponował kasę za seks. Oczywiście zgodziła się bez wahania. Za sumę, jaką jej zaoferował, każda by to zrobiła, może nawet taka, co niekoniecznie ma doświadczenie – tak mi wówczas powiedział. A potem zaoferował jej coś, co rzekomo sama później nazywała kontraktem życia. Ojciec bowiem oczekiwał od niej, że urodzi mu dziecko. I ona na to przystała. Szybka kasa, zero obowiązków. Po porodzie mogła bez żadnych konsekwencji wrócić do dawnego życia. Czysty układ. Seks, dziecko, potężna kasa. Nie przewidziała tylko, że zamiast wymarzonego syna następcy urodzi mu córkę.

To dla ojca było hańbiące. Wściekł się, zwłaszcza że przez całą ciążę lekarze zapewniali go, że wynajęta surogatka urodzi mu zdrowego chłopca. Rzekomo chwalił się już tym faktem wszem wobec. Planował nawet jego przyszłość. Ale zamiast chłopca na świecie pojawiłam się ja. Nie tak się umawiali z matką... Nie przekonywały go też zapewnienia młodej polskiej

dziwki, że wcale go nie oszukała, że to zawiódł sprzęt do USG – w sumie dzięki tej pomyłce, wadliwości sprzętu czy tam zrządzeniu losu żyję.

Ojciec bowiem podczas tej długiej, wyczerpującej opowieści bez mrugnięcia okiem powiedział mi o czymś, co zmroziło mi krew w żyłach. Zakomunikował, że mieli z moją matką umowę: każda poczęta dziewczynka miała umrzeć jeszcze przed narodzinami.

A jednak ja jakimś cudem przyszedłam na świat...

Moja matka rzekomo próbowała go jakoś udobruchać; mówiła, że przecież takie rzeczy się zdarzają, że na ekranie nie zawsze wszystko widać, że może oddać mu się kolejny, a jeśli trzeba to jeszcze kolejny raz. Do skutku, tak jak chciał. Ale on uważał, że ośmieszyła go przed ludźmi z branży, przed którymi on już chwalił się pierworodnym. Zabił ją więc na przyjęciu, które zorganizował na moją cześć... Rzekomo nie brakowało mu fantazji i zrobił to w iście mistrzowski, spektakularny sposób.

Na sam koniec tej jakże szczerzej i sięgającej rodzinnych korzeni rozmowy mój ojciec dodał jeszcze, że jestem do niej podobna...

Długo nie mogłam się po tym pozbierać. Miałam raptem dwanaście lat, kiedy zapytałam i gdy ojciec zdobył się na szczerłość. Wydaje mi się jednak, że nawet gdybym miała dwadzieścia, a nawet i trzydzieści lub więcej wiosen, to i tak nie byłabym gotowa na przyjęcie tej okrutnej prawdy.

Ale to jeszcze nie koniec. Gdy poznałam prawdę o matce, ojciec po raz kolejny udowodnił, że nie ma litości nawet wobec własnego dziecka. Zdecydował, że muszę się nauczyć polskiego. Ot, taki miał kaprys. „Dzięki temu pamięć o twojej matce nigdy nie zgaśnie” – ujął z przekąsem.

Nie zgasła i nie zgaśnie, tego akurat byłam pewna. Jak i tego, że mój ojciec nie cofnie się przed niczym, jeśli tylko zechce osiągnąć jakiś cel.

– Sonia? – Mój ochroniarz znów nazwał mnie po imieniu.

W jego ustach zabrzmiało ono jakoś tak... Subtelnie. A może dopatrywałam się Bóg wie czego? Może to była tylko moja wyobraźnia.

– Przepraszam, zamyśliłam się.

– I posmutniałaś – mówi, sięgając po swój kieliszek z winem.

– Dopadła mnie przeszłość – odpowiadam jedynie, a potem znów upijam łyżeczek wina. Muszę je sączyć powoli, bo on już zabrał butelkę.

Cóż, chyba dba o mnie bardziej, niż powinien. Niemniej doceniam to.

– Chcesz o tym pogadać? – proponuje.

Zaskakuje mnie, ale muszę mu odmówić. Obawiam się, że by nie zrozumiał. Kręcę więc głową.

– Zjedz coś. – Podsuwa mi pod nos talerz z jedzeniem obłędnie pachnącym czosnkiem i koprem. – Od razu poprawi ci się humor. – Uśmiecha się ciepło.

Do twarzy mu z tym uśmiechem, muszę przyznać. Od razu wygląda młodziej, choć kiedy usta mu drgają, wokół nich pojawia się kilka małych zmarszczek. Nie są one jednak oznaką jego dojrzałości.

– Poza tym z pustym żołądkiem nie myśli się najlepiej – przekonuje.

– Bywają dni, że wolałabym w ogóle przestać myśleć, a nawet czuć.

Chyba odrobinę przesadziłam z tą wylewnością, bo przygląda mi się z namysłem. Na szczęście dla mnie nie komentuje tego, co powiedziałam.

– No dobra – postanawiam szybko zmienić niewygodny temat. – Jedzmy, zanim całkiem wystygnie.

Na szczęście mężczyzna, z którym jadłam kolację, okazuje się na tyle taktowny, że już mnie nie przepytuje. Mało tego, potrafi być szalenie miły i czarujący, co stanowi naprawdę miłą odmianę. Reszta wieczoru przebiega więc w fajnej atmosferze. Uśmiecham się, dowcipkuję – i wcale nie jest to zasługa alkoholu, bo mój *anioł stróż* nie pozwala mi już więcej pić. Sam zresztą także tego nie robi i zadowala się ledwie jednym kieliszkiem.

W dodatku po raz kolejny muszę przyznać, że ten facet naprawdę zna się na gotowaniu. Choć nie, wiedza a umiejętności to dwie różne sprawy, a on po prostu świetnie gotuje! Te krewetki w warzywach i winie razem z grillowanym pieczywem smakowały obłędnie. Dotąd jakoś nie przepadałam za

owocami morza, ale to danie podbija zarówno moje serce, jak i podniebienie.

Zjadam podwójną porcję, a potem z pełnym brzuchem wracam do łóżka. Leo postanawia, że dołączy do mnie później. Nie jestem pewna, czy jest ze mną szczery. Wydaje mi się, że będzie spał na kanapie w salonie. Widziałam, jak przez cały dzień na mnie patrzył, jak pożerał mnie wzrokiem. Grzeczne spanie w jednym łóżku mogło zatem być dla niego zbyt wielką pokusą i jako zadanie... zwyczajnie go przerosnąć. Gdyby do czegokolwiek między nami doszło... Hm... To byłoby nieprofesjonalne.

Cóż, szkoda...

ROZDZIAŁ 8

LEO

Sonia dziękuje za kolację i wraca do sypialni. Ja jeszcze przez jakiś czas siedzę przy stole, obracając w dłoniach kieliszek z resztkami niedopitego wina, i rozmyślam. Próbuję rozszyfrować, jakie wydarzenia z przeszłości wspominała. Jestem jej częścią, choć ona jeszcze o tym nie wie. Nie ma świadomości, że ją znam. Nie zamierzam jednak zdradzać jej teraz żadnych szczegółów. Na wszystko przychodzi odpowiedni czas. Zwłaszcza na prawdę.

Wreszcie wstaję od stołu, ale zamiast pójść się położyć, idę w stronę kapitańskiego kokpitu. W mojej głowie szybuje milion myśli, więc pewnie i tak nie zasnę. Zamierzam nadrobić jeszcze trochę drogi.

Nastaje świt, a ja nadal steruję. Padam z nóg, ale uparcie podążam do celu. Nie jestem pewien, dlaczego tak się katuję; odnoszę wrażenie, że chcę się w ten sposób ukarać za własne myśli. Nie wszystkie są takie, jakie wydaje mi się, że powinny być. Zaczynam mieć wątpliwości, a dla dobra planu nie mogę mieć żadnych. Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale nie podoba mi się to ani trochę. W dodatku raz po raz przed oczami pojawia mi się jej obraz. Jest naga i taka chętna...

– Kurwa! – klnę pod nosem.

Wreszcie postanawiam się zdrzemnąć. Właściwie to chyba muszę, bo chwilami wydaje mi się, że widzę podwójnie, zupełnie jakbym przesadził

z alkoholem albo innym gównem. Nie lubię się tak czuć, więc decyduję się na krótki odpoczynek.

Idę pod pokład, ale zanim wchodzę do sypialni, myślę, że przydałby mi się prysznic. Muszę ochłonać i zrobić coś z ciśnieniem w spodniach, które trzyma mnie już od kilku długich godzin. Podejrzewam, że to zasługa tych wszystkich afrodyzjaków, z których skomponowałem danie. Nie żebym był masochistą. Przyrządziłem je z myślą o niej. Liczyłem na to, że jej libido poszybuje w górę, a tymczasem, pomimo że zjadła naprawdę przeolbrzymią porcję, poszła znudzona spać. Sama.

Rozbieram się i wchodzę pod prysznic. Puszczam wodę, zamykam oczy i od razu biorę do ręki swojego nabrzmiałego członka. Muszę sobie jakoś pomóc, bo oszaleję. Zaczynam go pocierać, to w górę, to w dół, sunąc dłonią po całej jego długości, docierając do ciężkich jąder i z powrotem, do samego czubka. Otwieram usta, posapuję cicho, bo już przyjemny prąd biegnie wzdłuż mojego kręgosłupa. Jeszcze chwila, jeszcze momencik...

I nagle czuję na swoich ramionach czyjeś dłonie. Początkowo myślę, że tylko mi się wydaje, ale kiedy otwieram oczy i odwracam głowę, spostrzegam Sonię. Obchodzi mnie niepewnie, zupełnie jakby się obawiała, że ją wyproszę albo co gorsza, każę się wynosić. Ale ja nie zamierzam tego robić. Zwłaszcza kiedy słyszę:

– Pomogę ci.

Nie jestem pewien, co stanie się za chwilę i jak to się będzie miało względem moich wcześniejszych planów, ale w tej jednej chwili nie zamierzam odsyłać tej dziewczyny z kwitkiem. Pochyliam się w jej stronę i odnajduję jej usta. Oczywiście chętnie odpowiada na mój pocałunek. Przyspieszam więc ruchy dłoni, którą nadal się masturbuję, ale wtedy dziewczyna robi krok w tył. Następnie kładzie ręce na mojej dłoni i odsuwa ją. Klęka, otwiera usta i bierze mnie, głęboko, do końca. Czuję, że dotykam jej gardła, kiedy zaczynam się w niej poruszać, ale ona wytrzymuje, a nawet jeszcze mocniej i chętniej na mnie napiera. W dodatku zaczyna mnie ssać. Nawet nie muszę mówić, jakie to cholernie przyjemne...

Dochodzę w jej ustach w kilka sekund. Moja sperma spływa wprost do gardła klęczącej przede mną dziewczyny, ale ona nie przestaje mnie pieścić. Nadal mnie ssie i masuje moje jądra.

– Kurwa – jęczę. Mam wrażenie, że za chwilę oszaleję.

Podnoszę ją z kolan i znów całuję. Nie przeszkadza mi mój własny smak w ustach. Jestem tak podjarany, że zniósłbym znacznie więcej. Chwytam ją za pupę. Ma jędrną i przyjemną w dotyku skórę, tak jak to sobie wyobrażałem. Podnoszę ją i sadzam na sobie okrakiem. Piszczy, kiedy nieco tracę równowagę, bo w kabynie jest naprawdę ślisko. Znów zaczynamy się całować, a po naszych ciałach spływają strumienie gorącej wody. Nakierowuję na nią znów gotowego fiuta i wbijam się w nią. Dziewczyna wydaje cichy okrzyk i zaczyna mrużyć z rozkoszy, kiedy wypełniam ją do samego końca. Mnie to także sprawia niebywałą przyjemność. Jest taka ciasna i ciepła. Przypieram ją do jednej ze ścian kabiny i zaczynam pieprzyć. Sonia oplata mnie ciasno nogami, a rękami obłapia moją szyję i głowę. Jęczy na całe gardło, a to brzmi jak muzyka dla moich uszu. Nie spodziewałem się, że ją usłyszę, ale teraz, w tej jednej ulotnej chwili, ten jęk wydaje mi się najpiękniejszy z dźwięków, jakie kiedykolwiek słyszałem.

Zdecydowanie za dużo czasu spędziłem w łóżku. Oczywiście nie spałem, bo pieprzyłem dziewczynę, na którą nawet nie powinienem spojrzeć. Ale spojrzałem...

I stało się.

Teraz jednak nie zamierzałem sobie tym zaprzętać głowy. Teraz musiałem jakoś ją przekonać, że naprawdę muszę wracać za ster. Miałem złe przeczucia. Być może chodziło o to, że od wielu godzin robiłem coś, na co nie powinienem był sobie pozwalać, ale naprawdę czułem niezrozumiałą obawę. A może to wyrzuty sumienia?

– Muszę już iść – mówię, całując ją w przelocie i próbując wstać.

Ale ona mnie wcale nie słucha. Popycha mnie na powrót na poduszki, a potem siada na mnie, a właściwie nadziewa się na mojego od wielu godzin prawie wcale nieopadającego penisa. Sądziłem, że po trzeciej rundzie wreszcie będę miał spokój z nieustającym wzwozem, ale jak widać, się myliłem.

– Sonia...

– Tak? – mruży, zamyka oczy, podnosi ręce i zagarnia w górę spoczone włosy, które kleją się jej do karku. Pręży się, wypina piersi. Wygląda jak bogini.

– Powinienem... Muszę...

– Jedyne, co musisz, to mnie pieprzyć – mówi i zaczyna rytmicznie poruszać biodrami.

Nie mam wyjścia. „Muszę skapitulować, ten ostatni raz” – przysięgam bezgłośnie. Negocjowanie z nią chyba nie ma większego sensu, bo już zaczyna przyspieszać. Czuję przyjemne dreszcze na ciele; chciałbym zamknąć oczy, by móc się nimi w pełni delektować, ale nie mogę oderwać wzroku od jej sterczących, małych piersi, które teraz podskakują przy każdym jej energicznym ruchu. Wspieram się na łokciach i sięgam ustami ku jej sutkom, a to działa na nią naprawdę pobudzająco. Zaczyna ujeżdżać mnie jeszcze szybciej i mocniej, nabierając szaleńczego wręcz tempa. Po chwili oboje szczytujemy.

– Naprawdę muszę już iść – szepczę, obejmując ją i całując czubek nosa. A potem wyślizguję się spod niej i kładę ją w pościeli, a sam wychodzę z łóżka.

Nie wygląda na zachwyconą, ale już mnie nie zatrzymuje. Nic dziwnego. Jest zmęczona, podobnie zresztą jak ja. Maraton seksualny wykończył nas oboje.

– Odpoczywaj – mówię jeszcze, a potem ubieram się i wychodzę.

SONIA

Nie wiem, jak długo spałam, ale kiedy się budzę, przez okno wpada mocne, gorące słońce. Podnoszę głowę z poduszki i siadam na łóżku. Rozglądam się po pokoju. Nigdzie nie widzę swojego kochanka. Przez moment zastanawiam się, czy nie przyśniłam sobie *tego wszystkiego*, ale widok zmiętoszonej pościeli nie pozostawia mi złudzeń. Ten facet kochał się ze mną. I to wiele razy.

No cóż, znał się na rzeczy. Wcześniej miałam już kilku kochanków, ale to Leo okazał się ucieleśnieniem moich seksualnych fantazji. Był mistrzem w łóżku. A kiedy chwycił mnie za gardło i przytrzymał, czułam buzującą adrenalinę. Czy lubiłam takie zabawy? Dotąd nie robiłam tego z żadnym innym facetem, ale muszę przyznać, że mi się podobało. Nie licząc chwil, kiedy czułam lekką obawę. Przecież gdyby Leo tylko mocniej zaciśnął palce...

„Cóż – przyznaję. – Całe moje popieprzone życie to jedna wielka, ryzykowna gra”.

Niemniej nawet teraz, na wspomnienie tego, co ze mną robił, staję się mokra i mam ochotę na więcej.

Czuję się obolała, ale też wypoczęła, jak nigdy wcześniej. Potrzebowałam tego. Od dawna brakowało mi prawdziwego faceta, który znalazłby się na rzeczy, a nie wymuskanego chłoptasia, jednego z wielu, jakich wciąż spotykałam w życiu. Leo jest inny. I wcale nie mam na myśli jego wieku, o który zamierzam go spytać, jak tylko nadarzy się ku temu sposobność. Zresztą chcę dowiedzieć się na jego temat znacznie więcej, skoro najbliższy czas mamy spędzać wspólnie. Wracając jednak do spraw łóżkowych... Ten facet po prostu umiał odczytywać moje potrzeby. Zdawał się wiedzieć, czego pragnę, o czym marzę. Spełniał moje najśmielsze fantazje, czerpiąc z tego wyraźną satysfakcję. Dotąd żaden z moich kochanków nie zachowywał się tak jak on. Każdy z nich był aktywny w łóżku, ale żaden nie liczył się z moimi potrzebami. Leo tym właśnie się od nich różnił.

Opuszczam łóżko, owijając się jedynie jedwabną narzutą. Pragnę go zobaczyć, dotknąć, wtulić się w jego szerokie ramiona. Marzę o jego ciepłych

dłoniach wędrujących po moim nagim ciele, o języku zaznaczającym mokłą ścieżkę na mojej skórze. Pragnę go, w całości.

Zastaję go w kuchni. Znowu dla nas gotuje. Uśmiecham się niepewnie, kiedy mnie zauważa. On także raczy mnie uśmiechem, ale wygląda na skonanego. Nic dziwnego; zamiast odpocząć, kochał się ze mną przez pół nocy, a potem od razu poszedł za ster. Zanim zapadłam w sen, wyraźnie poczułam, że znów płyniemy.

– Dzień dobry – mówię, podchodząc bliżej. Nie siadam jednak na krzesło, ale stoję obok Leo.

– Witaj – odpowiada ciepłym głosem. – Jesteś głodna?

– Bardzo – rzucam bez namysłu.

Widzę jego twarz z profilu, więc nie sposób nie zauważyć, że się uśmiecha. Nic dziwnego; moja odpowiedź zabrzmiała – a raczej była dwuznaczna. Prawda jest jednak taka, że jestem cholernie głodna. I wcale nie mniej spragniona.

– Jeśli nie przestaniesz, to nie dość, że się nie najemy – mówi, mieszając drewnianą łyżką jajecznicę na patelni – to jeszcze nigdy nie dopłyniemy do Lizbony.

– A może ja wcale nie chcę tam płynąć? – drocę się z nim.

Muszę jednak przyznać, że właśnie teraz naprawdę mam ochotę zniknąć z nim gdzieś, zaszyć się na końcu świata. Z dala od problemów, z dala od rzeczywistości, w której przyszło mi żyć. Tylko z nim. I jak najdalej od ojca.

– Mówisz serio? – Zerka na mnie, nie przerywając mieszać jajecznicy.

Niepewnie kiwam głową.

– Jest jakiś powód? – pyta, zdejmując z kuchni patelnię z gotowym posiłkiem i przyglądając mi się uważnie.

Waham się, jak odbierze moją szczerość, więc odpowiadam wymijająco:

– Moje życie. Chciałabym coś w nim zmienić.

Leo milczy, ale jeszcze przez chwilę patrzy mi w oczy. Wydaje się, że próbuje zrozumieć sens moich słów, choć ten jego wzrok... Nie lubię, kiedy

spogląda na mnie w tak przenikliwy sposób. Na szczęście odwraca spojrzenie. Nakłada jajecznicę na talerze i mówi:

– Pozwolisz, że się nad tym zastanowię?

Właściwie nie wiem, co takiego zamierza analizować, ale kiwam głową. Jest mi na rękę, że już mi się tak usilnie nie przypatruje i nie wypytuje o szczegóły, bo jego wzrok mnie odrobinę przytłacza, a ja nie mam teraz ochoty opowiadać mu o swoim beznadziejnym życiu. Nie znam go, nadal nic o nim nie wiem, więc nie mam pojęcia, jak by zareagował na prawdę o mnie.

– A teraz nie patrz już na mnie w ten sposób, bo musimy coś zjeść – mówi nagle.

– Niby jak według ciebie patrzeć? – podłapuję szybko i gapiąc się na jego wargi, oblizuję usta.

– Już ty wiesz – rzuca, pokazując mi jednocześnie, żebym zajęła miejsce za stołem.

Spełniam jego prośbę i siadam nad jednym z talerzy. Natychmiast biorę do ręki widelec i kosztuję śniadania.

– Pyszna – mruczę już po pierwszym kęsie, a on uśmiecha się nieznacznie, zanurzając widelec w swojej jajecznicy. – Opowiedz mi coś o sobie.

– Mam ci o sobie opowiedzieć? – powtarza po mnie. Wydaje się szczerze zaskoczony.

Zważywszy na fakt, że jest moim ochroniarzem i pracuje dla mojego ojca, mogło wydawać mu się dziwne, że chcę go bliżej poznać. Niepotrzebnie, bo gdybym rzeczywiście traktowała go jak zwykłego bodyguarda, nie poszłabym z nim do łóżka. Dopóki nie stanął na mojej drodze, wyznawałam sztywną zasadę niespoufalania się z pracownikami. Dla niego zrobiłam wyjątek, bo wydał mi się na swój sposób wyjątkowy.

– A co w tym dziwnego? – odpowiadam, delektując się każdym kęsem pochłanianej jajecznicy. – Sypiam z tobą.. – Celowo używam czasu teraźniejszego. W głębi duszy liczyłam na to, że nasz romans dopiero nabierze tempa. – Więc chciałabym cię lepiej poznać.

Kiwa głową, ale nic nie mówi. Chyba właśnie poddaje analizie moje słowa. Niepotrzebnie, bo nie ma w nich żadnego podtekstu. Są szczerze, pozbawione wszelkich aluzji. I płyną prosto z mojego serca.

– Co chcesz wiedzieć? – odzywa się w końcu.

– Na przykład skąd pochodzisz? Czy lubisz gotować? Bo muszę ci powiedzieć, że dotąd nie spotkałam faceta, który tak świetnie radzi sobie w kuchni. No, nie licząc szefów kuchni z bardzo cenionych restauracji – uśmiecham się, na co on również posyła mi lekki uśmiech.

– Pochodzę z Włoch.

– Jesteś Włochem? – Zaskakuje mnie, choć jego nagłe wyznanie nie powinno mnie aż tak bardzo dziwić. Ma ciemne włosy, piękną, oliwkową karnację i wygląda jak ciacho. To typowe dla Włochów.

Kiwa głową.

– A ja myślałam, że Polakiem. Znasz polski, więc...

– Mam... polskie korzenie.

Nie wiem, dlaczego się zawahał, kiedy o tym napomknął. Nie zastanawiam się jednak nad tym dłużej, bo muszę mu powiedzieć coś ważnego.

– To tak jak ja!

Nie wiem, dlaczego reaguję tak spontanicznie i radośnie. Zważywszy na historię mojej matki, chyba nie powinnam. Ale ta wiadomość mnie ucieszyła, bo poczułam, że mamy ze sobą coś wspólnego... Że może to być ktoś choć trochę podobny do mnie, ktoś, kogo nigdy nie miałam.

– Naprawdę? – pyta, choć nie wydaje się zaskoczony. Cóż, najwyraźniej ojciec nawet przed pracownikami nie krył się zbyt z faktem, w jakich okolicznościach spłodził swoją jedyną córkę.

– Moja matka była Polką – wyjaśniam bez wcześniejszego entuzjazmu, starając się mówić już mniej zaangażowanym głosem. – Chcesz mi zatem powiedzieć, że wszyscy Włosi są mistrzami w kuchni? – postanawiam zmienić temat.

– Pewnie nie wszyscy – odpowiada. – Ja posiadam sztukę gotowania, kiedy odeszła moja żona.

– Miałaś żonę? – podłapuję w mig. Nie sądziłam, że wydobyć od niego tej informacji okaże się takie proste. Myślałam, że będę musiała trochę bardziej się postarać.

W odpowiedzi znów zaledwie kiwa głową. Widzę, że nie chce zagłębiać się w temat. Cóż, rozumiem go. Mówienie o byłych, zwłaszcza z aktualną kochanką, jest co najmniej niezręczne.

– Czasem z bardzo niefajnych rzeczy wychodzi coś dobrego – kwituję żartobliwym tonem. – Dzięki temu, że nie udało ci się z żoną, pokochałeś gotowanie – rzucam, a kiedy uparcie milczy, dodaję: – Nie mylę się, prawda? Bo w twoich daniach czuje się pasję i ogromną miłość.

– To prawda – odpowiada, ale jest strasznie poważny, i ta jego powaga nie bardzo pasuje do tematu rozmowy. – Gotowanie jest moją zajawką.

Na jego twarzy znów pojawia się nieznaczny grymas i Leo próbuje go zatuszować. Nie rozumiem, co się dzieje, dlatego postanawiam uciąć temat i szybko zacząć inny, moim zdaniem bardziej neutralny.

– Ile masz lat? – kontynuuję przesłuchanie.

– Trzydzieści pięć.

– Stary jesteś. – Mrugam do niego.

Liczę, że podłapie żart, bo nie chcę, żeby się na mnie obraził. Z doświadczenia wiem, że niektórzy faceci są przewrażliwieni na swoim punkcie. A już zwłaszcza, jeśli chodzi o wiek.

Na szczęście się uśmiecha, a potem proponuje mi dokładkę. Odmawiam. Jestem pełna.

– Masz dzieci? – pytam jeszcze, nawiązując do poruszonego wcześniej tematu jego byłej żony.

Sposobu, w jaki na mnie spogląda, nigdy nie zapomnę. Gdyby wzrokiem można było zabijać, byłabym już martwa. Nie mam pojęcia, dlaczego tak zareagował na to pytanie, ale wyraźnie go nim rozjuszyłam. Nic z tego nie pojmuję.

– Powiedziałaś coś nie tak? – Muszę się dowiedzieć. Pragnę zrozumieć.
– Twoja żona odeszła z dzieckiem? Zabrania ci je widywać? – Nic innego

nie przychodzi mi do głowy.

A on nadal tylko na mnie patrzy, chociaż jego wzrok zdaje się odrobinę łagodniejszy.

– Moje dziecko nie żyje – wyznaje nagle.

– Bardzo mi przykro.

Jestem z nim naprawdę szczerą. Powoli zaczynam także rozumieć, dlaczego tak zareagował. Strata dziecka to naprawdę niewyobrażalna tragedia. Zdałam sobie z tego sprawę podczas jednej z ostatnich sekcji. Poza tym pamiętam pewną sekcję sprzed lat, kiedy to dopiero zaczynałam przygodę z medycyną na uniwersytecie w Moskwie i ojciec załatwił mi dodatkowe „zajęcia” w prosektorium pod nadzorem swego znajomego, lekarza. Wtedy jeszcze nie miałam tak dużej wiedzy na temat denatów jak teraz, ale nawet będąc nowicjuską, mogłam stwierdzić, że przed śmiercią zarówno matka, jak i dziecko w jej łonie strasznie cierpieli. Kobieta wyglądała fatalnie. Miała zmasakrowaną twarz. Na moje oko była gwałcona, i to wielokrotnie, o czym świadczyły liczne otarcia i rany w okolicach intymnych. Wyglądało na to, że ktoś bardzo ją bił, wręcz torturował, o czym mógł świadczyć chociażby brak dwóch palców dłoni. Kobieta w wielu miejscach miała ponacinaną skórę, jakby ktoś celowo upuszczał z niej krew, chcąc, żeby jeszcze bardziej cierpiała. To był naprawdę okropny widok, który z pewnością będzie się pojawiał w moich wspomnieniach do końca życia. W dodatku tamta denatka była w ciąży. Odkryłam to pod koniec sekcji, gdy lekarz, który mnie szkolił, wyjął z niej martwy płód...

ROZDZIAŁ 9

LEO

Ledwie nad sobą panuję. Mam ochotę zerwać się z miejsca, doskoczyć do niej, chwycić ją, najlepiej za gardło, a potem... zabić. Wciąż jednak nie widzę sposobu, w jaki mógłbym tego dokonać. Wiem tylko, że po fackie wrzuciłbym ją do oceanu na pożarcie rekinom. Może nawet wepchnąłbym ją do wody, kiedy jeszcze by żyła! Może wtedy zrozumiałaby, co czują inni, kiedy ona robi te straszne rzeczy...

Opanowuję się jednak, choć to niewyobrażalnie trudne. Muszę. Zwłaszcza że mój plan tego nie zakładał. Przynajmniej jeszcze nie na tym etapie.

Po posiłku idę na pokład. Kiedy wstaję od stołu i wychodzę, kątem oka widzę niezrozumienie w jej oczach. Udaję, że tego nie dostrzegam – muszę. Po prostu chcę zostać sam.

Na górze uruchamiam silnik i od razu ruszam naprzód. Muszę tylko ochłonać. Opanować się. Żeby jej nie zabić.

Kilka dni później...

Jest trzecia w nocy, kiedy dopływamy do portu w Lizbonie. Sonia chyba jeszcze śpi, bo od naszego rozstania ani razu nie wyszła na pokład. A może mnie przejrzała i szykuje własną zemstę? Całkiem możliwe, bo przez ostatnie dni nie byłem sobą. Stałem się wobec niej bardziej powściągliwy, oschły. Mogła więc zacząć coś podejrzewać. Poza tym osoby jej pokroju są

zdolne do wszystkiego. Ale nawet jeśli to prawda, jeśli ona rzeczywiście coś kombinuje, nie zamierzam stać się ofiarą. Ostatecznie uznaję, że gdyby rzeczywiście chciała mi *coś* zrobić, pewnie już dawno przeszłaby od teorii do praktyki.

Cumuję łódź w miejscu, które wskazał mi Vasiljew. Miałem dość czasu, żeby to sobie przemyśleć, więc na razie zamierzam przynajmniej pozornie działać ściśle według jego poleceń. Oczywiście, pomimo złości, jaką żywię wobec jego córki, brałem pod uwagę jej nieoczekiwaną prośbę. Obawiałem się jednak, że jeśli zmienię kurs, jej ojciec czegoś się domyśli. „Typhon” z pewnością miał wbudowanego GPS-a.

Swoją drogą, to dość wyszukane imię pasowało raczej nie do tej pięknej, luksusowej łodzi, co do jej właściciela, potwora w ludzkiej skórze. Typhon w mitologii greckiej był bowiem potwornym olbrzymem węzowym, a zarazem jednym z najbardziej śmiertelnych stworzeń w całej Grecji. Ja nie ochrzciłbym tak jachtu, gdybym w ogóle jakiś posiadał.

Zastanawiam się jeszcze, czy do świtu nie zostać na pokładzie, ale po rozważeniu za i przeciw wychodzi mi na to, że to zły pomysł. Skoro Vasiljew wysłał nas właśnie tutaj, to pewnie ktoś czeka na nasze przybycie. Pozostawało mi zatem udawać, że nadal działam zgodnie z wytycznymi rosyjskiego oligarchy.

Idę pod pokład i wchodzę do kajuty, w której znajduje się sypialnia. Budzę córkę Dimy. Wydaje się zdezorientowana, a już z pewnością rozczarowana, kiedy uświadamiam jej, że właśnie dobieliśmy do Portugalii. Każę jej się ubrać, jednocześnie prosząc, żeby mi zaufała. Nie wiem, dlaczego to robię. Może zrobiło mi się jej żal?

Wychodzę z sypialni, bo kiedy tak na mnie patrzy, naprawdę mięknie mi serce. A to bardzo niedobrze. Obawiam się, że jeśli się nie opanuję, zapomnę, kim w rzeczywistości jest ta dziewczyna.

Myślałem, że przyjdzie mi dłużej na nią czekać, ale dołącza do mnie naprawdę szybko. Oczywiście świetnie gra przede mną uciemżoną panienkę z dobrego domu. Ubrana w moją za dużą koszulę, miętosząc jeden z jej rogów, wbija wzrok w podłogę i przygryza dolną wargę.

Ja pierdolę. Naprawdę jest świetna w tym, co robi. Doprawdy marnuje się w roli, jaką dotąd odgrywała dla swojego ojczulka. Z całą pewnością byłaby z niej świetna aktorka. Może nawet światowej klasy.

– Naprawdę musimy tam iść? – pyta takim głosem, że jeszcze chwila, a nabiorę się na ten pełen obawy i niepokoju ton.

– Tak – odpowiadam, starając się nie okazywać jej niechęci. W końcu jestem profesjonalistą i na pewne rzeczy nie powinienem sobie pozwalać. – Inaczej twój ojciec mógłby zacząć coś podejrzewać. – W zasadzie nie wiem, dlaczego się przed nią tłumaczę, ale nie umiem się powstrzymać. – Jacht z pewnością ma wbudowany GPS, więc...

– Chyba słońce przegrzało mi mózg albo nadmiar seksu podziałał na mnie ogłupiająco, bo jakoś o tym nie pomyślałam – odpowiada nagle, siląc się na żart, choć wyraźnie widzę, że jest jej głupio.

Wydaje się nawet strapiona własną naiwnością, czym mnie zupełnie zaskakuje. Nie sądziłem bowiem, że lasce jej pokroju zależy tak bardzo na tym, żeby nie postrzegać jej jak głupiutkiej panienki z bogatego domu, która może mieć wszystko – wystarczy tylko pstryknąć palcem. Jest mądrą kobietą.

– Chodźmy więc – mówię tylko, a potem oboje schodzimy z pokładu.

Opuszczamy port, a potem idziemy ramię w ramię przez miasto. Mieszkanie, w którym kazał nam się zatrzymać Vasiljew, znajduje się naprawdę blisko, więc nie muszę przywoływać taksówki. Chcę towarzyszącej mi dziewczynie zaoszczędzić niewygodnych pytań czy choćby samych spojrzeń, którymi niewątpliwie raczyłyby ją kierowca. W mojej koszuli i z rozczochranymi włosami budzi tylko jedno skojarzenie. A tu, na pustej o tej porze ulicy, istnieje naprawdę niewielkie prawdopodobieństwo, że się na kogoś natkniemy. A jeśli nawet, to wyłącznie na jakiegoś upojonego alkoholem balangowicza, którego nie zdziwiłby żaden widok.

Sonia przez całą drogę do mieszkania milczy. Kątem oka widzę, że obejmuje się ramionami, jestem jednak pewien, że nie jest jej zimno, bo noc jest naprawdę przyjemna. Wydaje się złęknioma, co zupełnie do niej nie pasuje. Widziałem ją w akcji... Ze skalpelem w dłoni. Gdy zatapiała ostrze

w ludzkim ciele, nawet nie drgnęła jej powieka. Jakże zatem miałbym uwierzyć, że stresuje ją zwykłe spotkanie z ludźmi ojca? Bo – jak podejrzewam – ktoś na pewno tam na nas czeka.

Nie myliłem się. Na miejscu, w salonie, zastajemy dwóch ludzi Vasiljewa. I nie wyglądają na świeżo wyrwanych ze snu. Oni po prostu wiedzieli, kiedy zjawimy się w wynajętym szeregowcu. A to tylko potwierdza moją wcześniejszą hipotezę, że jacht ma wbudowany nadajnik lokalizujący. Ucieczka byłaby zatem nietrafionym pomysłem.

Kiwają do Soni, która patrzy na nich z wyraźną niechęcią, a potem proszą mnie na słowo. Dziewczyna nie jest zachwycona, kiedy z dwoma roślami osilkami opuszczam salon i wychodzimy przed dom, ale nie zamierzam się tym przejmować.

Ludzie Vasiljewa mają dla mnie kolejne wskazówki od szefa. Słucham ich z zainteresowaniem, jednocześnie obmyślając, co dalej. Soni z pewnością nie ucieszą takie nowiny. Jej ojciec kazał mi ją przetrzymywać w domu, choćby siłą. Nie zezwalał na jakiegokolwiek opuszczanie posesji, a ja mam świadomość, jak bardzo zależało jej na tym, żeby sobie kupić jakieś ubrania. Ale stary Vasiljew był nieprzejednany i wyraził się jasno. Dla jego córki jedyną możliwą opcją wyjścia z tego więzienia jest spacer po ogrodzie, który znajduje się na tyłach domu. Zapewne uważał, że robi to dla jej bezpieczeństwa i dobra, ale to nie zmieniało faktu, że sama zainteresowana będzie wściekła. Wyobrażam sobie jej minę, kiedy się o tym dowie. Ona, podobnie zresztą jak jej ojciec bandzior, bardzo nie lubi, gdy ktoś narzuca jej swoją wolę. Pod tym względem nie różnią się od siebie ani trochę, choć muszę przyznać, że pod wieloma innymi nawet mnie zaskakiwała. Wciąż jednak nie byłem pewien, ile w tym wszystkim było szczerości, a ile mistrzowskiej gry aktorskiej.

Wreszcie ludzie Vasiljewa odchodzą, informując jedynie, że będą się kręcić w pobliżu.

Nie wątpię...

Wracam do mieszkania, do dziewczyny. Nie zastaję jej w salonie, przez co zaczynam się niepokoić.

A jeśli zrobiła coś głupiego i korzystając z chwili nieuwagi, uciekła przez ogród?

Na szczęście już za moment odnajduję ją w łazience. Bierze prysznic i jak zwykle wygląda jak bogini. A mnie, pomimo że od kilku dni stroniłem od niej, bo byłem na nią wściekły, natychmiast mija cała ta złość i niechęć.

Rozbieram się i ja. Widzę, że na mnie zerka, choć udaje, że mnie ignoruje. Chyba też jest na mnie zła, chociaż uważam, że nie ma powodu. Powinna rozumieć, że pracuję dla jej ojca i nie mogę zlekceważyć jego rozkazu. Musiałem ją tu przywieźć.

Ryzykuję odtrącenie i wchodzę pod prysznic. Odsuwa się nieznacznie, robiąc dla mnie przestrzeń. Niepotrzebnie, bo chcę być blisko. Tak blisko, jak to możliwe. W niej. Chwytam ją w tali i odwracam do siebie tyłem, obiema dłońmi oblapiam jej piersi, a te natychmiast stają się cięższe. Zaczynam podszczypywać sutki, które pod dotykiem moich palców naprężają się i twardnieją. A potem wchodzę w nią, a właściwie wbijam się z impetem, do samego końca. Krzyczy. Nie wiem, czy z rozkoszy, czy z bólu, który mogłem jej całkiem umyślnie zadać. Nie przejmuję się tym teraz zbyt, bo taki ból jest niczym w porównaniu z tym, jakim ją pragnę obdarować.

Zaczynam ją pieprzyć, nadając swym biodrom płynne tempo. Kiedy zaczyna jęczeć, a jej skóra pokrywa się milionem dreszczy, przyspieszam jeszcze bardziej. Chwytam ją za włosy i nawijam sobie na dłoń, po czym pociągam za nie. Wiem, że to może ją boleć, ale mam w tym jeden cel. Chcę, by Sonia była bliżej, choć zdaje mi się, że już bardziej być nie może. Rżnę ją najlepiej, jak potrafię. Mocno, szybko, bez opamiętania, aż sam dochodzę...

SONIA

Ten facet przyprawia mnie o zawrót głowy. Raz jest miły i opiekuńczy, a innym razem patrzy na mnie jak na największego wroga – chwilami od-

noszę wrażenie, że widzi we mnie kogoś, kim nie jestem. Nie wiem, może dramatyzuję, bo w zasadzie on nic takiego nie mówi, tylko patrzy. A ja nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje, że pozwalam mu się tak traktować – każdy inny już dawno by zginął. Jestem córką rosyjskiego oligarchy i to właśnie on wpoił mi zasady. On też nauczył mnie, jak traktować niesubordinację pracowników. A Leo chwilami naprawdę na zbyt wiele sobie pozwala. Jest tylko jeden mały problem. Nie traktuję go jak zwykłego ochroniarza. Ten facet... Chyba oszalałam, ale wydaje mi się, że Leo skradł moje serce, o ile je w ogóle jeszcze posiadałam.

Teraz jest mi dobrze i zasypiam w jego ramionach. Oczywiście kiedy po naprawdę ostrym seksie pod prysznicem lądujemy w łóżku, mam ochotę z nim pogadać. W końcu nadal nie wiem nic o planach mojego ojca. A myślę, że powinnam, bo dotyczyły mnie samej. Ale kiedy już otwieram usta, żeby wypytać go o szczegóły, odkrywam, że śpi. Nic dziwnego. Ostatnio naprawdę mało sypiał. Kiedy nie sterował jachtem, to dla mnie gotował, a nawet kochał się ze mną. Jak widać, te wszystkie czynności bywają bardzo wyczerpujące... Dlatego zamykam oczy i także próbuję zasnąć. Okazuje się to całkiem proste...

– Leo?

Budzę się, kiedy przez niedokładnie zaciągnięte zasłony do pokoju przedziera się słońce. Szybko odkrywam, że jestem sama w łóżku, a miejsce obok mnie jest puste. Przez moment czuję dziwny niepokój. Nie wiem tylko, z czego on wynika; być może boję się, że gdy zacznę go szukać, okaże się, że zniknął. Ojciec przecież w każdej chwili mógł go zastąpić kimś innym!

Naprawdę się tego obawiam – nie chcę żadnych zmian. To podejrzenie i szalejące w głowie myśli sprawiają, że zyskuję coraz większą pewność, iż ten mężczyzna jest mi naprawdę bliski. Jak żaden z tych, którzy wcześniej na krótko pojawili się w moim porąbanym życiu.

Wychodzę z łóżka i już zamierzam iść do łazienki, w której została moja, a właściwie jego koszula, kiedy odkrywam, że na brzegu łóżka czeka na mnie komplet damskiej odzieży. Nic wielkiego: dżinsowe szorty, luźny top i komplet bielizny – całkiem fikuśny, muszę przyznać – ale rzeczy te wyglądają na nowe, choć nie mają metek.

Ubieram się w nie pośpiesznie i opuszczam pokój. Pragnę jak najszybciej odnaleźć Leo i rozwiąć wątpliwości. Tak właściwie to mam nadzieję, że moje obawy są mocno przesadzone, bo nie wiem, co zrobię, jeśli ojciec rzeczywiście go odesłał.

Na szczęście moje nieme prośby zostają wysłuchane. Leo jak zwykle zastaję w kuchni, w której unoszą się nieziemskie zapachy. Już chwilę wcześniej, w korytarzu, dociera do mnie aromat świeżo mielonej kawy i woń smażonego boczku. Ale mam je gdzieś. Najpierw muszę zobaczyć Leo.

– Hej – mówię, kiedy na mnie zerka.

Nie wiem, jak się zachować. Najchętniej podeszłabym do niego i pocałowała go w policzek. Może nawet objęłabym go od tyłu i przyłgnęła do niego całym ciałem. Nie wiem, co mnie naszło, ale właśnie w tej jednej chwili poczułam, że muszę to zrobić. Opanowuję się jednak i zduszam tę chęć w zarodku. Nie chcę, żeby zinterpretował to... niewłaściwie. Przez ostatnie kilka dni poznałam go już na tyle, by wiedzieć, że czasem, jak każdy facet, miewa zwyczajne fochy.

Kiwa mi w odpowiedzi i lustruje moją sylwetkę od stóp do głów.

– Ładnie wyglądasz – przypochlebia mi się, a ja się rumienię. To do mnie niepodobne, ale tak się właśnie dzieje. Zawstydzam się z powodu zwykłego komplementu.

– Dziękuję – odpowiadam. – To ty przyniosłeś te ciuchy do sypialni i położyłeś na łóżku, kiedy spałam? – upewniam się.

Potakuje głową.

– Uprzedzę twoje kolejne pytanie i dodam, że sam je kupiłem. Te barany – najwyraźniej ma na myśli dwóch głąbów, których tu zastaliśmy w nocy – jakoś o tym nie pomyślały.

– Niepotrzebnie się trudziłeś. Sama mogłam sobie coś kupić.

– Obawiam się, że nie – rzuca, obracając szczypcami skwierczący na patelni boczek.

– Nie rozumiem...

– Twój ojciec zabronił ci opuszczać to mieszkanie – wyjaśnia, a ja mam ochotę zaśmiać mu się w twarz, jednak nim zdołam jakkolwiek zareagować, Leo dodaje: – Wyjątek stanowi ogród na tyłach domu.

– Powiedz, że żartujesz.

– A widzisz, żebym się śmiał?

Zapowietrzam się ze złości.

– Jeżeli on, kurwa, myśli, że może mnie trzymać w klatce, jak jakieś, kurwa, dzikie, jebane zwierzę...

– To co? – przerywa mi, mieszając w garnku drewnianą łyżką fasolę w sosie pomidorowym.

Brakuje mi słów. Naprzemiennie to otwieram, to zamykam usta. Finalnie klapię na krzesło, zasłaniam twarz dłońmi i zaczynam płakać. To do mnie niepodobne, bo naprawdę rzadko kiedy można mnie doprowadzić do łez... Ale stało się. Emocje wzięły górę.

– Sonia? – słyszę jego ciepły i lekko zaniepokojony głos. Czuję też dłonie na swoich ramionach. – Popatrz na mnie – prosi, a kiedy nie reaguję, odsuwa moje ręce od twarzy i zmusza mnie, żebym na niego spojrzała.

Czuję się totalnie zrezygnowana. I mam naprawdę dość. Wszystkiego. Zwłaszcza takiego życia. Tak, tego przede wszystkim.

– Będzie dobrze... – przekonuje mnie łagodnie.

Tylko dlaczego nie wierzę w ani jedno jego słowo?

– Nic już, kurwa, nie będzie dobrze! – wyrzucam. – Mogliśmy zaryzykować i uciekać, kiedy jeszcze się dało! Teraz pewnie nas pilnują te jego... zbiry – dodaję z obrzydzeniem.

Nie znoszę tych ludzi. Bez wyjątku! Jedyne mały... No dobra... Właściwie duży i cholernie przystojny wyjątek stanowi on.

Teraz na mnie patrzy i chyba próbuje mnie zrozumieć.

– Znaleźliby nas, przecież wiesz – mówi łagodnie.

– A skąd wiesz...

– Ciebie prawdopodobnie by oszczędzili, ale mnie... Nie sądzę. Tego chcesz?

– Nie! – zaprzeczam gwałtownie. – Tego na pewno nie chcę. Ale nie wiem, co robić, bo znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia, Leo – niemal krzyczę i próbuję wstać.

Nie pozwala mi na to.

– Uspokój się – prosi miękko.

– Ale jak mam to, kurwa, zrobić?! Nie widzisz, że utknęliśmy w jakiejś cholernej czarnej dupie? Tkwimy w tym gównie razem. A najgorsze jest to, że gdyby nie moja głupota, gdyby... To ja cię w to wpakowałam.

– Czyżbyś się o mnie martwiła? – Przygląda mi się z lekkim niedowierzaniem.

Wkurza mnie, zwłaszcza że Leo powątpiewa w moje szczerze intencje, ale tylko kiwam głową.

– Coś wymyślimy – oznajmia nagle.

– Nic nie rozumiesz – odpowiadam. Znów zbiera mi się na płacz. – Jeśli odważysz się mi pomóc, zginiesz! – Nie panuję nad emocjami, staram się już jednak nie krzyczeć. – Mnie ten...

Milczę. Nie chcę obrażać człowieka, który jest moim ojcem. Pomimo tego, jaki jest, żywię wobec niego szacunek, jaki powinno mieć dziecko do rodzica.

– Mnie pewnie oszczędzi, bo jestem mu potrzebna – kończę myśl. – Ale ciebie zabije, Leo. Jeśli będziesz działał za jego plecami, zemści się na tobie w najbardziej okrutny sposób – łkam, czując jak moją twarz zalewa kolejna fala gorących łez. Ze zgrozą wyobrażam sobie własną rolę w tym chorym spektaklu. – Nie zniosę, jeśli coś ci się stanie – dodaję, a potem zarzucam mu ręce na szyję i przytulam się do niego. Bardzo mocno. I jeszcze ciaśniej.

– Nic mi nie będzie – słyszę, kiedy lekko kołysze mnie w ramionach. –
I obiecuję znaleźć jakieś wyjście.

Nie wiem dlaczego, ale ufam mu. Nie mam powodów, żeby mu nie wierzyć. Pokładam nadzieję w każdym jego słowie, w każdej składanej mi obietnicy. A to nasuwa mi kolejną myśl.

Ja się chyba naprawdę w nim zakochałam.

ROZDZIAŁ 10

LEO

Naprawdę nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Sytuacja zaczyna mnie przerastać. Miałem plan. Układałem go latami. Był dopracowany w każdym detalu, a teraz żaden element mojej strategicznej układanki zupełnie nie pasuje do reszty. Oczywiście nadal pragnę jej nienawidzić. Zupełnie jak wtedy, zanim ją poznałem, kiedy tylko ją sobie wyobrażałem. Gdy zastanawiałem się, jaka jest, co lubi robić, a czego nie; gdy wyobrażałem sobie, że ją pieprzę, zaciskając palce na jej gardle. Ale teraz, z każdym kolejnym dniem, z każdą upływającą godziną i minutą ta nienawiść słabnie. W zachowaniu Soni widzę bowiem coś, na co nie byłem przygotowany. A może tylko to sobie wyobraziłem? Przecież Sonia nie mówi niczego wprost, a ja nawet nie zadaję pytań. Żyję jednak dość długo, by mieć absolutną pewność, że ona również jest ofiarą tego psychola... Swojego ojca.

Zupełnie nie wiem, co robić. Wiem tylko tyle, że Sonia, córka oligarchy, którego tak nienawidzę, jest zarówno ofiarą, jak i katem w tej samej skórze.

– Nie płacz już, proszę.

Tulę ją i lekko kołyszę.

Kiedyś kołysałem tak żonę. Przez wiele miesięcy staraliśmy się o dziecko. Po każdej nieudanej próbie Karolina wybuchała płaczem i traciła nadzieję. Cierpiąc, mówiła, że już zaczyna jej brakować sił, a przede wszystkim wiary, że jeszcze zostaniemy rodzicami. Sadzałem ją sobie wówczas na kolanach, ciasno obejmowałem i kołysałem leciutko. Zawsze

pomagało. Liczę więc, że i teraz pomoże, choć to nie żonę trzymam na kolanach.

– Wymyślę coś – zapewniam z przekonaniem, które mnie samego zaskakuje.

– Nie chcę cię stracić – szepcze Sonia i patrzy na mnie zażawionymi oczami.

Wydaje się taka szczerą, jakby naprawdę jej zależało. Na mnie. Sprawy komplikują się coraz bardziej. A ja, muszę wreszcie to przyznać, nie przewidziałem *takiego* scenariusza.

– Mój ojciec to potwór w ludzkiej skórze – mówi nieludzko przerażonym głosem.

Mam ochotę odpowiedzieć jej, że ona również, ale wówczas musiałbym zupełnie przewartościować kolejność wydarzeń. Przede wszystkim musiałbym na poczekaniu zmienić plan, który tak skrzętnie budowałem, podsycając w sobie ogień... nienawiści. A na to było zdecydowanie za wcześnie. Musiałem to jeszcze przemyśleć, na chłodno, bez większych emocji. Teraz byłoby to niemożliwe.

– Przysięgam, że ci pomogę – mówię jedynie, w zgodzie z prawdą i zamiarami.

Jeszcze nie wiem, co stanie się potem, ale zamierzam dotrzymać danego słowa. Zawsze go dotrzymuję.

– Chyba się w tobie zakochałam – wyznaje nagle, czym mnie kompletnie zaskakuje.

Jeszcze kilka dni temu marzyłem, by usłyszeć takie wyznanie. Rozkochanie w sobie córki oligarchy było jednym z wielu punktów, z których składał się mój idealny plan. Wtedy miało mocniej zabołeć, zarówno ją, jak i jej ojca, który tak nienawidził słabości – bo przecież miłość w słowniku tego starego capa nie istniała. Ale nawet jeśli wierzył w jej istnienie, to uważał ją za cechę ludzi bez charakteru.

– Tak ci się tylko wydaje. – Muszę się jakoś odnieść do jej słów, więc mówię cokolwiek, siłąc się na żartobliwy ton. – Nie jestem mężczyzną dla

ciebie.

– Jeśli cię obraziłam, nazywając cię „starym”...

– Nie obrażam się za takie pierdoły – zapewniam szybko. – Nie jestem dzieckiem.

Uśmiecham się do niej, ale ona wciąż ma na twarzy łzy. Nie przestaje płakać. Wygląda jak kupka nieszczęścia.

– Myślisz, że mi odbiło? – Patrzy na mnie zupełnie poważnie. – Że jak ostatnia kretynka chwytam się ciebie niczym deski ratunkowej?

– Wcale tak nie myślę. I nie taka ze mnie deska. – Mrugam do niej, prężąc mięśnie.

Jej jednak ani trochę to nie bawi. Poważnieję więc i ja.

– Ale uważam, że to mało prawdopodobne, żebyś się we mnie zakochała. Nie znasz mnie dostatecznie. Właściwie nic o mnie nie wiesz. I zdecydowanie zbyt krótko się znamy, byś mogła się we mnie zakochać.

– To opowiedz mi coś o sobie – nalega i ściera wierzchem dłoni łzy. – Pochodzisz z Włoch, masz polskie korzenie, to już wiem. Skończyłeś trzydzieści pięć lat. Jesteś rozwodnikiem...

– Nie jestem – przerywam jej nagle.

– Nie? – Jest zaskoczona, a jednocześnie wydaje się też zawiedziona. – Ale nie jesteś już z żoną, prawda? – pyta zatrwożonym głosem, jakby spodziewała się usłyszeć odpowiedź, która nie przypadnie jej do gustu.

– Nie – powtarzam. – Moja żona umarła.

Sonia przez chwilę nie wie, co powiedzieć. Naprzemiennie to otwiera, to zamyka usta. Dopiero po jakimś czasie odzyskuje mowę.

– Przepraszam – duka.

Zdaje się, że jest jej przykro. Gdyby tylko wiedziała...

– Nie miałam pojęcia... I źle zinterpretowałam twoje słowa. Naprawdę mi przykro.

– Niepotrzebnie – mówię, choć słowa zdają się grzęznąć mi w gardle. – To już przeszłość – dodaję, choć jednocześnie mam ochotę dodać, że

śmierć mojej żony stała się także nowym początkiem Soni.

– Dlaczego ci nie wierzę? – słyszę w odpowiedzi.

Zastanawiam się, czy mnie czasem nie przejrzała. To zmusiłoby mnie do natychmiastowego podjęcia pewnych kroków. Czuję ulgę, kiedy jej dalsza wypowiedź mnie uspokaja.

– Przyznanie się do słabości nie jest jej oznaką.

Zaskakuje mnie tymi słowami. Dotąd wydawało mi się, że nie jest zdolna do podobnych przemyśleń. Do niedawna zresztą uważałem ją za pustą lalę. Ale z każdym kolejnym dniem zyskuje w moich oczach. *Mimo wszystko.*

– Opowiesz mi o żonie?

Jej prośba spada na mnie niczym grom z jasnego nieba. Udaję jednak, że nie ma w tym nic niewłaściwego.

– Chcesz, żebym opowiadał ci o zmarłej żonie?

Kiwa głową.

– Była piękna...

– W to nie wątpię – wchodzi mi w słowo. – Facet taki jak ty nie mógł mieć szkaradnej kobiety.

Uśmiecham się ponuro. W zasadzie chyba powinienem jej podziękować za komplement, ale nie robię tego, tylko usiłuję się skupić na wspomnieniach. Tymczasem Sonia znów wyprzedza mnie o krok.

– Gdzie i w jakich okolicznościach się poznaliście? – pyta.

Przez moment waham się, czy powiedzieć jej prawdę. Szybko jednak dochodzę do wniosku, że *ta* część wiedzy, którą chcę jej przekazać, nie może mi zaszkodzić. W końcu Sonia nie doniesie na mnie ojcu, skoro oczekuje, że pomogę jej się od niego uwolnić.

– Karolina była dziennikarką. Przeprowadzała ze mną wywiad. Jestem weteranem wojskowym. Służyłem w Legii Cudzoziemskiej i uległem wypadkowi. Przez kilka lat po odejściu z armii cierpiałem na PTSD...

Nie udaje mi się dokończyć, bo Sonia już zadaje kolejne pytanie:

– Naprawdę byłeś legionistą?

Kiwam głową.

– Słyszałam, że bardzo trudno wstąpić w szeregi tej armii.

– To akurat prawda, choć nie wszystkie mity o Legii, krążące na przykład w sieci, są prawdziwe.

– Mówiłeś coś o jakimś wypadku – przypomina sobie nagle. – To coś poważnego? – pyta z troską i zerka na moją bliznę, która przebiega wzdłuż obojczyka.

– Wysłali nas na misję. Była zasadzka. Szedłem pierwszy, jako kapitan, więc...

– Dobra! – Podnosi ręce w geście kapitulacji. – Więcej nie chcę wiedzieć.

Zaskakuje mnie. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, czym zajmuje się na co dzień. Wiem też, co jest w stanie zrobić dla ojca. Tym bardziej więc nie rozumiem, dlaczego tak ucięła tę historię.

Znów gra. To pewne. Nie znajduję lepszego wytłumaczenia.

– Opowiedz mi coś jeszcze o żonie.

– Serio? – Kiwa głową, a ja dodaję: – Do czego ci ta wiedza?

– Do niczego. Po prostu chcę cię lepiej poznać.

Analizuję jej słowa, ale że żaden wniosek nie przychodzi mi do głowy, spełniam jej prośbę:

– Zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia.

– A widzisz! – Celuje we mnie palcem.

Początkowo nie rozumiem, o co jej chodzi. Muszę mieć głupią minę, bo wyjaśnia szybko:

– Dopiero co próbowałeś mi wmówić, że cię nie znam, a raczej że znam cię zbyt krótko, bym mogła się w tobie zakochać. A tymczasem mówisz mi coś takiego.

Ma absolutną rację, punkt dla niej. A ja na swoje usprawiedliwienie mogę podać jedynie fakt, że po jej głębszym poznaniu wcale bym nie

chciał, żeby się we mnie zakochała. Wolałbym działać bez emocji, a teraz się obawiam, że jej uczucia względem mnie mogą się udzielić również mnie. Sonia może i jest potworem, jak jej ojciec, ale zdarzają się chwile, że bywa kruchą, bezbronną kobietką, której chcę pomóc. Zupełnie jak teraz.

– Boję się, że...

– Ty? – podłapuję szybko. – Myślałam, że facet twojego pokroju nie boi się niczego.

Uśmiecham się smętnie. Znów ma rację. Po raz kolejny okazuje się, że myśleliśmy podobnie. Jest naprawdę bystra. I zaskakuje mnie. Pozytywnie.

– Obawiam się... – Muszę sam się poprawić, żeby nie łapała mnie za słówka. – Że i ja się w tobie zakocham.

„A to niekoniecznie dobry pomysł” – dodaję w myślach.

Chyba przez to nagłe wyznanie spogląda na mnie w taki sposób, że jestem pewien, iż za chwilę zmięknie do reszty.

– Więc zrób to – mówi, a potem zawłada moimi ustami...

SONIA

Całuję go zachłannie. Wdzieram się językiem do jego ust, by odszukać jego język. Boże, jak on smakuje. A jak całuje! Naprawdę jest zupełnie inny od *smarkaczy*, z którymi dotąd miałam okazję bliżej się poznać. Pieprzy jak profesjonalista i całuje jak zawodowiec. Niewątpliwie zna się na rzeczy. A teraz należy tylko do mnie.

Schodzę z jego kolan zaledwie po to, żeby się pozbyć szortów wraz z bielizną. Staję przed nim i pozwalam mu patrzeć na moją nagość, po czym sięgam do jego spodni i rozpinam je, a następnie zsuwam je nieznacznie z bioder. Natychmiast siadam na jego gotowym członku.

Jak to możliwe, że tak szybko staje na wysokości zadania...?

Leo obejmuje moją talię, a ja zarzucam mu ręce na szyję i zaczynam go pieprzyć. Wystarcza zaledwie chwila, a szczytuję po raz pierwszy, ale nie

przestają poruszać biodrami. Dociskam je coraz mocniej, jęcząc bezwstydnie, zamykając się na nim najlepiej, jak umiem. Jego chrapliwy oddech świadczy o tym, że zaraz także eksploduje.

Tak, nie mylę się. Leo dochodzi i pulsuje we mnie.

– Jesteś niemożliwa – mówi charczącym głosem.

– To źle? – droczę się z nim.

Zaprzecza ruchem głowy i łapczywie nabiera powietrza przez usta. Jego klatka unosi się i opada rytmicznie, a na twarzy malują się błogość i spełnienie.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek poczuję coś takiego, ale kiedy widzę, że sprawia mi przyjemność, przepełnia mnie radość. Czy dotąd byłam egoistką? Ciężko mi stwierdzić. Lubiłam seks, ale kontakty z mężczyznami traktowałam przedmiotowo. Seks był dla mnie czynnością jak wiele innych: jedzenie, kupowanie ubrań czy nawet wiązanie butów. *Wykonywałam* go, podobnie jak pozostałe przyjemne zajęcia. Szłam na randkę albo czasem zwyczajnie na imprezie wyszukiwałam sobie *ofiare*, i zaraz łądowaliśmy w łóżku. Zaliczaliśmy szybki numerek albo dwa, a potem każde z nas szło w swoją stronę. Tak to na ogół przebiegało. Dopiero przy Leo zaczęłam inaczej na to patrzeć. To właśnie z nim zapragnęłam czegoś więcej.

Seks z tym mężczyzną jest wyjątkowy, ale nie tylko to spowodowało, że zaczynam inaczej patrzeć na pewne sprawy. Kiedy po raz pierwszy obudziłam się w jego ramionach, uświadomiłam sobie, jakie to miłe i jak bardzo dla mnie ważne. Dotąd zawsze rozpoczynałam dzień we własnym łóżku. Sama. Zасыpanie w jego ramionach też jest czymś wyjątkowym. Leżąc na jego szerokiej piersi, słuchając bicia jego serca, czuję się taka bezpieczna. Jestem pewna, że to zasługa Leo. Jego bliskość, jego czułość sprawiły, że przestały mnie dręczyć koszmary, z którymi borykam się od lat.

Senne zmory zaczęły się pojawiać w chwili, kiedy poszłam na medycynę. Te wszystkie odrażające rzeczy, które wówczas przyszło mi robić poza zajęciami na uczelni, a które sekcją zwłok były tylko z nazwy... Od tamtej pory po nocach przychodzą do mnie koszmary.

Widzę wykrzywione w grymasie bólu twarze. Są blade, pozbawione życia, często nawet bez krwi. Prześladują mnie widoki ludzkich ciał, ich wnętrzności – nierzadko będących w takim stanie, że nie umiem sobie odpowiedzieć, jak wielkie jest ludzkie okrucieństwo...

Reszta dnia upływa nam dość normalnie. Spędzamy go głównie w ogrodzie, który staje się namiastką mojej wolności. Oczywiście nie omieszkam nie powiedzieć wprost, co o tym myślę, ale Leo uspokaja mnie, mówiąc, że to sytuacja przejściowa. Ufam mu i wierzę, że znajdzie sposób, aby mnie uwolnić od tego syfu. Choćby na chwilę, bo jestem naprawdę zmęczona. Potrzebuję wytchnienia, chwili dla siebie, a nawet zapomnienia. Obawiam się, że to ostatnie nigdy nie nastąpi, bo zbyt wiele już widziałam. Liczyłam na to, że moja ucieczka pozwoli mi nabrać większego dystansu do świata, w którym żyję, i roli, jaką w nim odgrywam. Bałam się tylko o Leo. Pomoc, którą mi zaoferował, może go sporo kosztować – życie. Mój ojciec najpewniej potraktuje ją niczym największą zdradę. Może więc jestem bardziej naiwna, niż sądziłam, ale chcę wierzyć, że w razie wpadki Dima Vasiljew obojgu nam, bez wyjątku, okaże litość.

Bo zakochałam się we własnym ochroniarzu...

Kolejny dzień przebiega schematycznie. Budzę się w ramionach ukochanego mężczyzny, uprawiamy seks, a potem Leo zostawia mnie na chwilę samą. Mówi, że musi skoczyć na targ, ale mnie się wydaje, że ściemnia. Pewnie ma spotkanie z ludźmi ojca, tylko że jest zbyt dobry, aby mnie taką informacją niepokoić. Doskonale zdaje sobie sprawę, jak bardzo boję się każdego kolejnego dnia. Przerazają mnie niewypowiedziane decyzje ojca, mogące znów doprowadzić mnie do punktu, w którym nie mam ochoty się znaleźć.

Naprawdę potrzebuję odpoczynku. Od wszystkiego. Zwłaszcza od życia, jakie dotąd wiodłam.

Kiedy wraca, przynosi torbę z zakupami. A więc jednak mówił prawdę. Chociaż... Kiedy dłużej na niego patrzę... Budzi się we mnie wątpliwość.

Leo nie przekazuje mi jednak żadnych nowych wieści, choć głosik w głowie podpowiada mi, że po drodze na targ zahaczył o ludzi ojca. Minę ma bowiem taką, że lepiej nie gadać. Boję się, co to może oznaczać, ale udaję, że nic mnie nie rusza. Nie chcę dokładać mu zmartwień. Poza tym uznaję, że skoro Leo obiecał mi pomoc, może nawet dokonać niemożliwego, jakiegoś cudu, żeby dotrzymać słowa. Nie znam drugiego tak honorowego człowieka. Milczę więc i staram się zachować spokój. Wierzę, że dzięki temu za chwilę usłyszę już tylko same dobre wieści.

Oczywiście Leo znów dla mnie gotuje. Zaskakuje mnie swoją pomysłowością i oryginalnością. Tym razem przyrządza nam zupę z lokalnych warzyw i owoców morza kupionych na targu. Choć skorupiaki traktuję z dużą rezerwą, zabieleną śmietanką zupa pachnie i smakuje obłędnie.

– Jeśli stanę się gruba, to będzie wyłącznie twoja wina – mówię z pełnymi ustami.

Leo się uśmiecha.

– Tobie otyłość raczej nie grozi – odpowiada. – Nie macie skłonności do tycia. Twój ojciec trzyma formę.

Unoszę brwi.

– No ja nie jestem do końca z tobą zgodna w tej kwestii, ale nie zamierzam się sprzeczać o taką pierdołę – rzucam.

– Matka pewnie też nie – spekuluje Leo. – A może się mylę?

– Nie mam pojęcia. Nigdy jej nie poznałam – mówię szczerze.

Leo przygląda mi się w milczeniu. Wydaje się zaskoczony tą informacją.

Może i powinnam ugryźć się w język, zachować tę część własnej niechlubnej historii wyłącznie dla siebie, ale nagle czuję, że muszę się komuś

wygadać. Liczę, że Leo mnie zrozumie.

– Mój ojciec postanowił pozbyć się matki tuż po moich narodzinach.

– Pozbyć się?

Kiwam głową i objaśniam:

– Tak. Ojciec zabił ją na oczach wielu ludzi, śmietanki towarzyskiej Rosji, podczas kinder party, które zaplanował już na kilka miesięcy przed moimi narodzinami.

Wyraźnie widzę, że Leo wstrzymuje oddech. Chyba nie to spodziewał się usłyszeć. Zaskakujące, że nie znał tej historii. Wierzyłam, że w moim otoczeniu nie ma osoby, która by jej nie poznała. Ze szczegółami. Ojciec zadbał, żeby usłyszeli o tym wszyscy. Czynił to ku przestrodze.

– Dlaczego? – pyta po chwili.

– Dlaczego ją zabił? – doprecyzowuję, a on kiwa głową. – Bo to nie mnie miała urodzić.

– Nie rozumiem...

– Moja matka była prostytutką. – Krzywię się nieznacznie, bo obawiam się, że ta informacja może mnie pogrzyźć w jego oczach. Ale kiedy widzę, że chyba niespecjalnie go obeszła, kontynuuję: – Ojciec poznał ją w Polsce. – Dopiero teraz dostrzegam błysk w jego oczach. – Zaproponował jej układ, na który z chęcią przystała. Swoją drogą, nie mogę uwierzyć, czego ludzie nie są w stanie zrobić dla pieniędzy – dodaję, zupełnie jakbym próbowała coś zrozumieć, a nawet to usprawiedliwić. Sama pracowałam dla ojca, choć przecież w zupełnie innym charakterze niż moja matka, i dostawałam od niego solidne wynagrodzenie za wykonaną *pracę*. Za kasę robiłam naprawdę złe rzeczy, niemniej sprzedawanie ciała, o dziecku nawet nie wspominając, byłoby ostatnią rzeczą, na którą mogłabym się zdobyć.

Opowiedziałam mu jeszcze dalszą część historii, przedstawiłam motywy, jakie kierowały ojcem, lecz zrobiłam to już wyjątkowo pobieżnie. Nie chciałam, żeby Leo mnie znienawidził z powodu postępowania mojego ojca. Dużo ludzi mierzy mnie jego skalą podłości. Szkoda, bo żadna z tych osób mnie nie zna.

– Skurwiel! – Leo wstaje gwałtownie od stołu.

Zaskakuje mnie tym. Sądziłam, że będąc *żołnierzem* mojego ojca, zna go trochę lepiej i jest bardziej świadomy tego, do czego ten człowiek jest zdolny. Jak widać, myliłam się i źle go oceniłam.

– Uspokój się. To już przeszłość – proszę łagodnie.

Aż boję się pomyśleć, jak zareagowałby na wieść o tym, do czego potem zmuszał mnie ojciec. Właściwie nadal to robi.

– Jak mam być spokojny, słysząc coś takiego? – Leo mówi podniesionym głosem, każde słowo cedząc jednak przez zęby.

I słusznie. Gdzieś na zewnątrz mamy towarzystwo, a jego okrzyki mogłyby je zwabić. Nie chcemy takich kłopotów.

– Teraz już rozumiesz, dlaczego chciałabym się od niego uwolnić, choćby na chwilę?

– Na chwilę – powtarza po mnie, a ja nie wiem, co odpowiedzieć.

– Jestem już zmęczona takim życiem, Leo...

Chcę jeszcze dodać, że powinnam odpocząć, może nawet trochę dłużej, niż planowałam, nawet za cenę wyrzucenia mnie ze stażu. Bycie lekarzem miało być dla mnie przepustką do nowego, lepszego życia. Po cichu marzę, że ojciec wreszcie pozwoli mi odejść i żyć po swojemu. Poza tym desperacko uczepiam się myśli, że wiecznie żył nie będzie. Mogłabym wówczas utrzymywać się sama... Pensja lekarza powinna mi wystarczyć.

Nagle dociera do mnie, że chyba przesadziłam z jedzeniem, bo robi mi się niedobrze.

Zasłaniając usta dłonią, wybiegam do toalety.

ROZDZIAŁ 11

LEO

Początkowo byłem tak bardzo zajęty własnymi myślami, że nie zauważyłem, kiedy zbladła. Po chwili jednak, gdy zerwała się z miejsca i pobiegła do łazienki, zrozumiałem, co się stało. W zasadzie nie powinno mnie to w ogóle dziwić, przecież dwa razy poprosiła o dokładkę. Ponownie przyjrzałem się zakupionym na targu produktom. Postanowiłem się upewnić, że wszystkie są najwyższej klasy świeżości. Trochę po czasie, ale chciałem to wiedzieć, by ewentualnie móc odpowiednio zareagować. Oddycham z ulgą, stwierdzając, że nie ma się do czego przyczepić.

– Przepraszam – słyszę od progu.

Spoglądam na nią. Na twarzy błyszczą jej krople wody; usta wyciera ręcznikiem, którym pociera spocony, jak mniemam, kark. Nadal jest bardzo blada.

– Mam nadzieję, że zaraz poczujesz się odrobinę lepiej – mówię, a następnie dodaję szybko: – Nie chcę być uszczypliwy, ale powinienem ci powiedzieć: „A nie mówiłem?”

– Sugerujesz, że się przejadłam? – pyta zaskoczona, może nawet lekko rozzłoszczona.

Cóż, mogłem przewidzieć, że nie będzie zachwycona tą sugestią. W końcu żadna laska nie lubi, kiedy wytyka się jej ilość spożytego jedzenia, a już tym bardziej wagę – choć na moje oko tejsze właśnie dziewczynie otyłość nie groziła.

– Nie chciałem cię urazić. Po prostu lubię być szczery.

Nie odpowiada; siada naprzeciw mnie i mierzy mnie chłodnym wzrokiem. Odrobinę przesadza z tą swoją reakcją, bo w zasadzie nie miałem niczego złego na myśli. Już otwieram usta, żeby jej o tym powiedzieć, ale ubiega mnie:

– A jeśli jestem w ciąży?

– Nie zabezpieczasz się? – pytam nieco zdziwiony. W dzisiejszych czasach kobiety naprawdę dbają o takie rzeczy. Ale w sumie zamiast być teraz zaskoczony, mogłem wcześniej zapytać.

– Zabezpieczam, ale – wzdycha – żadna metoda nie daje stu procent gwarancji.

Patrzę na nią, zastanawiając się, co powiedzieć. Z doświadczenia wiem, że objawy ciąży, zwłaszcza mdłości, nie pojawiają się tuż po zapłodnieniu, a wydaje mi się, że ona właśnie insynuuje, iż mogłem zrobić jej dziecko.

– Posłuchaj... – Zamierzam wyprowadzić ją z błędnego myślenia, a nawet wytknąć, że akurat ona, jako lekarz, powinna to wiedzieć, ale Sonia nie dopuszcza mnie do głosu.

– Nie, to ty posłuchaj – przerywa mi. – Nie planowałam macierzyństwa w tym wieku. Miałam inny plan na życie.

„Nie wątpię” – myślę z przekąsem.

– Ale jeśli byłabym w ciąży, to mogłoby to być zarówno twoje dziecko, jak i tego dupka, który mi wsypał prochy do drinka, a potem wykorzystał. Poza wami dwoma od dawna nie byłam z żadnym mężczyzną.

Teraz wszystko staje się jasne. Dotąd nie zamierzałem jej wyprowadzać z błędu, ale ukrywanie przed nią faktów chyba nie miało już sensu.

– Między tobą a Iwanowem do niczego nie doszło.

– Słucham?

Sonia początkowo przygląda mi się w osłupieniu, a następnie w jej oczach pojawia się błysk sugerujący, jakby miała ochotę co najmniej zdzielić mnie po pysku. W zasadzie zasłużyłem na to. Ale nie mówiąc jej o tym, po prostu chciałem ją ukarać. Początkowo wszelkie jej frustracje były mi

na rękę. Tyle razy wcześniej marzyłem o tym, żeby cierpiała. Ale czy teraz ciągle tego chciałem?

Zrozumiałem, że pragnę wszystkiego poza tym jednym. Jej cierpienie było ostatnią rzeczą, której dla niej chciałem.

– Powiedz, że żartujesz?! – prychna i wstaje, ciskając we mnie trzymanym w dłoniach ręcznikiem.

Nie zatrzymuję jej, bo wiem, że i tak nie ucieknie. Aż tak głupia nie jest. Patrzę, jak zaczyna nerwowo przechadzać się po pokoju, zupełnie jakby nie miała pomysłu, jak mnie ukarać.

To coś nowego. Widziałem już, jaka bywa pomysłowa...

– Nie, nie żartuję. Iwanow wziąłby cię, gdybym mu na to pozwolił.

– Czy ty słyszysz samego siebie?! – wrzeszczy. – Kim ty, do cholery, jesteś? Zbokiem? A jeśli tak, to jakiego gatunku? Oświeć mnie!

– Nie jestem żadnym zbokiem – zapewniam ją.

– Nie?! – kpi. – To może jesteś jakimś jebanym Bogiem, który decyduje o wszystkim?!

„Przyganiał kocioł garnkowi...” – myślę, coraz bardziej poirytowany tą sytuacją.

Nie odpowiadam jednak. Gdybym zaczął się tłumaczyć, tylko pogorszyłbym sytuację. I może nawet musiałbym wyznać jej całą prawdę, a na to jeszcze nie jestem gotowy. Na to jest zdecydowanie za wcześnie.

Jedyne, co mogę zrobić, to spróbować ją jakoś uspokoić, udobruchać. Wstaję więc i podchodzę do niej. Cofa się o krok, ale zatrzymuje ją ściana. Wyciągam rękę, ale zanim jej dosięgnę, słyszę:

– Nie dotykaj mnie.

– Jesteś na mnie zła? – pytam naiwnie.

Sonia nie odpowiada, tylko spogląda z gniewem malującym się w jej niebieskich oczach, jednocześnie krzyżując ręce na piersiach. Nieraz wyobrażałem ją sobie wściekłą, choć w trochę innych okolicznościach. Rysowałem w głowie obrazek, jak rzuca mi się do oczu, tymczasem nic takiego

nie następuje. A może oceniłem ją zbyt surowo? Może znów niesłusznie ją osądziłem?

– Daj mi choć jeden powód, żebym nie była – wyparowuje nagle.

Wiem, że to pewnego rodzaju tchórzostwo, ale zamiast odpowiadać, przypieram ją do ściany i całuję. A ona, choć początkowo stawia lekki opór, szybko rozplywa się w moich ramionach.

– Obiecuję, że ci to wszystko wyjaśnię – mówię, odrywając się na chwilę od jej słodkich warg. – Musisz jednak dać mi jeszcze trochę czasu. Proszę tylko o czas.

Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że pošle mnie do diabła, ale po chwili kiwa głową, co oznacza, że się zgadza.

Oddycham z ulgą. Nie jestem bowiem gotów na szczerą i z pewnością niosącą konsekwencje rozmowę. I pomimo że wiem, iż ta jest nieunikniona, liczę na trochę więcej czasu. Mam sporo do przemyślenia.

Od początku jestem pewien, że Sonia nie jest ze mną w ciąży, ale żeby zapewnić jej komfort, kupuję testy w aptece. Kilka, na wypadek, gdyby któryś budził wątpliwości. I tak jak podejrzewałem, Sonia nie spodziewa się dziecka. Chciałoby się odetchnąć z ulgą, ale gdzieś z tyłu mojej głowy od razu rodzi się pytanie: „A co by było, gdyby...?”

„Nie, to niedorzeczne!” – ganię się w myślach.

– A więc miałeś rację. – Sonia nieświadomie przerywa moje dywagacje. – To tylko zwyczajne problemy z żołądkiem. Albo obżarstwo – dodaje, mrugając do mnie i szczerząc się słodko. – Cóż, przy tobie nie umiem się powstrzymać.

Siada mi na kolanach i pociera swoim nosem o mój nos. Następnie mija sekunda, a ona już mnie całuje. Jest taka nienasycona. A ja... jestem tylko facetem, więc szalenie mi to imponuje. Podnoszę się razem z nią, sadzam ją na sobie okrakiem i niosę na pobliski stół. Nie przedłużamy tego grą wstępną. Kładę ją, zdejmuję z niej ubranie, a potem sam zsuwam spodnie

i wchodzę w nią głęboko. Jej przeciągły jęk, a potem każdy kolejny miłośny dźwięk wydobywający się z jej ust przy każdym moim dogłębnym ruchu jest dowodem na to, jak jej ze mną dobrze. Aż chciałoby się krzyknąć: „Chwilo, trwaj!”.

SONIA

Nadal nie pojmuję, dlaczego Leo nie powiedział mi wcześniej o Iwanowie, ale w tej chwili nie zamierzam tego roztrząsać. W końcu obiecał mi, że wrócimy jeszcze do tematu, a ja nie mam powodów, żeby mu nie ufać. Jak dotąd, oprócz tej jednej *małej* wpadki nie byłabym w stanie niczego mu zarzucić. Naprawdę mu ufam.

Poza tym w tej chwili mam coś znacznie ciekawszego do roboty niż dociekanie, dlaczego zwlekał z powiedzeniem mi prawdy. Teraz oboje leżymy nago, w pogniecionej pościeli, zmęczeni po kolejnej rundzie i szczęśliwi, jak nigdy dotąd. Nie wiem, skąd bierze się we mnie to rzadkie uczucie. Może reaguję tak, bo odetchnęłam z ulgą, stwierdzając, że nie jestem w ciąży? Być może; w tak niepewnych okolicznościach, w jakich oboje się teraz znaleźliśmy, dziecko byłoby naprawdę ostatnim, co powinno nam się przytrafić. A może zwyczajnie czuję się szczęśliwa, bo znów obudziłam się o poranku wtulona w jego silne męskie ramiona, wsłuchana w bicie jego serca? To takie przyjemne doznanie.

Telefon od ojca, który chce ze mną gadać, wywołuje we mnie wyjątkowy niepokój. Leo na ten czas wychodzi. Ojciec dziwnie ze mną rozmawia, zupełnie jakby coś podejrzewał. Wypytuje, jak się czuję, choć dotąd jakoś nieszczególnie obchodziło go moje zdrowie i samopoczucie. Od zawsze nie widział dalej niż czubek własnego nosa. Nikt i nic nie mogło być ważniejsze od niego samego. Tym razem jednak może nie był miły, serdeczny – ojciec zwyczajnie nie znał znaczenia tych słów – ale bardziej się mną interesował. Inaczej niż dotąd, gdy chodziło mu o to, bym wykonywała jego zlecenia. Brzydziłam się nimi; miałam dość bycia ofiarą własnego ojca, ale

nie znajdowałam w sobie dosyć odwagi, by odciąć się od tego raz na zawsze. Zresztą już raz próbowałam i słono za to zapłaciłam.

Myśląc o tamtym feralnym dniu, spojrzałam odruchowo na nadgarstki. Płytkie blizny nie były już tak widoczne, ale ja wiedziałam o ich istnieniu. W końcu miały stanowić przepustkę do mojego lepszego życia...

– Naprawdę czuję się dobrze – zapewniam po raz kolejny.

– A ten nowy ochroniarz?

– Co z nim? – pytam pospiesznie, może odrobinę zbyt nerwowo.

– Zachowuje się? Nie narzuca się zbyt?

Chwilowo nie wiem, co odpowiedzieć. Odnoszę wrażenie, że ojciec już wie o naszym romansie. Jeszcze do niedawna raczej by spytał, czy „wytrzymuje ze mną”. To bardziej w jego stylu. Odkąd pamiętam, uważał mnie raczej za rozpuszczoną, głupiutką kobietkę. Zresztą większość kobiet traktował podobnie. I wszystkie nas uważał za gorsze od *męskiego gatunku*.

– Jest w porządku – odpowiadam, zerkając za siebie i upewniając się, że jestem nadal sama. Nie chcę, żeby Leo odebrał moje słowa niewłaściwie. – Początkowo był trochę męczący, ale teraz jakoś udaje nam się dogadać.

W zasadzie nawet nie kłamie. Wcześniej Leo wydawał mi się straszonym chamem. Zyskał w moich oczach wraz z upływem czasu.

– Poza tym wiesz, że wolę, jak towarzystwa dotrzymują mi młodszy mężczyźni. – Wzdycham teatralnie, mając nadzieję, że ojciec wyobrazi sobie, jak przewracam oczami. Liczę, że dzięki temu połknie haczyk i nie będzie snuł podejrzeń. – Wówczas jest chociaż na czym oko zawiesić – dodaję, łącząc najlepiej, jak potrafię.

Leo wygląda jak ucieleśnienie damskich fantazji. Pozostaje mi zatem mieć nadzieję, że ojciec, choćby ze względu na swój wiek, będzie podzielał moją opinię. Jak powszechnie wiadomo, mężczyźni – zwłaszcza w podeszłym wieku – nie lubią czuć się gorsi w swoim męskim gronie. Moje słowa mogą więc stanowić dla niego pewnego rodzaju zapewnienie, że i on jest nadal atrakcyjnym mężczyzną. W końcu boskiego Leo, mniej lub bardziej świadomie, nazwałam właśnie *starszym panem*.

– Nie przesadzaj. On nie jest taki stary – kwituje ojciec.

– Ale i do młodzieniaszków się już nie zalicza.

Ojciec śmieje się, więc oddycham z ulgą i odnoszę wrażenie, że go przekonałam. Nie chciałabym na tym etapie czegoś schrzanić, a bałam się, że zacznie coś podejrzewać. Pozostaje mi zatem wierzyć, że Leo dotrzyma słowa i mnie stąd zabierze. Najlepiej jak najdalej. Tak, potrzebowałam wytchnienia, wakacji. Może pod palmami? A potem się zobaczy. Wiele zależy od moich relacji z Leo. Na razie nasz romans kwitnie, ale czy to naprawdę jest miłość? Tego akurat nie jestem pewna. Leo też próbował mi to wyperswadować, możliwe, że wie, co mówi. Ma w końcu większe doświadczenie życiowe niż ja. A ja niby skąd mam właściwie wiedzieć, czy się zakochałam, skoro przez całe swoje dotychczasowe życie nie zaznałam smaku miłości?

– Muszę kończyć – mówi nagle, co jest mi na rękę. Mam dość tego przesłuchania. Boję się, że jeszcze kilka pytań, a chlapnę coś, przez co rozmowa nabierze zupełnie innego charakteru. – Daj mi jeszcze ochroniarza.

– Jasne. Tylko go znajdę – odpowiadam i ruszam na poszukiwania Leo.

– Czego jeszcze chciał od ciebie ojciec? – pytam, kiedy Leo wreszcie wraca.

– Dawał mi kolejne wytyczne – odpowiada.

Unoszę brew. Liczę, że zdradzi mi coś więcej, ale chyba nie zamierza tego robić.

– Jakie konkretnie?

– Nie chcesz wiedzieć – mruczy niezadowolony.

– Leo?

– Oznajmił, że za dwa dni zjawi się tutaj Boris.

– Boris? – powtarzam, a on kiwa głową. – Ale po co? – dociekam.

Mam już wystarczająco dość tych dwóch osiłków, którzy stale kręcą się gdzieś wokół, więc naprawdę wolałabym, żeby ojciec już nikogo nam tutaj

nie przysyłał.

– Ma się ze mną zamienić.

– Słucham?! – Czuję, że blednę.

Nie tak to miało wyglądać.

– Jak tylko Boris się tu zjawi, ja mam wracać. Takie dostałem polecenie. Zaciskam szczęki. Jestem wściekła, a zarazem taka bezsilna. Co robić?

– Sonia? – Jego głos sprowadza mnie na ziemię.

Spoglądam mu w oczy. Wydaje się strasznie poważny. I zatroskany. Nie pomaga. Nie ułatwia, a ja czuję, że za chwilę wpadnę w panikę.

– Coś wymyślę, przecież ci obie...

– Zostały nam tylko dwa dni – przerywam mu. – Pod oknami kręci się ochrona. Jak więc zamierzasz mi pomóc?

– Dwa dni to szmat czasu.

Uśmiecham się ironicznie, kręcę głową i obejmuję się dygoczącymi ramiionami.

– Ufasz mi? – pyta nagle, podchodząc do mnie bliżej i kucając obok krzesła, na którym siedzę.

Kiwam głową.

Wtedy mnie całuje, a ja natychmiast przestaję się czymkolwiek przejmować.

ROZDZIAŁ 12

LEO

Reszta dnia upływa nam dość normalnie. Gotujemy wspólnie. Właściwie to uczę Sonię przyrządzania potraw od podstaw, bo naprawdę niewiele wie na temat kuchni. Przed nią jeszcze sporo nauki, ale jestem pewien, że szybko opanowałyby sztukę kulinarną, gdyby tylko poświęciła na to trochę czasu. Chętnie bym jej w tym pomógł, ale powoli kurczy nam się czas, a ja nadal nie opracowałem nowego planu.

– Spróbuj. – Podstawiam jej pod nos łyżkę z sosem pomidorowym. – Tylko uważaj, bo jest strasznie gorący.

Sonia najpierw dmucha, a potem otwiera posłusznie usta. Muszę wziąć się w garść, bo naraz wyobrażam sobie, jak zamiast łyżki bierze do ust mojego kutasa. A przecież jeszcze nie skończyliśmy gotować. Ale nie samym seksem człowiek żyje. Poza tym musimy być bardziej ostrożni, bo karki Vasiljewa stale kręcą się pod oknami. Jeszcze któryś mógłby coś zauważyć przez niedociągnięte firanki.

– Pycha – mruczy i cicho mlaszcze. Natychmiast twardnieję, co nie uchodzi jej uwadze.

Uśmiecha się i oblizuje wargi, a ja czuję, jak zasycha mi w gardle.

– No widzisz, jakie to proste – chwale ją, bo jednak większość przygotowała samodzielnie. Ja tylko jej podpowiadałem. – A teraz makaron.

Pokazuję na wrzątek w garnku.

– Wystarczy osolić wodę, wrzucić makaron, przemieszać go kilkakrotnie, żeby się nie posklejał, i ugotować do odpowiedniej miękkości. Wolisz

al dente czy bardziej miękki?

– Zdecydowanie al dente – odpowiada, gapiąc się na wypukłość na moich spodniach.

– Jeśli nie przestaniesz – ostrzegam ją, wrzucając do gotującej się wody porcję makaronu – to obawiam się, że zupełnie go rozgotujesz albo nawet przypalisz – dodaje, wręczając jej drewnianą łyżkę.

Sonia bierze ją ode mnie, ale przewraca oczami, a potem niechętnie miesza w garnku.

– Z takim podejściem nigdy nie nauczysz się gotować – ganię ją, choć bez cienia złości.

– To w zasadzie nie ma znaczenia – mówi, nie przestając mieszać.

Przyglądam się jej uważniej, licząc, że zaraz mi wyjaśni, co miała na myśli.

– Nie mam dla kogo się starać – dodaje i opiera łyżkę o brzeg garnka. – Nie wyszłam za mąż, nie spotykam się na stałe z nikim, komu mogłabym i chciałabym się przypodobać. A moje szanse na to, że kiedykolwiek się ustabilizuję, są nikłe.

– Nie chcesz znaleźć sobie kogoś i stworzyć z nim *normalną* rodzinę? Nie mówię o najbliższych dwóch miesiącach. Ale w perspektywie kilku lat? – zaciekawia mnie jej wyznanie.

– Nie myślałam o tym, bo wiem, że ojciec się nie zgodzi. Istnieje szansa, że zmieni zdanie, ale wówczas jestem pewna, że sam znajdzie mi *właściwego* partnera. Nieraz zastanawiałam się, jak to by mogło być, gdybym sama o sobie stanowiła. Wyobrażałam sobie, że wreszcie poznaję kogoś, na kim mi naprawdę zależy, i biorę z nim potajemny ślub. A ojca stawiam przed faktem dokonanym. Oczywiście istnieje ryzyko, że zabiłby nas oboje, ale to może być całkiem dobre wyjście – dodaje niby żartem, ale żadne z nas się jakoś nie śmieje. – Na dłuższą metę życie w świecie, z którego pochodzę, jest po prostu niemożliwe – dodaje.

Zaskakują mnie jej słowa. Dotąd sądziłem, że wiem o niej wszystko, a tymczasem dostrzegam, że pod maską zła, jakie widziałem w tej dziew-

czynnie, kryje się coś zwykłego. Może to niemający wyboru człowiek? W tej chwili jednak nie zastanawiam się nad tym, bo naraz doznaję olśnienia.

– Ożenię się z tobą – mówię, a ona patrzy na mnie jak na największego kretyna.

– Słucham? – Spogląda na mnie oczami wielkości spodków. – Mam za ciebie wyjść?

– Tak, weźmiemy ślub.

– Ślub? – powtarza po mnie, jakbym gadał w jakimś obcym języku, a przecież posługujemy się angielskim, który oboje świetnie znamy.

– Nie wiesz co to ślub? – drocę się z nią.

– Wiem, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Uciekniemy razem. Jutro.

– Ale...

Ganię ją surowym spojrzeniem i kontynuuję, licząc, że nie będzie mi co chwila przerywać.

– Zaraz pojedę do miasta. Załatwię nam transport, a potem, skoro świt, uciekniemy. We dwoje.

– Ale dokąd chcesz uciekać? Masz jakiś plan?

Milczę. Nie zamierzam mówić zbyt wiele, bo i nie chcę zapeszać. Poza tym...

– Makaron!

Przypalił się, o czym świadczy wydobywający się z garnka śwąd.

– Taka ze mnie przyszła żona – mówi utrapionym głosem Sonia.

– Nie przejmuj się. – Obejmuję ją i lekko całuję. – Kupię coś na mieście – dodaję, a potem ruszam w stronę drzwi. – A ty... – Przystaję jeszcze na moment. – Bądź grzeczna i czekaj na mnie – rzucam, a potem wychodzę i zostawiam ją samą.

„Jak żona na męża” – dodaję w myślach.

Mam nadzieję, że motocykl jest w tak doskonałym stanie, jak zapewniał poprzedni właściciel. Na pierwszy rzut oka prezentuje się świetnie, ale liczę, że jego stan techniczny też okaże się bez zarzutu. Mamy bowiem spory kawałek do przejechania. Mimo wszystko wierzę, że podróż upłynie nam bez większych problemów.

W drodze powrotnej do mieszkania kupuję nam jeszcze odpowiednią odzież. Nic dla szpanu, po prostu wszystko musi być, jak należy. Na pewno nie powinniśmy się rzucać w oczy, tylko wyglądać jak zwykła para hobbistów, którzy znają się na rzeczy. Prawda jest taka, że ja nawet do pasji podchodzę niezwykle poważnie. A już w tym przypadku po prostu nie mogę sobie pozwolić na jakiegokolwiek niedopatrzenie.

Motocykl parkuję po drugiej stronie domu, tuż za ogrodem. Droga prowadząca na tyły posesji jest tak wąska, że nie dałoby się tutaj wjechać nawet najmniejszym samochodem. Widziałem tu ledwie kilku pieszych i rowerzystów, więc uznałem, że widok motocykla nie wzbudzi w nikim większych podejrzeń. Niemniej ostatnie metry przepchnąłem go na zgaszonym silniku. Nie chciałem, żeby któryś z pilnujących nas w dzień i w nocy zbiorów Vasiljewa usłyszał hałas. Co prawda tutaj prawie nie zaglądali, ale mimo wszystko zanim zdjąłem kask, również upewniłem się, czy nie mam towarzystwa. Na szczęście byłem sam. Poza tym oni uważali mnie za jednego ze swoich.

Na wszelki wypadek zostawiam motocykl po drugiej stronie dróżki, na przeciwko innej posesji, w takim miejscu, żeby nikomu nie przeszkadzał. Zdejmuję kask i chowam go w specjalnym schowku, a potem biorę torbę z zakupami i wracam piechotą w stronę jednej z poprzecznych ulic, gdzie czeka już na mnie zamówiona wcześniej taksówka. Mimo wszystko muszę zachować ostrożność i wrócić frontowymi drzwiami.

Wsiadam do samochodu, podaję kierowcy adres, a facet przez moment gapi się na mnie we wstecznym lusterku jak na największego kretyna. Kiedy jednak po chwili parkuje przed wskazanym budynkiem, a ja wręczam mu kasę i dość pokaźny napiwek, twarz mu łagodnieje.

Nie zwracając uwagi na ludzi Vasiljewa, wreszcie idę do domu, do Soni. Dziwne, ale myśl o niej jako o mojej przyszłej żonie naprawdę zaczyna mi sprawiać przyjemność. Ona chyba także z ochotą przystała na tę spontaniczną propozycję, bo już od progu wygląda jak oczekująca na męża żonka. Patrzy w dziwny sposób, jakby... tęskniła.

– Coś się stało? – pytam, a ona kręci głową, lecz minę ma nadal niewyraźną. – Przecież widzę – mówię, odkładając torbę z zakupami na blacie stołu.

– Boję się, Leo – szepcze wówczas, podchodzi do mnie i zarzuca mi ręce na szyję. Już chcę ją zapewnić, że przy mnie ze strony ojca nic jej nie grozi, ale mnie ubiega: – A jeśli coś pójdzie nie tak? Co, jeśli nas złapią, zanim się pobierzemy? Wiesz, że nawet jeśli uda się nam to zrobić, to ślub i tak nie gwarantuje nam, że mój ojciec cię nie zabije? I przy okazji mnie również...

Jest przerażona. Nigdy jej takiej nie widziałem. Zastanawiam się, co takiego zrobił jej ojciec, że nagle zaczęła się bać nie tylko o moje, ale i o własne życie.

– Nie chcę, żeby przeze mnie coś ci się stało – dodaje wówczas, wykrzywiając usta, jakby miała za chwilę się rozpłakać.

Zaskakuje mnie po raz kolejny, choć zdaje się, że nie powinienem był się dziwić. Raczej przywyknąć, przyzwyczaić się. W końcu od jakiegoś czasu na moich oczach zachodziła w niej niezwykła przemiana. Niemniej nie sądziłem, że właśnie teraz z jej ust usłyszę coś takiego, i nie przypuszczałem, że w ogóle jest zdolna do takiej szczerości. Do niedawna wydawało mi się, że tej dziewczyny nie obchodzi nic poza czubkiem własnego nosa. Była rozpieszczona i zapatrzona w siebie. Dawała mi jasno do zrozumienia, że jest najważniejsza, a ja nic nie znaczę. Tymczasem teraz... słyszę takie wyznanie.

– Nic mi się nie stanie – zapewniam, tuląc ją i lekko kołysząc.

– Obiecujesz? – Patrzy na mnie oczami po brzegi wypełnionymi łzami.

– Obiecuję.

SONIA

Jest jeszcze bardzo wcześnie, bo za oknami wciąż panuje ciemność, kiedy Leo każe mi wstać. Nie oponuję. Choć jestem zmęczona, bo przez całą noc nie zmrzyłam oka, to wiem, że ze snu nic nie wyjdzie. Boję się. Jestem przerażona tak bardzo, że nie tylko ze snem mam problem. Wczoraj wieczorem nawet nie tknęłam kolacji, choć Leo, po tym jak przypaliłam makaron, kupił nam chińszczyznę. Gdybym wcześniej w panice nie zrobiła testu, który dał wynik negatywny, znów zaczęłabym się martwić, czy aby nie jestem w ciąży. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że na tym etapie nie miałabym jeszcze takich objawów, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Zjedz coś – nalega Leo, widząc, że nie tknęłam nawet śniadania.

– Śniadanie przy świecach – mruczę, a on kręci głową i nieznacznie się uśmiecha.

– Dla większego bezpieczeństwa – odpowiada, zerkając w stronę szczelnie zasłoniętych okien. – Jedz. Nie możesz się głodzić.

– Mam żołądek zawiązany w supeł, więc nic nie przełknę.

– Przed nami spory kawałek drogi, powinnaś coś zjeść. – Uparcie podsuwa w moją stronę talerz z kanapkami. – Sonia! – naciska, więc sięgam po apetycznie wyglądający kawałek razowego chleba posmarowany białym serkiem i udekorowany rzodkiewkami oraz szczypiorkiem.

Kanapka smakuje naprawdę wyśmienicie, tylko że ja jestem tak bardzo zestresowana, że ledwie przełykam kęs, a mam już dość. Wmuszam w siebie jeszcze kilka gryzów i popijam herbatą.

– Grzeczna dziewczynka – chwali mnie Leo, a potem pokazuje, żebym skusiła się na kolejną kanapkę.

– Nie dam rady. Naprawdę.

– Dobrze. Nie będę cię zmuszał. A teraz chodź, musimy się przebrać.

– Przebrać?

Patrzę na niego, a potem zerkam po sobie. Uważam, że jestem idealnie ubrana na podróż. Mam na sobie dzinsy i bluzę z kapturem.

– Coś nie tak z moim ubraniem? – pytam.

– Jest praktyczne, ale niewystarczające – mówi, a potem wyjmuję z plecaka jakieś inne ubrania i podaje mi jeden z kompletów.

Patrzę na niego, zupełnie nic z tego nie rozumiejąc. Przyglądam się uważniej jego propozycji: skórzana kurtka i spodnie z naturalnej skóry.

Będziemy jechać motocyklem?

– O nic nie pytaj, tylko włóż to – prosi.

Nawet nie opuszczam pokoju; rozbieram się do samej bielizny, a następnie zakładam strój. Leży idealnie, choć nie jest w moim stylu.

– Wygodnie ci? – pyta Leo, taksując mnie wzrokiem.

– Chyba tak. – Kiwam głową i poruszam się kilkakrotnie, by się upewnić, czy nic mnie nie uwiera.

– Chyba?

– Nie wiem. Nie znam się na tym, bo jeszcze nigdy nie miałam czegoś takiego na sobie – wyjaśniam szczerze.

– Nigdy nie jeździłaś motocyklem? – Dziwi się. – Sądziłem, że dziewczyna taka jak ty próbowała już w życiu wszystkiego.

W zasadzie nie jestem pewna, jak powinnam zinterpretować te słowa, ale staram się nie szukać w nich drugiego dna.

– Raz albo dwa kolega dał mi się przejechać, tyle że nie miałam na sobie tych wszystkich specjalnych ciuchów, tylko kask. Ale to zdecydowanie nie dla mnie. Nie przepadam za motocyklami – oznajmiam szczerze. – Poza tym ojciec od zawsze powtarzał, że motocyklami jeżdżą dawcy organów.

Teraz to Leo wygląda tak, jakby chciał mi coś wyznać, ale z jakiegoś powodu zachowuje tę myśl dla siebie. Nie ciągnę go za język, bo i chyba nie mamy zbyt wiele czasu, zwłaszcza na zbędne pogaduchy. Poza tym w tej chwili wolę na niego patrzeć. Wygląda obłędnie w takim wydaniu. Skórzane spodnie uwydatniają mięśnie na udach i łydkach i tak seksownie opinają się na jego zgrabnym tyłeczku – mogę go podziwiać, kiedy pochyła się nad plecakiem i wypełnia go naszymi ubraniami, termosem z kawą i kanapkami, które wcześniej zapakował w plastikowy pojemnik. Gdyby nie

czekała nas podróż w *nieznane*, z olbrzymią chęcią bym je z niego zdjęła i po raz kolejny przekonała się na własne oczy, jak pięknie prezentuje się również bez tych pobudzających wyobraźnię spodni.

– Gotowa? – pyta, a ja niepewnie kiwam głową. – Zatem chodźmy – mówi, a potem podaje mi rękę i oboje znikamy na tyłach domu, w ogrodzie.

Widzę, że Leo czujnie obserwuje teren, zanim na dobre znajdziemy się poza ogrodzeniem. Kiedy upewnia się, że jest czysto, ciągnie mnie za rękę w stronę zaparkowanego nieopodal motocykla. Tak, ciągnie to właściwe określenie. Idzie piekielnie szybko, tak że ledwie za nim nadążam, choć wydawało mi się, że mam świetną kondycję. Nie od razu wsiadamy na tę czekającą pod płotem sąsiadów *bestię*. Leo informuje mnie szeptem, że nie chce hałasować. Lepiej wymknąć się stąd bezszelestnie, bo to pozwoli nam zyskać jeszcze większą przewagę nad *wrogiem*.

Przerażają mnie jego słowa. Mogłam myśleć o ojcu różne rzeczy, ale nigdy dotąd nie uważałam go za wroga. Szanowałam go, ale i nienawidziłam całym sercem. Chyba po prostu przywykłam, że jest człowiekiem bez uczuć, i nauczyłam się z tym żyć. Czy zaakceptowałam to? Nie, pewnych rzeczy nie da się zaakceptować. Ale uznałam, że walka z wiatrakami nie ma większego sensu. Zwyczajnie się poddałam.

– Boję się – szepczę, kiedy wreszcie udaje nam się dobrnąć do jednej z głównych ulic, nieco oddalonej od tamtego domu.

Wiem, że ostatnio stale to powtarzam, ale naprawdę jeszcze dotąd nigdy się tak nie bałam. Do niedawna byłam odpowiedzialna wyłącznie za siebie, za plecami miałam ojca i jego ludzi. A w tej chwili, gdyby coś poszło nie tak, miałabym na sumieniu jeszcze jego, mężczyznę, który postanowił mi pomóc, i to wbrew sobie, z czym początkowo nawet specjalnie się nie krył.

Ta myśl wyjątkowo mnie przygnębiała.

– Chcesz wrócić? – pyta Leo, wyjmując ze schowka dwa kaski.

Kręcę głową. Mój strach nie ma nic wspólnego ze zwątpieniem. Jestem pewna, że chcę uciec. Przeraża mnie jedynie cena, jaką być może przyjdzie mi zapłacić za ten zuchwały krok.

Biorę od niego kask i zakładam na głowę, a potem dołączam do Leo, który już odpalił motocykl i zajął miejsce na siedzeniu.

– Złap mnie mocno. I nie puszczaj.

– Nie puszcze. Obiecuję.

ROZDZIAŁ 13

LEO

Wszystko wskazuje na to, że jeszcze nikt nie ruszył za nami w pościg. Po wyjeździe z miasta natychmiast wbijam się na jedną z lokalnych dróg. Wybór autostrady, którą z pewnością dobrnęlibyśmy szybciej do celu, był zbyt ryzykowny. Byłem pewien, że to właśnie tam zaczną nas szukać w pierwszej kolejności. Spędziłem wystarczająco dużo czasu z tymi ludźmi, by wiedzieć, jak działają. Pewnie już szykują obławę. Ale my przynajmniej w tej chwili jesteśmy już bezpieczni.

Motocykl zatrzymuję dopiero po kilku długich, wyczerpujących godzinach nieustannej jazdy. Zdejmuję kask.

– Zmęczona? – pytam, a następnie pomagam Soni zejść z motocykla. Czyni to z trudem, jest wyraźnie odrętwiała.

– Bardzo – mówi, pozbywszy się swojego kasku.

– Ale wytrzymasz jeszcze trochę? – upewniam się.

– To zależy.

– Nie rozumiem? – Liczę, że mi to szybko wyjaśni, bo z tej sytuacji już nie ma odwrotu.

– Muszę się położyć i odpocząć. Nie czuję rąk i nóg, o tyłku nie wspomnę. Marzy mi się prysznic...

– Niestety muszę cię rozczarować.

Spogląda na mnie pytająco, z lekką obawą.

– Tę noc spędzimy pod gołym niebem.

– Słucham?

Nie jestem pewien, czy w jej głosie pobrzmiewa nuta niedowierzania, czy oburzenia, ale jeśli tak było, mogłem to przewidzieć. Sonia wychowywała się w bogatym domu, pełnym luksusów i wygod. To prawdziwa dama, a ja jej proponuję coś tak... prostego.

– Dla naszego bezpieczeństwa spędzimy tę noc tutaj. – Wskazuję na porośnięty krzakami teren. – Rozpalimy ognisko. Będzie nam ciepło.

– Powiedz, że żartujesz.

– Niestety nie. Jutro, gdy zatrzymamy się gdzieś po drodze, kupię nową kartę do telefonu i coś dla nas ogarnę – wyjaśniam. Dla bezpieczeństwa, jeszcze przed opuszczeniem Lizbony, zniszczyłem poprzednią. Gdybym tego nie zrobił, szybko by nas namierzyli. – Zadzwoń w kilka miejsc i uprzedzę ludzi, u których zatrzymamy się na kolejne noce.

– Chryste, Leo...

Chyba naprawdę nie jest jej w smak to, co do niej mówię, ale kiedy nachyla się do plecaka, który położyłem na ziemi, i wyjmuję z niego termos z kawą, wygląda na pogodzoną z rzeczywistością. I dobrze, bo nie chcę się z nią teraz o to sprzeczać. Zdecydowanie wolę na nią popatrzeć. Wygląda... obłądnie. Obcisłe spodnie na jej sięgających nieba nogach poruszają wyobraźnię. W tej skórze wyglądają na jeszcze dłuższe i budzą we mnie erotyczne fantazje.

Jej nogi na moich barkach, a ja między nimi...

Drapię się po brodzie i obserwuję. Sonia znów się pochyła, a skórzany materiał opina się na jej zgrabnej pupie, przez co nie mogę od niej oderwać wzroku. Kurtka też leży idealnie. Jeszcze bardziej wysmukła jej idealną talię, którą aż pragnie się zagarnąć, a potem wziąć od tyłu. Mocno, w szaleńczym tempie...

Zamiast tego myślę o tym, jak poruszyć z nią kwestię, o której napomknęła na chwilę przed wyjazdem z Lizbony. Wtedy powstrzymałem się, żeby nie palnąć nic, co mogłoby mnie zdemaskować, zwłaszcza że chwila była mało odpowiednia.

Dawcy organów... Po raz kolejny myślę o tym z lekką ironią, wspominając naszą krótką rozmowę. Jednak nie ma we mnie już tamtej złości, którą czułem wielokrotnie, zanim zbliżyłem się do Soni. Stary Vasiljew to gorszy cynik, niż przypuszczałem. Nieraz widziałem organy, które nie pochodziły z wypadków motocyklistów, a wychodziły spod skalpela jego córki.

Teraz jednak nie zamierzałem jej tego wytykać, a jedynie poznać jej punkt widzenia. Mam nadzieję, że się nie zawiodę. Wysnułem już na ten temat własną teorię i chciałbym, by ją potwierdziła.

– I jak wrażenia po pierwszej przejażdżce? – zagaduję.

– W zasadzie ta *przejażdżka* – robi w powietrzu cudzysłów wolną ręką, bo w drugiej trzyma kubek – byłaby całkiem spoko, gdyby rzeczywiście była tylko zwykłą przejażdżką. Nigdy nie sądziłam, że jazda na motocyklu jest taka... – Zamyśla się.

– Uwalniająca? – podpowiadam jej.

Kiwa głową i się uśmiecha. Chyba jednak jej się podobało, chociaż wygląda na naprawdę zmęczoną. Ma sińce pod oczami i nie umie powstrzymać grymasu bólu, który odmalowuje się na jej twarzy przy każdym najdrobniejszym ruchu. Cóż, zupełnie mnie to nie dziwi. Wiele godzin w tej samej pozycji musiało skończyć się zakwasami, całym mnóstwem zakwasów.

– Rzeczywiście poczułam się wolna – oznajmia po namyśle. – I, o dziwo, wcale nie mam na myśli naszej ucieczki. Za szybko samochodu pewne rzeczy postrzega się inaczej. A na motocyklu wszystko odczuwa się namacalnie, a nawet podwójnie.

– Prawda? – Jej słowa przepelniają mnie niewyobrażalną dumą.

Uśmiecha się i potakuje głową.

– Co i tak nie zmieni mojego nastawienia do... – Znow przerywa, by się zastanowić. – Do samobójców, od których najczęściej pozyskiwane są organy do przeszczepów – kwituje.

Mówi coś jeszcze, ale do mnie nie dociera już żadne z tych słów.

Zaciskam usta w wąską kreskę, bo właśnie jak na zawołanie ujrzałem przed oczami kadry jednego z nagrań, które kiedyś wpadło w moje ręce. To właśnie na nim Sonia, świadomie albo i nie, wyjmowała z człowieka ludzkie serce, które jej ojciec posłał potem zrozpaczonej rodzinie zmarłego, mszcząc się na niej w najbardziej okrutny sposób.

Czuję złość, o której przez ostatnie dni nie pamiętałem. Liczę więc, że Sonia otworzy się przede mną bardziej, że powie coś, czym jakkolwiek się usprawiedliwi. Ale ona szybko ucina temat i proponuje mi kawę.

Biorę od niej naczynie i pociągam spory łyk mocnego espresso. Nadal jest dość ciepłe, ale nie aż tak gorące, jak zaraz po zaparzeniu, więc resztę wypijam jednym haustem, a potem oddaję dziewczynie kubek. Czuję na sobie jej wzrok, kiedy pochłonięty myślami nie zwracam na nią uwagi. Żeby zająć czymś głowę i nie wracać do tematu sekcji, rozbijam tymczasowy obóz, a zaraz potem rozpalam ognisko. Przecież nie chcę, żeby umarła, lecz żeby czuła się w miarę komfortowo. Zważywszy na okoliczności, nie będzie to łatwe, ale zamierzam się postarać. Już taki jestem, że wszystko co robię, wykonuję najlepiej, jak potrafię.

Kiedy kończę, ogień pali się już żywo i rozjaśnia ciemności. Zerkam na Sonię. Siedzi na ziemi, nieopodal ogniska. Smukłe nogi, odziane w czarną skórę, podciągnęła pod brodę. Rękami obejmuje kolana i ma na wpół przymknięte powieki. A może ma zamknięte oczy; trudno to stwierdzić, bo jej długie, czarne rzęsy rzucają cień na blade policzki.

– Śpisz? – pytam, podchodząc do niej.

Podnosi głowę i spogląda do góry. W tej chwili jej twarz znajduje się w cieniu, więc nie widzę zbyt dobrze, ale wydaje mi się, że lekko się uśmiecha.

– Usiądź koło mnie – prosi.

Spełniam jej życzenie. Wtedy ona przysuwa się bliżej i składa głowę na moim ramieniu. Nie jestem pewien, czy upływający czas zrobił swoje, czy po prostu ten gest tak mnie rozculił, że zupełnie przeszła mi wcześniejsza złość, którą tak namacalnie czułem. Obejmuję ją i całuję w czubek głowy, a potem już słyszę tylko ciche „dobranoc”.

Budzę się, kiedy czuję jej usta na moich wargach. Chyba zaczyna świtać, ale nie jestem pewien, bo odnoszę wrażenie, że nadal śnię. Zerkam w stronę ogniska, po którym zostały zgliszcza, a potem patrzę na dziewczynę, która wciąż mnie całując, zaczyna się rozbierać. To chyba nie jest najlepszy pomysł, bo jest naprawdę rześko, ale nie powstrzymuję jej. Patrzę, jak zdejmuje spodnie i odrzuca je na bok, a potem to samo robi z majtkami. Natychmiast mi staje, a ona już rozpina kurtkę.

– Zostaw – mówię, widząc, że próbuje ją zdjąć. – Chodź do mnie – do rzucam, rozpinając spodnie. Zsuwam je odrobinę i uwalniam sterczącego fiuta.

Nie muszę dwa razy powtarzać, bo Sonia już nadziewa się na mnie, a potem zaczyna mnie pieprzyć. Jest dobra w tym, co robi. Ujeżdża mnie jak profesjonalistka; dociska mocno biodrami, by potem znów wzbic się w górę. Jej piersi, odziane niewiele zasłaniającą koronką, falują teraz tuż przed moim nosem. Wyjmuję je z miseczek stanika i obejmuję wargami. Najpierw prawą, potem lewą, leniwie kosztując ich obu, kęsając sutki i delektując się ich smakiem. Czuję, jak twardnieją.

Sonia jęczy głośno, ale nadal mnie pieprzy. Jej ciało pokrywają dreszcze, co równie dobrze może oznaczać zbliżający się orgazm i wpływ chłodnego wiatru, który smaga jej nagie ciało. Wypreżam się więc bardziej, a nawet zaczynam się poruszać, by skończyć czym prędzej, choć jednocześnie mam ochotę przeciągać tę chwilę jak najdłużej. Wkrótce dochodzę w niej, a potem rozpinam kurtkę i przyciągam ją do nagiego torsu. Zmarzła, tak jak przypuszczałem, ale jej zimna skóra jakoś mi nie przeszkadza. Pragnę ją ogrzać własnym ciepłem.

„A nawet ochronić własnym ciałem” – przelatuje mi przez głowę. Zupełnie tego nie pojmuję. Przecież nie taki był mój plan...

SONIA

Cieszę się, że między nami już okej. Poprzedniego wieczoru odnosiłam wrażenie, że Leo jest na mnie zły. Nie wiedziałam, jaki był tego powód; kiedy zasypiałam w jego ramionach, doszłam do wniosku, że może ze zmęczenia przestałam racjonalnie myśleć.

Leo nie miał powodu, żeby się na mnie złościć. Poranny seks był raczej dowodem na to, że rzeczywiście musiałam się pomylić i coś opacznie zrozumieć.

– Ubierz się, bo mi tu zaraz zamarzniesz – szepcze mi do ucha, kiedy siedzę na nim okrakiem i przytulam się do jego ciepłego torsu.

– A co, płakałbyś? – żartuję, ale nie odpowiada, tylko wysuwa się spod mnie i poprawia sobie ciuchy. Nie mam pewności, ale znów wydaje się niezadowolony.

Spełniam więc jego prośbę i ubieram się. Właściwie powinnam się wpierw odświeżyć, ale zanim zdążę zapytać o cokolwiek, jak mogłabym to zrobić, Leo mnie ubiega.

– Proszę. – Wręcza mi kanapkę.

Biorę ją, ale zamiast zjeść, tylko się jej przyglądam.

– Zaraz ruszamy w dalszą drogę – informuje mnie Leo lekko zniecierpliwionym tonem.

Wtedy już nic nie mówię i o nic nie pytam, tylko pochłaniam całą kanapkę naraz i pijam resztkami kawy, oddając Leo kilka łyków. Byłam naprawdę głodna – dociera to do mnie właśnie teraz.

– Gotowa? – pyta mnie Leo, wstając i podnosząc z ziemi plecak.

Kiwam głową, choć ostatnią rzeczą, na jaką mam właśnie ochotę, jest dalsza podróż motocyklem. Już po wczorajszej trasie bolą mnie wszystkie mięśnie. Ale przecież nie jestem słabą, bezbronną kobietką czy pustą lalą, która będzie się skarżyć...

Kiedy dojeżdżamy do Walencji, nie czuję własnego ciała.

– Zabrałeś mnie do Hiszpanii?

Bardziej skwitowałam, niż zapytałam, ale faktem jest, że jestem zdziwiona. Dotąd nie miałam pojęcia, dokąd właściwie zmierzamy, a Leo wybierał takie trasy, na których nie było żadnych znaków drogowych, a już tym bardziej tablic informacyjnych. Oczywiście nie byłam głupia; rozumiałam, że w ten sposób chce mnie chronić. Przekroczenie granicy w oznakowanym miejscu niesło ze sobą zbyt duże ryzyko. Ojciec szybko wpadłby na nasz trop, a przecież tego nie chcieliśmy oboje.

W odpowiedzi Leo tylko kiwa głową. Jest nie mniej skonany ode mnie, a może nawet bardziej. Nic dziwnego. To przecież on nieustannie prowadził. W dodatku motocykl, a do tego potrzebne są skupienie i siła. To wbrew pozorom bardzo wymagająca czynność. Byle kto się do tego nie nadaje. Ale Leo stawał na wysokości zadania. Podziwiam go za to.

– Myślisz, że tutaj nas nie znajdą? – kontynuuję, licząc, że za chwilę wreszcie poznam jakieś szczegóły jego planu. Dotąd mało mówi o przyszłości.

– Nie zatrzymujemy się w Hiszpanii – odpowiada wówczas.

– Nie?

Znów zaprzecza, kręcąc głową.

– Powiesz mi wreszcie, dokąd mnie zabierasz?

– Do Amalfi.

– Amalfi? – Przyglądam się mu z zaciekawieniem.

Pierwszy raz słyszę tę nazwę. Zwiedziłam już wiele miejsc, bo ojciec często zabierał mnie z sobą na przeróżne spotkania, ale o tej nigdy dotąd nie słyszałam.

– To we Włoszech.

– Zabierasz mnie do Włoch? – powtarzam z rosnącym entuzjazmem, nad którym nie umiem zapanować.

Uśmiecha się.

– Byłam kiedyś w Rzymie. Ojciec robił tam jakieś interesy – wyjaśniam pobieżnie. To było dawno; miałam za mało lat, by wiedzieć, czym tak naprawdę zajmuje się mój tata. – Rzym jest spoko, choć strasznie dużo w nim

turystów. Ale słyszałam, że reszta Włoch, zwłaszcza rejony nadmorskie, jest znacznie atrakcyjniejsza i piękniejsza. Mam nadzieję, że Amalfi leży właśnie nad morzem... – Rozmarzyłam się.

– Tak. Nad samiutkim Morzem Tyrreńskim.

Aż piszczę z zachwytu, na co Leo tylko szerzej się uśmiecha.

Po załatwieniu nowej karty do telefonu Leo zaskakuje mnie po raz kolejny, kiedy odkrywam, że do Amalfi popłyniemy statkiem. Nie jest to byle jaki statek, a wycieczkowiec, który wygląda niczym gigantycznych rozmiarów pływający dom. To niemalże luksusowy hotel, bo jest wyposażony naprawdę we wszystko, co możliwe. Na pokładzie oprócz apartamentów i tańszych pokoi dla mniej wymagających gości znajdują się kort tenisowy, basen, a nawet lotnisko i śmigłowiec. Naprawdę wydawało mi się, że sporo już w życiu widziałam, ale takiego przepychu nie widziałam jeszcze nigdy, a przecież byłam przyzwyczajona do luksusu. Szkoda tylko, że ze względów bezpieczeństwa nie możemy korzystać w pełni z atrakcji, jakie oferuje statek. Nasza kajuta też pozostawia wiele do życzenia – to raczej składzik, do którego przyniesiono nam materac i pościel. Nie narzekam jednak, bo to i tak są znacznie lepsze warunki od tych, w jakich spędziliśmy ostatnią noc. Nie jestem żadną wychuchaną paniusią, ale spanie pod gołym niebem było naprawdę ekstremalnym przeżyciem. Podobnie zresztą, jak sama podróż motocyklem z Lizbony do Walencji. Jeszcze dwa tygodnie temu nie uwierzyłabym, że w tak krótkim czasie przeżyję tyle *niesamowitych* atrakcji.

– Odpoczęłaś trochę? – zagaduje mnie nagle Leo, widząc, że już nie śpię.

Kiwam głową i uśmiecham się ciepło, a potem wtulam się w niego ciasniej i odnajduję jego usta.

– Ty nigdy nie masz dość? – pyta, a ja czuję, jak jego penis twardnieje mi na brzuchu.

– Ciebie? – droczę się z nim, przygryzając dolną wargę. – Nigdy – dodaję, a potem znów zaczynam go całować.

ROZDZIAŁ 14

LEO

– Pospiesz się, mam dla ciebie niespodziankę – mówię, zerkając w niewielkich rozmiarów lustro i przeczesując palcami włosy. Chcę wyglądać dobrze. To ważny dzień dla nas obojga.

– Nie wiem, co kombinujesz, ale wolałabym, żebyś jeszcze wrócił do łóżka – odpowiada i pręży przede mną swoje wdzięki.

– Nie kuś. – Grożę jej palcem. – I choć raz mnie posłuchaj i nie licytuj się ze mną. Wskakuj w ciuchy – dodaję.

Sonia dopiero teraz zauważa, że na oparciu krzesła wisi sukienka. Jest elegancka, w kolorze brudnego różu – tak to się chyba nazywa. My, faceci, nie znamy się na kolorach tak jak kobiety. Karolina w kółko mi to powtarzała. Pamiętam, że kiedy prosiła mnie o przyniesienie z garderoby jakiejś sukienki, zwłaszcza w wyszukanym kolorze, dajmy na to karminowym, mówiłem pass. Ja nie widziałem żadnej różnicy pomiędzy karminowym a zwyczajną czerwienią. A przecież odcieni było jeszcze więcej: malinowy, amarantowy czy cholera wie jeszcze jaki.

– Skąd wzięłaś tę kieckę? – pyta wyraźnie zainteresowana. I chyba dopiero teraz zauważa, że ja także mam na sobie eleganckie garniturowe spodnie oraz śnieżnobiłą koszulę. – Nie rozumiem, po co to? – docieka, podpierając się na łokciach. – I wytłumacz mi, od kiedy możemy wychodzić, bo te stroje oznaczają, że mamy wychodne, prawda? – kontynuuje przesłuchanie, a potem zaczyna wodzić po mnie łakomym wzrokiem.

Widząc uznanie w jej oczach, uśmiecham się pod nosem. Schlebia mi. Naprawdę. Taka jak ona mogłaby mieć każdego, a jednak to moje łóżko grzeje. I to na mnie patrzy teraz jak na wisienkę na torcie. Weselnym torcie.

– Koniec wywiadu – kwituję. – Ubieraj się, bo spóźnimy się na własny ślub.

– Ślub?! – Aż piszczy z niedowierzania, po czym błyskawicznie wyskakuje z łóżka. – Powiedziałeś ślub? – docieka, ale nadal stoi przede mną zupełnie naga.

Uśmiecham się tylko i unoszę ręce w geście kapitulacji.

– Ale jak to? Jaki ślub?

– Nie wiesz, co to ślub?

– Wiem, ale... Powiedziałeś, że nie możemy opuszczać kajuty, że to zbyt niebezpieczne. A teraz chcesz się ze mną żenić?

– Płynie z nami pewien Szkot, który podrzucił mi całkiem ciekawy pomysł...

– Szkot?

Wydaje mi się, że opuszcza ją pewność siebie, której dotąd miała pod dostatkiem. Teraz w mojej gestii leży, żeby ją uspokoić.

– Weźmiemy szkocki ślub. Na próbę.

– Na próbę? – powtarza po mnie, a jej zdziwienie sięga zenitu.

– Na rok i jeden dzień. Według tego, co powiedział mi ten mężczyzna, to stary, zapomniany i chyba nawet niepodtrzymywany już zwyczaj. Ale akt jest tak samo ważny, jak każdy inny ślub. Zapewniał mnie o tym. Złożymy więc przysięgę w obecności świadka, który w razie potrzeby zaświadczy, że do niej doszło.

Sonia spogląda na mnie z lekkim niepokojem. Wiem, co myśli i że właściwie zinterpretowała sformułowanie „w razie potrzeby”. Ten szkocki świadek, *w razie potrzeby*, miałby zaręczyć przed starym Vasiljewem. Obawiam się jednak, że do żadnego spotkania nigdy nie dojdzie. Mój plan co prawda się pogmatwał, ale nadal starałem się go jakoś trzymać. I nie było w nim miejsca na takie ekscesy.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? – Sonia bardzo mnie zaskakuje tym pytaniem.

– A ty nie?

– Wiem, że rozmawialiśmy już o tym, ale czy sądzisz, że to wystarczy? Że ślub uchroni nas przed... *konsekwencjami*?

Tych obawiam się najbardziej. I wcale nie boję się o siebie – ja mogłem umrzeć choćby dziś, choćby zaraz. Ale krzywdy Soni, pomimo że nadal była częścią mojej zemsty, w tej chwili nie pragnąłem wcale. Wszystko się pokomplikowało.

– Nie wiem, ale myślę, że jeśli nie spróbujemy, to się nie przekonamy.

– Boję się, Leo – słyszę w odpowiedzi.

Przytulam ją więc, a potem, gdy zadziera głowę i patrzy mi w oczy, składam pocałunek na jej czole. Wydaje się szczerą, bo wygląda na przejętą. Nie wiem dlaczego, ale wierzę jej. Też bałbym się na jej miejscu. Przecież przed nią całe życie. Mnie na moim od dawna nie zależy. Straciłem na nie chęć w dniu, w którym umarła moja żona, kiedy Vasiljew w okrutny sposób mi ją odebrał. Od tamtego dnia nienawidzę tego człowieka i całej jego rodziny. Sonię też nienawidziłem, ale moje uczucia do niej uległy zmianie. Już nie pałam wobec niej chęcią zabicia jej i chyba nawet zaczynam ją rozumieć. Urodziła się w takiej rodzinie, nie wybrała jej sobie. I jest wobec niej lojalna. To znaczy była. Widocznie zmęczyło ją bycie potworem, skoro postanowiła uciec, a mnie poprosiła o pomoc. Nie byłem w stanie jej odmówić. Zwłaszcza że używała dość *konkretnych* argumentów. Oczywiście miałem świadomość, że nasza ucieczka na dłuższą metę nie ma większego sensu, ale nadal realizowałem plan, tylko musiałem go *lekko* zmodyfikować.

– No już – uśmiecham się do niej pokrzepiająco. – Wskakuj w tę kieckę i chodźmy się pobrać, zanim Szkot się zniecierpliwi albo, co gorsza, rozmyśli.

Nadal nie jestem pewien, czy cały ten ślub rzeczywiście ma taką samą moc, jak jego tradycyjna forma, ale muszę przyznać, że słowa przysięgi brzmiały całkiem prawdziwie, a nawet majestatycznie. Zwykła formułka przysięgi małżeńskiej w porównaniu z tą, którą składaliśmy sobie z Sonią, wydawała się zbyt standardowa, a nawet oklepana. Kiedy powtarzałem ją po szkockim duchownym, poczułem się... dziwnie. Jakbym zdradzał własną żonę. Wystarczyło jednak, bym powtórzył sobie w myślach, że robię to w imię zemsty, a myśl o niej dodaje mi sił.

– Może pan pocałować żonę – słyszę.

Natychmiast wracam na ziemię. W tej samej chwili dostrzegam, że Sonia mi się przygląda.

– Stało się coś? – pytam, widząc jej dość niewyraźną minę.

– Ty mi powiedz – odpowiada cicho. – Chodzi o twoją żonę, prawda?

Dlaczego wciąż zapominam, że jest taka błyskotliwa...

– Teraz ty nią jesteś – mówię wówczas, a potem pochylam się i składam na jej wargach namiętny pocałunek.

Następnie kiwam w podzięcie do mężczyzny, który udzielił nam ślubu, a potem porywam Sonię w ramiona i już niosę w stronę naszej *małżeńskiej* kajuty. Pora oficjalnie skonsumować nasz związek, choć to oczywiście tylko formalność...

Budzę się z krzykiem na ustach. Sonia leży obok mnie i patrzy na mnie nieprzytomnymi, ale z całą pewnością przerażonymi oczami.

– Przepraszam – mówię zdyszany, a głos z ledwością wydobywa się z mojego gardła. – Miałem zły sen – tłumaczę i wciągam ją na swoje ramię, a potem w ramach przeprosin całuję delikatnie.

– Bardzo szybko bije ci serce. – Dotyka mojego nagiego torsu. – Czy twój zły sen ma coś wspólnego z naszym ślubem? – pyta nagle, zadzierając głowę i patrząc mi w oczy. Wyraźnie oczekuje szczerzej odpowiedzi.

W tej jednej chwili nie potrafię jej okłamać. Zresztą, odkąd trafiła pod moją *opiekę*, prawie w ogóle tego nie robię. Po prostu dotąd jakoś udawało mi się zatrzymywać część prawdy wyłącznie dla siebie. Oczywiście mam świadomość, że kiedyś będę musiał jej o wszystkim powiedzieć, ale nadal liczę, że zdołam to przeciągnąć w czasie najdłużej, jak się da. Bo choć początkowo miałem ochotę ją skrzywdzić w niezwykle okrutny sposób, a nawet zabić, teraz taka opcja nie wchodziła w rachubę.

– Tak – odpowiadam jedynie.

– Podczas ceremonii zauważyłam, że się wahasz... Że naszły cię wątpliwości.

– Nie wahałem się – odpowiadam szybko i szczerze. – Po prostu nagle odżyły wspomnienia, a ja poczułem się jak ostatni złamas. Jak wiesz, byłem już żonaty.

– Musiałeś ją bardzo kochać – mówi, głaszcząc moją skórę w miejscu, gdzie wciąż galopuje moje serce. – Opowiesz mi o niej? Jak ją poznałeś, jak wyglądała?

To właśnie teraz się waham. Nie jestem pewien, czy powinienem mówić Soni o Karolinie, bo wspomnienia mojej ukochanej żony budzą we mnie skrajne emocje. Kochałem ją całym sercem, ale nie dane mi było cieszyć się nią zbyt długo. Będąc z nią, wyobrażałem sobie nas jako parę sędziwych staruszków, trzymającą się za ręce, spacerującą po plaży w Amalfi. Niestety nie doczekaliśmy tego.

– Karolina była piękna.

– Karolina... – powtarza po mnie i wydaje się zdziwiona, choć jestem pewien, że już wcześniej wspominałem, jak miała na imię. Cóż, widocznie nieuważnie mnie wtedy słuchała, chyba skupiła się na tym, co powiedziałem zaraz potem, że jestem byłym żołnierzem. W dodatku legionistą.

Uśmiecham się smutno i lekko potakuję głową.

– Po wypadku – kontynuuję, a ona natychmiast opuszkami palców głaszcze blizny szpecące mój obojczyk – długo nie mogłem dojść do siebie. Pamiętam dzień, w którym dostałem maila od mojej, jeszcze wtedy tego nie

wiedziałem – tłumaczę – przyszłej żony. Nie miałem ochoty na żadne spotkanie ani wywiad, ale mój psychoterapeuta mnie przekonał, żebym się zgodził. Cóż, posłuchałem go.

– I zakochałeś się?

Kiwam głową.

– Tak, choć początkowo zupełnie o tym nie wiedziałem. Nie wierzyłem, że można z taką łatwością oddać komuś serce. – Wzdycham. – Ale Karolina była wyjątkowa, więc stało się to bardzo szybko. Moja żona nie dość, że była piękna, to jeszcze czarująca, miła i bardzo cierpliwa. Jej nie dało się nie pokochać – dodaję, licząc, że Sonia mnie zrozumie, że jej zbytnio nie urażę tym wyznaniem. W końcu to nasza noc poślubna.

Ujmuję jej dłoń, składam na niej pocałunek i kontynuuję:

– Na początku te wszystkie pytania, z którymi do mnie przyszła, wkuzały mnie. Wydawały się zbyt osobiste, wręcz intymne. A jednak wkrótce odkryłem, że udzielając odpowiedzi, czuję, jak uchodzi ze mnie cały ciężar, który wydawał się nie do udźwignięcia. To było naprawdę niezwykle oczyszczające doświadczenie. Pomogło mi zapomnieć o traumie, z jaką się zmagalem.

– Zakochałeś się z wdzięczności? – pyta niepewnie Sonia.

Jak zwykle jest odważna i zadaje równie odważne pytania.

– Nie, choć rzeczywiście na pierwszy rzut oka tak to może wyglądać – wyjaśniam cierpliwie. – Już mówiłem, że ona miała w sobie coś takiego, że tylko kwestią czasu było, abym wpadł po uszy.

– A ja?

– Co ty?

– Też mam w sobie to... *coś*?

Nie jestem pewien, co chce usłyszeć, ale chyba muszę być delikatny, żeby jej właśnie teraz nie urazić. Naprawdę tego nie chcę. Zwłaszcza przez wzgląd na okoliczności.

– Każdy z nas ma to *coś* – odpowiadam. – Mnie nadal nie mieści się w głowie, że dziewczyna taka jak ty w ogóle spojrzała na takiego starego

capa jak ja – dorzucam żartobliwie.

– Nie jesteś stary ani tym bardziej nie jesteś capem. – Szturcha mnie w żebra, a ja szczerzę się do niej w uśmiechu.

– Jeszcze niedawno mówiłaś coś innego.

– Bo mnie wkurzałeś.

– A teraz już cię nie wkurzam?

– Nie tak bardzo – odpowiada, przygryzając dolną wargę. – Poza tym *te-raz* chyba się w tobie...

A ona znowu to samo...

Zamykam jej usta pocałunkiem. Nie chcę tego słyszeć. Nie jestem na to gotowy, choć i ona nie jest mi obojętna. W tej jednak chwili takie deklaracje mogły jeszcze bardziej skomplikować już i tak mocno zagmatwaną sytuację.

SONIA

Nie narzekałam, pomimo że przez cały rejs prawie w ogóle nie opuszczaliśmy swojej małżeńskiej – tak nazywał ją Leo – kajuty. Nie potrzebowałam wiele. Wystarczał mi mój mąż. I był w tej życiowej roli świetny. Nasze małżeństwo, choć zaaranżowane głównie po to, żeby w razie potrzeby ugłaskać ojca, naprawdę mi się podobało. Leo był fantastyczny. Pod każdym względem. Dbał o mnie, rozpieszczał mnie. I pieprzył. O tak, w tym był niewątpliwie mistrzem. Ja też nie byłam całkiem zielona, ale on... Ten facet był idealny, a ja wciąż nie mam go dość, nadal chcę go więcej.

– Spakowana? – słyszę, kiedy patrzę w lustro niewidzącym wzrokiem. Wzdrygam się lekko, bo nie słyszałam, kiedy wszedł do łazienki. – Za chwilę dobijamy do brzegu.

– Tak. Jestem gotowa.

Odwracam się w jego stronę i taksuję go wzrokiem. Leo w każdym wydaniu – czy to w eleganckim garniturze i białej koszuli, czy to w spłowia-

łych džinsach i rozwleczonej koszulce, a zwłaszcza nago – prezentował się bez zarzutu, wręcz idealnie. Dziś, w motocyklowej skórze też wygląda ekstra.

– Nie patrz tak na mnie – gani mnie.

– Jak? – Uwielbiam się z nim droczyć.

– Szalenie mi schlebia, że nadal masz na mnie niepohamowany apetyt, ale...

– Nadal? – Podchodzę bliżej i zarzucam mu rękę na szyję. – Wyjaśnijmy coś sobie. – Całuję go lekko w usta. – Jesteś pierwszym facetem, do którego czuję coś więcej niż zwykły pociąg.

– Sonia...

– Nie obawiaj się – mruczę w jego usta. – Do niczego nie będę cię zmuszać, *mężu* – dodaję, muskając czubkiem języka jego język. – Ale jestem pewna, że sam wkrótce poczujesz to samo. To tylko kwestia czasu – dodaję, a potem odsuwam się, łapię go za rękę i ciągnę w stronę pokoju, gdzie na materacu leży już spakowany plecak. – Jestem gotowa – oświadczam. – Zabierz mnie choćby i na sam koniec świata.

– To strasznie daleko – śmieje się Leo.

– Z tobą mogę pójść jeszcze dalej.

Kiedy gładzi mnie po policzku, zamykam oczy. To takie miłe, takie czułe. A ja tak bardzo potrzebowałam czułości.

Dobrze, że mamy motocykl, bo ta kręta, niezwykle wąska i wiodąca pomiędzy skałami droga nie wydaje się na tyle bezpieczna, by poruszać się nią samochodem. No chyba że bardzo małym, ale w takim Leo, który ma prawie dwa metry wzrostu, musiałby się strasznie męczyć. Jazda motocyklem to też nie do końca dobre rozwiązanie – osobiście wolałabym spacer – ale trasa okazuje się zbyt długa, żeby pokonać ją na piechotę.

Kiedy wreszcie Leo zatrzymuje się obok jakiegoś domu i gasi silnik, odycham z ulgą, jednocześnie dziękując Bogu, że dotarliśmy tu w jednym

kawałku. Oczywiście *mój mąż* – Boże, to brzmi tak abstrakcyjnie – pomaga mi zsiąść. Od razu zdejmuję kask i mu go oddaję.

Rozglądam się po okolicy i zatrzymuję na dłużej wzrok na otaczających nas wzgórzach. Wydają się bardziej zazielenione niż w dolnych partiach. Tutaj, wysoko ponad miastem, jest naprawdę przepięknie i tak... dziewiczo. Odwracam się i z zaciekawieniem spoglądam na zbudowany z piaskowca i kamienia dom. Nie jest wielki, ale też nie sprawia wrażenia smutnej klitki. Wydaje się idealny, stworzony dla rodziny z dwójką dzieci. Nie wiem, dlaczego tak właśnie myślę, ale ta myśl nagle sprawia mi radość.

– Ładnie tu – mówię.

– Mam nadzieję, że nie zmienisz zdania, kiedy wejdziemy do środka – mówi Leo, a potem odpina z bagażnika plecak, przerzuca go sobie na ramię, podaje mi rękę i prowadzi w stronę domu.

Wchodzimy na drewnianą werandę. Stąd widok wydaje się jeszcze piękniejszy. Leo przyłapuje mnie na tym, że się uśmiecham. W jego oczach dostrzegam błysk. Cokolwiek on oznacza, podoba mi się.

Leo otwiera drzwi i zanim przekraczamy próg, do moich nozdrzy dochodzi lekko zatechły zapach. Nie umiem powstrzymać grymasu, choć naprawdę próbuję. Nie chcę sprawić przykrości mężowi.

– Długo tu nie zaglądałem – wyjaśnia. – Mam nadzieję, że gdy pootwieramy wszystkie okna i porządnie wywietrzymy każde pomieszczenie, znów będzie jak dawniej.

– Dawniej? – podłapuję szybko. – To twój dom? Mieszkałeś tu kiedyś?

Wiem, że zadaję zbyt wiele pytań naraz, ale same pchają się na język. Na szczęście Leo to chyba nie przeszkadza, bo kiwa głową.

– Z żoną? – dopytuję.

Właściwie nie wiem, dlaczego o to spytałam, ale nagle uznałam, że warto to wiedzieć. Jeśli w przeszłości to terytorium należało do innej kobiety, dla mnie mogło to oznaczać, że powinnam być bardziej ostrożna, a nawet powściągliwa. Za nic na świecie nie chciałam urazić Leo, choćby

przez wzgląd na pamięć jego nieżyjącej żony. Wiem, że bardzo mu na niej zależało.

– Nie. – Leo rozwiewa moje przypuszczenia. – Mieszkałem tu, zanim wstąpiłem do Legii, a potem jeszcze krótko po tym. Z żoną, po ślubie, zamieszkaliśmy w Polsce, w Warszawie. Tam mogła spełniać się zawodowo. Tutaj przyjeżdżaliśmy sporadycznie. A osiąść planowaliśmy dopiero na... – przerywa.

– Emeryturze? – dokańczam za niego. – Więc mieliście plany na całe życie. – Właściwie chyba bardziej stwierdzam, niż pytam.

– Tak. Mieliśmy. Ale życie nam je pokrzyżowało.

– Przykro mi – mówię, choć jednocześnie czuję w sercu ukłucie zazdrości.

W końcu teraz to ja jestem jego żoną. Nieważne, czy na niby, czy na serio, na próbę czy do grobowej deski – teraz ja jestem jego drugą połówką. A planów z moim udziałem raczej nie snuł. Bynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

Piszczę, kiedy nagle Leo odrywa mnie od drewnianej podłogi, bierze na rękę, a potem przechodzi ze mną przez próg.

– Witaj w domu, żono – szepcze nagle tuż przy moich ustach, a następnie mnie całuje.

Oddaję mu pocałunek, a chwilę potem znów stoję na własnych nogach. Rozglądam się po ładnie, choć skromnie urządzonej i mocno zakurzonej miejscy. Gołym okiem widać, że posesja należy do mężczyzny. Wszystko tutaj wydaje się znajdować w określonym celu. Skórzana kanapa w centralnej części salonu, koc, który zwisa niedbale na jej poręczy, wytarty, ale wyglądający solidnie fotel stojący nieopodal kominka, w którym wciąż leżą niedopalone drwa. Na niskiej ławie, która stoi na środku pokoju, leży książka. Zerkam na nią; chcę ją podnieść, ale Leo mnie ubiega i bierze ją do ręki.

– Należała do Karoliny – mówi, głaszcząc okładkę, a może tylko strzeżąc z niej cienką warstewkę kurzu. Sama nie wiem, co tak naprawdę zro-

bił, ale przyglądam się temu z zaciekawieniem. – To jakiś ckliwy romans, ze szczęśliwym zakończeniem – dodaje, krzywiąc się wymownie.

„Którego wam zabrakło” – dodaję w myślach, mocno poruszona jego reakcją, nad którą nie potrafi w pełni zapanować. Musiałabym być ślepa, żeby nie zauważyć, że Leo wciąż nie pogodził się ze stratą. Naprawdę jest mi przykro, że to wszystko go spotkało.

– Mogę? – pytam, wyciągając rękę po książkę. – *Kontrakt na miłość?* – czytam na głos.

– To jakaś polska autorka – wyjaśnia. – Chcesz przeczytać?

– Z chęcią. – Uśmiecham się lekko i odkładam książkę na niski stolik. – Teraz jednak musimy tu trochę posprzątać. Chodź, pomogę ci.

ROZDZIAŁ 15

LEO

Do wieczoru udaje się nam ogarnąć bałagan, jaki tu zastaliśmy. Nie było mnie tu naprawdę szmat czasu, dlatego też niespecjalnie zdziwił mnie ogrom pracy, jaką musieliśmy wykonać, by przywrócić temu miejscu normalność. Zaskakuje mnie jednak zaangażowanie, z jakim Sonia pomaga mi we wszystkich pracach. Wytrzepała już kapy i narzuty, które nie wymagały natychmiastowego prania – odkąd przyjechaliśmy, pralka pracowała na najwyższych obrotach. Wyniosła pościel, żeby zdążyła się przewietrzyć przed zapadającą nocą. Umyła nawet podłogi. Ja raptem pootwierałem okna w całym domu, wywiesiłem pranie i zająłem się przygotowywaniem posiłku. Po drodze zatrzymałem się w lokalnym sklepiku i kupiłem kilka produktów, dzięki którym teraz mogę wyczarować dla nas kolację.

– Głodna? – pytam, kiedy Sonia z cichym westchnieniem siada na krześle. Wygląda na zmęczoną, ale uśmiecha się do mnie, jakby chciała ukryć przede mną swoje zmartwienia.

– Bardzo – odpowiada i od razu sięga po kieliszek z winem. Spośród wielu nienadających się produktów, które musiałem wynieść z szafek do śmietnika, wino było jedynym, które nadawało się do spożycia.

– Tylko nie przesadz – ostrzegam ją, gdy widzę, jak zaczyna łapczywie pić czerwony trunek. – Na pusty żołądek może ci zaszkodzić.

– Bez obawy – mówi, zlizując z pełnych warg kropelki wina. – Złego diabli nie biorą.

Wiem, że żartuje, ale ja czuję się wyjątkowo nieswojo z tą myślą. Zdaję sobie sprawę z tego, co dotąd robiła, ale wiem już także, że dokonywała tych strasznych rzeczy na zlecenie ojca. Być może nie miała nawet świadomości, co potem działo się z tymi fragmentami ludzkich ciał, ze szczątkami, którym nikt nie oddał należnego szacunku. W końcu była lekarzem, nie rzeźnikiem żywcem wyjętym z najczarniejszego horroru. Niemniej to skojarzenie powracało do mnie uporczywie, ilekroć poddawałem całą sprawę głębszej analizie.

– Naprawdę uważasz, że jesteś zła? – pytam wprost, siląc się na spokój i opanowanie. To strasznie trudne, bo ilekroć myślę o tym, co uczyniła mnie i mojej rodzinie, mam ochotę kogoś zabić. A przecież jedyną osobą, której teraz mógłbym zrobić krzywdę, jest ona. Nikogo poza nami tutaj nie ma. A jej nie potrafię skrzywdzić.

Sonia nie odpowiada od razu. Patrzy mi w oczy, sącząc wino. Po chwili odsuwa kieliszek od ust i zaczyna obracać go w palcach.

– Nie wiem, Leo – odzywa się po chwili. Mówi bardzo cicho, a z jej głosu przebija się niepewność. – Miałam trudne dzieciństwo. Wczesnej młodości także nie zaliczyłabym do udanych.

Milknie na moment, znów bawi się kieliszkiem, patrzy na wirujące wino. Nie poganiam jej. Liczę tylko, że będzie ze mną absolutnie szczerą.

– Życie ma różne odcienie – odzywa się po chwili. – U moich rówieśniczek z pewnością dominują w nim ciepłe, pastelowe barwy, poprzeplatane promieniami słońca. W moim życiu natomiast przeważa czerń, a nad głową kłębią się gęste chmury, przez które prawie nic nie widać. A już z pewnością brakuje w nim słońca.

Patrzę na nią i nie wiem, jak zareagować. Ale nawet gdybym wiedział, co powiedzieć, to i tak nie zdołałbym otworzyć ust, bo Sonia, która jeszcze chwilę temu ostrożnie dobierała słowa, mówi dalej, coraz szybciej i jakby nerwowo.

– Kiedy składałam papiery na medycynę, sądziłam, że dzięki temu w przyszłości będę kimś. W końcu zawód lekarza to nie byle co. Poza tym ojciec nawet niespecjalnie dał mi wybór. – Uśmiecha się ponuro i zanurza

usta w winie. Upija niewielki łyk. – Nie posiadałam się ze szczęścia, kiedy spośród setek podań przyjęto mnie w pierwszej turze. Nie zastanawiałam się nawet, czy dostałam się na studia, bo jestem zdolna i osiągnęłam tak dobre wyniki w nauce, czy może za moim przyjęciem stał wpływowy ojciec. Po prostu cieszyłam się, że wreszcie stanę się niezależna, że nie będę skazana na łaskę ojca i zacznę żyć na własny rachunek. Ale moje szczęście nie trwało zbyt długo, a do mnie szybko dotarło, jak bardzo się pomyliłam – dodaje, a potem pokazuje, żebym dolał jej wina.

Dolewam więc. Sobie również. Obawiam się bowiem, że na trzeźwo tego nie udźwignę. Jej opowieść sprawia, że zaczynają we mnie ożywać wspomnienia, a przed oczami stają obrazy, które próbowałam zapomnieć.

– Na początku drugiego semestru ojciec „załatwił” mi korepetycje... – Wzdycha. Widać, że sporo kosztuje ją to wyznanie. – W jego założeniu miałam się nauczyć perfekcyjnie kroić ludzi, żeby potem, gdziekolwiek będę, w Moskwie czy Londynie, czy gdzie mu się spodoba mnie wysłać... Być trybikiem w jego... biznesie.

Ledwie się powstrzymuję, by jej nie zapytać, czy pieniądze wydane na korki nie poszły w las. Nie chcę być uszczypliwy. Poza tym dobrze wiem, że Sonia jest perfekcyjna w swoim *zawodzie*.

– Kiedy po raz pierwszy stanęłam przy stole sekcyjnym, nie drżały mi same ręce. Dygotałam na całym ciele. Bałam się. Ten trup wyglądał... Tak strasznie. Ale wiedziałam, że aby zostać lekarzem, od czegoś muszę zacząć. Otworzyłam go więc, choć już przy pierwszym cięciu omal nie zymiotowałam. Zrobiło mi się słabo i gdyby nie towarzyszący mi doświadczony lekarz, pewnie runęłabym na ziemię. Ubłagałam go, żeby o całym zajściu nie informował mojego ojca, bo wiedziałam, że nie byłby zadowolony. Może nawet by mnie ukarał. – Wzdycha, po czym wychyla odrobinę alkoholu. – Te wnętrzości... Były zimne i odrażające. Dzięki zajęciom z anatomii wiedziałam, jak *na żywo* wyglądają ludzkie serce, nerki, wątroba czy płuca, ale z tymi wyraźnie było coś nie tak. Były... – Waha się przez moment, jakby szukała właściwego określenia. – Galaretowate.

Jakby ktoś je czymś rozpuścił. Ale potem pomyślałam, że może tak ma być.

I ja upijam solidny łyk, ale nic nie mówię. Rozważam jej słowa. Denat, o którym właśnie wspomniała Sonia, miał i tak sporo szczęścia, mimo że umarł w męczarniach. Wnętrznosci tego człowieka, o którym mówiła Sonia, świadczyły bowiem o tym, że został otruty. Cierpiał katusze, zanim zszedł, ale i tak dokonało się to stosunkowo szybko. Moja żona nie miała tyle szczęścia...

– Z każdym kolejnym ciałem było coraz gorzej. – Ponownie dochodzi do moich uszu lekko drżący głos Soni. Widzę, że jest poruszona, ale już tego nie zatrzymam. Muszę znać całą prawdę. – Powoli zaczęłam zdawać sobie sprawę, że ci wszyscy martwi ludzie nie znaleźli się w tym prosektorium *przypadkiem* – kontynuuje. – Wszystkie te... ofiary... nie umarły też w przypadkowy sposób. I pomimo że każda z nich miała odmienną historię, łączyło je jedno: śmierć na skutek zemsty. Zbyt późno to odkryłam – dodaje jeszcze, a potem znów pije wino.

– Gdybyś wiedziała wcześniej – odzywam się, choć nie jestem pewien, czy postępuję właściwie. Nie wiem, czy w ogóle chcę to wiedzieć. Bo co to teraz zmienia? – Gdybyś wiedziała... Co byś zrobiła?

Znów uśmiecha się smętnie. Na jej twarzy malują się gorycz, żal, a może nawet wstyd. Nie znam jej aż tak dobrze – właściwie prawie w ogóle jej nie znam – więc trudno mi to jednoznacznie stwierdzić.

– Właśnie w tym tkwi problem, że nie wiem – wzdycha. – Mój ojciec nie znosi niesubordynacji – dodaje, a potem odruchowo zerka na blizny szpecące jej nadgarstki.

– On ci to zrobił? – pytam wprost.

Mam ochotę zajebać skurwysyna. Chyba powoli wszystko zaczynam rozumieć...

Ale kiedy Sonia kręci głową, zupełnie tracę rozeznanie.

– Sama się okaleczałaś? – Ledwie przechodzi mi przez gardło to pytanie.

Mimo że widzę stare ślady po cięciach na przegubach jej dłoni, jakoś nie mogę uwierzyć, że byłaby w stanie to zrobić. Uważałem ją za silną, a z tego, co kiedyś wyczytałem w Internecie, cięć czy samookaleczeń dokonują dziewczęta, które nie radzą sobie z problemami. To bardzo poważny, głęboki temat. Ale Sonia nie wygląda na taką, która sobie nie radzi. A może się mylę?

– Nie okaleczałam się – odpowiada, a ja już zupełnie nic nie rozumiem. Przecież dopiero co wyraźnie insynuowała, że... – Zrobiłam to tylko raz. Moja przyjaciółka, jedyna, jaką wówczas miałam, i jedyna, jakiej mogłam zaufać, obmyśliła pewien plan.

Plan... Ostatnio jakoś nie przepadam za tym słowem.

– Powiedziała, że jeśli dokonam nieudanej próby samobójczej, zamkną mnie w psychiatryku. Obie wierzyłyśmy, że to moja jedyna szansa na ucieczkę, na odcięcie się od ojca.

Sonia znów pije. Obawiam się, że zaraz źle się to dla niej skończy, bo już zaczyna jej się nieco plątać język. Łyk jest niewielki, jakby chciała tylko zwilżyć gardło. Nic dziwnego, jej głos raz po raz zmienia barwę, a nią wyraźnie targają emocje.

– Wzięłam żyłkę i podciąłem sobie żyły. Po moich rękach szybko popłynęła ciepła, lepka krew. Przywykłam do jej widoku, więc nie zrobiła na mnie większego wrażenia, choć ta, z którą miewałam do czynienia podczas pracy, zwykle była już zastygnięta w żyłach denatów, których musiałam rozkładać na czynniki pierwsze – dodaje i ucieka wzrokiem. Jest jej wstyd, a to w moich oczach czyni ją lepszą. – Kiedy zdecydowałam się na ten ostateczny krok, w domu było mnóstwo ludzi. Długo więc nie musiałam czekać, żeby odkryto czerwone ślady wiodące z łazienki do mojego pokoju. Błyskawiczna reakcja służby uratowała mi życie, bo krew płynęła naprawdę szybko, a ja czułam, że powoli odpływam.

– Możemy zakończyć tę rozmowę, jeśli cię przerasta – proponuję.

Ale chyba ubieram to w niewłaściwe słowa, a Sonia najwyraźniej wzięła sobie za cel, żeby mi udowodnić, że wcale nie jest słaba, bo kręci głową.

– Mój ojciec ma znajomości dosłownie wszędzie – kontynuuje przygnębionym głosem. – Nie pozwolił mnie przewieźć do zakładu zamkniętego. Zamknął mnie w domu i sprowadził najlepszych psychiatrów, by obalili hipotezę próby samobójczej. Nie mam pojęcia, jak im się to udało, bo prawie wcale z nimi nie gadałam. Nie pojmuję również, jak wpadli na to, kto mnie do tego namówił. Oczywiście próbowałam zaprzeczać, żeby ratować przyjaciółkę. Może właśnie to mnie zgubiło? Może właśnie w ich odczuciu byłam zbyt przekonująca? Przecież wcześniej w ogóle nie chciałam z nimi gadać...

– Sonia... – Próbuję to zakończyć, bo widzę, ile ją to kosztuje. Ale ona nie dopuszcza mnie do głosu.

– Zabili ją, podobnie jak moją matkę. Te dwie zbrodnie różniły się jednak od siebie. Przynajmniej w moim osobistym odczuciu. Egzekucji matki nie widziałam na własne oczy. Ojciec najpierw opowiedział mi o niej ze szczegółami, a potem zmusił, żebym obejrzała nagranie, więc... mam świadomość, jak umierała. Miałam raptem dwanaście lat, kiedy mi to pokazał...

– Sonia... – Staram się ją nakłonić, by umilkła. Widzę, że cierpi, a po jej bladych policzkach płyną wielkie krople łez. Ale ona chce mówić.

– Tylko tak mnie zrozumiesz – łka. – Pozwól więc, że dokończę. – Bierze głębszy wdech, a potem kontynuuje opowieść: – Alba była córką jednego z bliskich znajomych ojca. Tylko takich do nas dopuszczał. Ufał jej, a przynajmniej tak mi się jeszcze wówczas zdawało. Nie wiedziałam, na ile ojciec jest przekonany, że to Alba mi pomagała. Po tych wszystkich rozmowach odbytych z psychiatrami podejrzewałam, że wziął ją na tapet – mówi zrozpaczonym głosem, a potem bierze głęboki wdech. – Zaprosił ją do naszego domu. Powiedział, że czuję się już lepiej i że jest mi potrzebna. Nie zdołałam jej uprzedzić o swoich podejrzaniach. Zamknięto mnie w domu, w jednym z pokoi, który miał kraty w oknach, i w ten sposób zupełnie odcięto od świata. Zabrano mi telefon, komputery... Nie zdołałam jej ostrzec. Zwabiono ją, a ona, kolejny raz będąc gotowa mi pomóc, przybyła bez wahania. To, co oni wszyscy jej robili...

– Dość! – przerywam jej, a potem szybko znajduję się obok i biorę ją w ramiona. – Nie wracaj do tego. Oboje nie wracajmy. Nigdy więcej – mówię, biorąc jej twarz w dłonie i zmuszając, żeby popatrzyła mi w oczy. – Słyszysz?

Kiwa głową, ale nadal łka, a z jej oczu płyną łzy.

– To dlatego jestem potworem – mówi jeszcze tak cicho, że przez chwilę zastanawiam się, czy sobie tego nie wyobraziłem.

SONIA

Nie umiem tak po prostu udawać, że czegoś nie powiedziałam, choć bardzo się staram. Wiem, że dla własnego dobra powinnam zapomnieć o tamtych wydarzeniach. Ale nie potrafię. Wciąż jak żywo widzę obraz cierpienia Alby. Kilku ludzi ojca najpierw się z nią zabawiało, ostro – oczywiście bez jej zgody – a potem dosłownie rozerwano jej ciało na strzępy.

Ojciec miał naprawdę bujną, choć wyjątkowo chorą wyobraźnię. Skonaną, nagą i ledwie stojącą na nogach Albę wyprowadzono na zewnątrz budynku, gdzie na wewnętrznym dziedzińcu już czekały cztery luksusowe samochody. Kiedy przyprowadzono tam również mnie, pomyślałam, że to będzie jakiś pokaz, bo z całą pewnością nie wyścigi, na nie potrzeba trochę więcej miejsca. Dopiero po chwili doznałam olśnienia. Pomiedzy samochodami, z których każdy zwrócony był w inną stronę, ustawiono leżak, do którego zamontowane były pasy. Byłam otumaniona lekami przeciwdepresyjnymi, ale nie do tego stopnia, by nie pojąć, co się kroi. Błagałam ojca, żeby tego nie robił. Prosiłam, żeby wybaczył mi, nam obu. Przysięgałam, że nigdy więcej nie zwrócę się przeciwko niemu i zasadom, w jakich mnie wychował. Ale on tylko skinął głową, a potem kazał umieścić Albę na leżaku...

Wychodzę przed dom wraz z nadejściem świtu. Leo jeszcze śpi. Na ramiona zarzucam jedynie jego koszulę, a potem idę na podwórko. Widok z tego miejsca na okolicę zapiera dech w piersiach. W dole, daleko stąd, dostrzegam zarysy tych budynków. To złudzenie optyczne, bo wszystkie te domy w rzeczywistości są normalnych rozmiarów. Mijaliśmy je wczoraj, jadąc tu, na samą górę, motocyklem. Jeszcze niżej widzę wielką, niebieską taflę. Morze o wschodzie słońca wygląda bajecznie. Ale tu, wokół domu Leo, też jest pięknie. Dookoła rozciągają się skały, gdzieś tam poprzepłatane soczystą zielenią. W miejscach, gdzie nie ma kamiennych ścian, roślinność zdaje się bujniejsza. Rosną tam głównie kwiaty: rododendrony, róże i inne zachwycające kolorystką kwitnące krzewy, a także drzewa oliwne czy krzewy cytrusowe. To wszystko razem tworzy naprawdę piękny widok.

Odwracam głowę, bo słyszę czyjś głos. To Leo – jest zupełnie nagi, co może świadczyć o tym, że coś go zaniepokoiło albo że czegoś się przestraszył. W innym wypadku założyłby chociaż spodnie. Choć w zasadzie trudno mi uwierzyć, że on w ogóle może się czegoś lękać. Przecież facet taki jak on nie boi się niczego. Udowodnił mi to.

„Ale może pomyślał, że coś mi się stało? – zastanawiam się. – Albo widząc, że nie ma mnie w łóżku, stwierdził, że odeszłam?”

Mam mętlik w głowie.

Wczoraj, kiedy opowiedziałam mu o tym, co mnie spotkało i kim naprawdę jestem, byłam pewna, że każe mi opuścić swój dom. Nie wiem, czy dobrze zinterpretowałam jego reakcję, ale wydawało mi się, że moja opowieść go przestraszy, że on sam spojrzy na mnie innymi oczami; że zrozumie, jak bardzo dla mnie ryzykuje. Dałabym sobie rękę uciąć, że po tym, co usłyszy, Leo się wycofa. Ale on mnie nie odesłał ani nie potępił. Sprawiał wrażenie mocno przejętego tym, co padło z moich ust. I chyba mi współczuł.

– Zmarzniesz – upominam go teraz.

Widząc jego boskie nagie ciało, nagle zaczynam wrzeć.

– Nie możesz spać? – pyta, zagarniając mnie od tyłu i wtulając się we mnie.

Kręcę głową i chwytam jego ciepłe ręce, które mnie obejmują.

– Wracaj do domu, bo jeszcze cię ktoś zobaczy – mówię, nawet na moment nie odwracając się ku niemu twarzą.

– Nie ma szans. W promieniu najbliższych kilkunastu kilometrów nikt nie mieszka.

– Może i tak – przyznaję, bo rzeczywiście jego dom znajduje się na odludziu. – Ale jest zimno, więc...

– Więc mnie ogrzej – słyszę tuż koło ucha i od razu czuję jego ciepłe, wilgotne wargi na swoim karku.

Odwracam się, zakładam mu ręce na szyję, a potem wspinam się na palce i go całuję. W sekundę staje się gotowy. Czuję jego twarde członek na swoim brzuchu, podczas gdy Leo pogłębia pocałunek. Jest niecierpliwy, a nawet zaborczy. Chwyta mnie za pośladki, a potem sadza na sobie okrakiem. Centymetry dzielą nas od pełnej bliskości, którą tak uwielbiam. Ale on wchodzi we mnie dopiero po tym, jak wnosi mnie po kilku stopniach na werandę. Opiera mnie o ścianę, a potem nakierowuje na mnie swojego penisa i wbija się we mnie, głęboko, do końca, tak jak lubię. Jęczę mu prosto w usta, kiedy zaczyna mnie pieprzyć. Mija dosłownie chwila, a ja zaczynam się na nim zaciskać i czuję, jak dochodzę.

– Leo... – Jestem pewna, że dłużej nie wytrzymam, że zaraz eksploduję.

– Tak? – mruczy, wciąż mnie pieprząc.

– Kocham cię.

Nie potrafię się powstrzymać. Poza tym jestem tego coraz bardziej pewna. Nigdy nie czułam czegoś podobnego przy żadnym innym facecie. On jest pierwszy.

– Ja ciebie...

Zastygam w bezruchu. Czeka. Na to jedno słowo.

– Już, maleńka, już – słyszę nagle, a potem i on dochodzi we mnie.

Nie wiem, *co to było*, ale długo nie wracamy do tego tematu. Uznaję więc, że albo go *odrobinę* poniosło, albo zwyczajnie coś sobie uroiłam. Ale im dłużej się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że to nie był żaden mój wymysł. Wczesnym rankiem Leo, na werandzie swojego domu, był o krok od wyznania mi swoich uczuć. Czy była to miłość? Nie wiem, ale jestem pewna, że usłyszałam w jego głosie wahanie. Nie uroiłam sobie tego. Nie przesłyszałam się. I nie wiem, co mam z tym teraz zrobić. Próbo-
wałam nawet z nim o tym pogadać, ale zbył mnie, zmieniając nagle temat na taki, o którym nie miałam najmniejszego pojęcia. Nic nie wiedziałam o wędkowaniu.

– Naprawdę nigdy nie trzymałaś w rękach wędki? – Leo patrzy na mnie jak na kosmitkę.

Nie wiem, co w tym takiego dziwnego, ale rzeczywiście faktem jest, że nie miałam do czynienia z wędkowaniem. Mój ojciec to co innego. Niejednokrotnie popisывał się umiejętnościami *lowieckimi* przed swoimi gośćmi, których zapraszał na jacht. Mnie jednak nigdy nie zaproponował, żebym spróbowała. A ja nie nalegałam na naukę. Uznałam nawet, że to mało kobiece zajęcie. Poza tym brzydziłam się robali. Kiedy się wiły na haczyku...
Fuj, to wstrętne.

– Nie – odpowiadam szczerze.

– A chciałabyś spróbować? – Patrzy na mnie wyczekująco, z tym dziwnym, choć dobrze mi już znanym błyskiem w oku.

– Zamierzasz mnie uczyć, jak się łowi ryby?

– A czemu nie? Zobaczysz, jakie to fajne zajęcie.

– Serio? – pytam z lekkim niedowierzaniem, na co on zaledwie kiwa głową i szczerzy do mnie zęby w uśmiechu. – Nie wiem, co takiego fajnego jest w całym tym *łowieniu*, ale w porządku. Jeśli tak bardzo ci na tym zależy, to się poświęcę.

– Poświęcisz się? – Leo patrzy na mnie z wyraźnym niedowierzaniem, ale nadal się uśmiecha.

– Nie znoszę smrodu surowych ryb – wyjaśniam najprościej, jak się da. – Chce mi się od niego wymiotować. Robali też nie lubię. Kiedy zawiesza się je na haczyku, tak ohydnie się wiją. Są obrzydliwe – wzdrygam się – ale wiesz co? – Patrzy na mnie, wyraźnie zaciekawiony. – Trochę mi ich szkoda.

– Szkoda ci robaków? – Leo natychmiast poważnieje.

Wiem, wiem – po tym, czego dowiedział się na mój temat raptem wczoraj, może myśleć o mnie nie najlepiej. A już z pewnością nie wierzy, że użalam się nad losem robaków – na to przynajmniej wskazuje jego mina. Pewnie nie zrobił tego celowo, ale uraził mnie tak niesprawiedliwym osądem.

– Nieważne. – Macham ręką. – Chodźmy już na te ryby.

Leo jeszcze przez chwilę uważnie mi się przygląda, jakby chciał ze mnie wyczytać to, czego nie dopowiedziałam, ale po chwili podaje mi rękę i prowadzi w stronę drzwi.

ROZDZIAŁ 16

LEO

Sądziłem, że Sonia mnie wkręca z tymi robakami, ale po chwili omal nie doznałem szoku. Ona naprawdę nie żartowała – jestem tego absolutnie pewien. A teraz jeszcze udaje, że nie sprawiłem jej zawodu, kiedy dosłownie na moment zwątpiłem w jej szczerłość. Widzę jednak, że jest jej przykro, a ja nie wiem, jak się zachować. Uznaję więc, że lepiej zostawić sprawę tak, jak jest, aniżeli jeszcze bardziej się pograżać.

Łapię ją za rękę i prowadzę do drzwi. Wychodzimy na werandę, a potem od razu kierujemy się na tyły domu, gdzie znajduje się mały składzik na narzędzia, w którym trzymam również sprzęt wędkarski. Sonia przygląda mi się w milczeniu. Mam ochotę wziąć ją w ramiona, przytulić i przeprosić, ale obawiam się, że pociągnie to za sobą jedynie lawinę dodatkowych pytań, a może nawet pretensji i z całą pewnością niepotrzebną dyskusję, na którą wciąż nie jestem gotowy. Tak, oceniłem Sonię według starej miary – miary jej ojca. Teraz jednak już nie myślę o niej w ten sposób. Nadal mężczyźnie nieświadomość tego, czym się zajmowała i jakie wynikały z tego konsekwencje, ale wreszcie rozumiem, dlaczego to robiła. Miała ojca psychopatę, który by ją zastraszyć i uczynić podległą, na jej oczach mordował bliskie jej osoby.

Poprzysięgam sobie, że osobiście zajebię tego skurwysyna. Nawet za cenę własnego życia.

Do torby pakuję dwie wędki oraz siatkę do przechowywania świeżych ryb i zarzucam ją sobie na ramię. Robakami nie zamierzam zaprzętać sobie

teraz głowy. Jak będziemy na miejscu, wyjmę kilka spod kamieni. Może do tego czasu Sonia zdąży trochę ochłonać. Nie chcę jej dłużej drażnić ani testować jej cierpliwości, zbyt mocno mi na niej zależy.

Dziś rano, kiedy obudziłem się w pustym łóżku, dotarło do mnie, co tak naprawdę czuję do tej dziewczyny. Obawiam się, że wpadłem po uszy, choć wcale tego nie planowałem. A już z pewnością nie zamierzam jej tego mówić. Przynajmniej na razie. Chciałem tylko się zemścić, a tymczasem wszystkie znaki na niebie wskazują, że zakochałem się jak szczeniak. Na usprawiedliwienie mam jedynie fakt, że odkąd Sonia trafiła w moje ręce, sporo się pozmieniało. Przede wszystkim dowiedziałem się o niej prawdy, która zmieniła moje dotychczasowe nastawienie do tej dziewczyny. Oczywiście wkurwia mnie to bardzo. Czasem czuję się tak, jakbym zdradził w najbardziej ohydny sposób Karolinę. To przecież dla niej – z myślą o niej – przez wiele lat planowałem zemstę. Wtedy jeszcze wydawało się to takie proste. Nie przewidziałem jednak, że coś wydarzy się po drodze, że dostrzegę coś, co zmieni moje nastawienie. I że się zakocham.

– Idziemy tam na piechotę? – Głos Soni wrywa mnie z zamyślenia. Nie bardzo wiem, o co mnie właściwie spytała, ale ona szybko doprecyzowuje:
– Nad morze mamy stąd kawał drogi.

– Nie idziemy nad morze – wyjaśniam.

– Nie?

– Idziemy nad potok. Przy odrobinie szczęścia może uda nam się złowić pstrąga.

– Pstrąga?

– Wiesz, jak wygląda pstrąg?

Jej odpowiedź rozkłada mnie na łopatki.

– Na talerzu tak, żywy niekoniecznie.

Śmieję się w głos. Uwielbiam tę jej rozbrajającą szczerłość. Właśnie w takich momentach utwierdza mnie w przekonaniu, że jest ze mną szczerą i mówi mi całą prawdę. Zyskuje tym w moich oczach. Nie po raz pierwszy zresztą.

– Mam dla ciebie dobrą wiadomość – mówię, kiedy jesteśmy już na ostatniej prostej do potoku.

Spogląda na mnie z lekkim powątpiewaniem. Chyba naprawdę spieprzyłem jej humor.

– Pstrągi biorą na muchę, więc oszczędzimy kilka robali.

Uśmiecham się, a ona kręci głową, ale też się śmieje.

Uff.

– Jesteś niemożliwy.

– Ja?

– Tak, ty – odpowiada i daje mi kuksańca pod żebra.

Na miejscu humor już jej dopisuje, choć do łowienia ryb podchodzi z dużą rezerwą. Oczywiście podejmuje próby i stosuje się do moich rad, ale wychodzi jej to średnio. Obsługa kołowrotka wydaje się dla niej barierą nie do pokonania. Staję więc za jej plecami i po raz kolejny ją obejmuję. Kładę ręce na jej dłoniach i jeszcze raz pokazuję, jak zwolnić sprzęgiełko, jak w razie potrzeby zablokować żyłkę. Po raz kolejny wyraźnie się w tym gubi. Może za bardzo skupia się na nęceniu pstrągów muchą? Ja sam zresztą nie bardzo się popisałem, bo liczyłem, że zdołam złapać żywą muchę. Ostatecznie na haczyk założyłem sztuczną, kupioną kiedyś w sklepie wędkarskim.

Widzę, że Sonia uśmiecha się pod nosem. Nie wiem jednak, czy cieszy się, że ocaliła życie kolejnemu ohydnyemu insektowi, czy po prostu się ze mnie nabija. Walczymy z kołowrotkiem.

– O, teraz jest dobrze – chwalebę ją, a potem puszczam jej dłonie. – Jeszcze tylko powoli ciągnij przynętę z nurtem wody i...

I nagle ponad powierzchnię wyskakuje całkiem okazały pstrąg. Sonia piszczy, a wędka wylatuje jej z rąk i wpada do wody. Na szczęście w tym miejscu jest płytko. Zdejmuję buty i wchodzę czym prędzej, żeby nie porwał jej nurt potoku, przez co moczę spodnie ponad kolana.

– Przepraszam – mówi Sonia, kiedy wychodzę na brzeg ze zgubą w rękach.

Tylko udaje skruszoną, bo ledwie powstrzymuje się od śmiechu.

– Jesteś niemożliwa – kwituję, siadając na brzegu.

– Wiem – odpowiada, a potem zajmuje miejsce obok mnie i opiera głowę na moim ramieniu. – Ale chyba właśnie za to mnie kochasz.

Wybieram bezpieczniejszą opcję. Nie odpowiadam, tylko ją całuję.

SONIA

– Narobiłeś mi ochoty na tę rybę – mówię, kiedy wracamy.

Niby wszystko jest w porządku, trzymamy się za ręce, ale po moim ostatnim wyznaniu pomiędzy nami zapanowała cisza, zmieniam więc temat na bardziej neutralny. Mam nadzieję, że to przywróci równowagę i znów będzie jak wcześniej.

– Przecież mówiłaś, że nie znosisz zapachu surowej ryby.

– Bo nie znoszę. Ale skoro nie umiem gotować, to nie ma z tym większego problemu.

Wiem, że zabrzmiało to trochę egoistycznie, ale nie lubię ściemniać. Poza tym Leo chyba już przywykł do mojej bezwzględnej szczerości, co potwierdzają teraz drgające kąciki jego ust.

– Zjadłabym kawałek. Smażonej, rzecz jasna. – Mrugam do niego.

– Może następnym razem uda nam się coś złowić.

– A nie możemy pojechać do miasta? – Patrzę na niego w taki sposób, że jestem pewna, że za chwilę zmięknie. – Tam przy plaży jest całe mnóstwo barów i smażalni. Damy zarobić lokalnym restauratorom, odpoczniemy jak cywilizowani ludzie. No i nie musiałbyś stać przy garach. Nie chcę cię wykorzystywać.

– A nie pomyślałaś, że może ja po prostu lubię gotować? – pyta nagle i dodaje: – Tak bardzo ci zależy na tym wyjściu?

– Nie – zaprzeczam, chyba odrobinę zbyt pośpiesznie, przez co nie brzmi to wiarygodnie. – Po prostu nabrałam ochoty na smażoną rybę.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł – słyszę w odpowiedzi.

– Boisz się, że ktoś nas rozpozna i doniesie na nas mojemu ojcu? – do-
ciekam, próbując zrozumieć jego przesadną ostrożność. – Przecież jest wie-
czór, a my nie będziemy rzucać się w oczy – przekonuję go.

– Nie boję się – odpowiada pewnym tonem. – I skoro tak bardzo zależy
ci na wychodnym, to będzie, jak zechcesz.

– Naprawdę?

Nie wiem, co mnie tak cieszy, ale ostatnio chyba naprawdę zbyt dużo
czasu spędziłam w *więzieniu*. Złota klatka czy składzik, nie widzę różnicy.
Więzienie to więzienie. Ale fakt, najpierw był jacht, na którym byliśmy
tylko we dwoje, potem mieszkanie, z którego w zasadzie nie mogłam wy-
chodzić. Następnie rejs statkiem, gdzie większość czasu spędziliśmy w ka-
jucie. A teraz dom na odludziu. Nie przywykłam do takiej izolacji. Potrze-
bowałam swobody, normalności. Dlatego wyjście do baru na zwyczajną ko-
lację szczerze mnie ucieszyło. I miałam zamiar dobrze się bawić.

Wyszykowanie się nie zajmuje mi wiele czasu. Tak jak obiecałam Leo,
ubieram się zwyczajnie, jak turystka: krótka biała spódniczka, nierzucający
się w oczy szary top na ramiączkach oraz klapki. Włosy upinam na czubku
głowy w luźny kok, a na nos wsuwam okulary. Wszystkie te oraz inne rze-
czy Leo kupił mi na bazarze zaraz po tym, jak opuściliśmy pokład. Teraz
jestem mu za nie szczególnie wdzięczna.

On także wygląda normalnie, niemal jak tutejszy, choć jego akurat
w każdym wydaniu mam ochotę jeść łyżkami. Wypłowiałe i sprane džinsy,
czarna koszulka i białe trampki, a do tego lustrzanki na nosie.

Słusznie, lepiej dmuchać na zimne.

– Dasz mi się przejechać? – pytam, kiedy odpala silnik.

– Przecież nie lubisz jeździć na motocyklu. – Słusznie zauważa.

– Surowych ani żywych ryb też nie lubię, a dla ciebie chciałam zrobić wyjątek i się poświęcić.

Uśmiecha się.

– Nie tym razem. Droga jest kręta, łatwo z niej wypaść. Ale obiecuję, że jeszcze wrócimy do tematu.

– Na pewno?

– Tak. A teraz wskakuj i mocno się trzymaj.

Kiedy dojeżdżamy do miasta, jestem spocona jak mysz. Leo miał rację. Trasa, którą pokonaliśmy, była naprawdę ekstremalna. Nie jestem pewna, czy jechaliśmy tą samą drogą, którą dotarliśmy do jego domu w górach, ale z całą pewnością czułam strużki potu nie tylko pod pachami, lecz także na karku. Mam nadzieję, że nie wszystkie trasy tutaj są tak ekstremalnie niebezpieczne. Poza tym Leo obiecał, że nauczy mnie jeździć. Nie wiem, dlaczego tak mi na tym zależy. Może po prostu chcę mu się przypodobać?

– W porządku? – pyta, kiedy zdejmujemy kaski i chowamy je do kufra.

– Chyba tak – mówię niepewnym głosem. – I dziękuję, że okazałeś się na tyle przewidujący, że nie pozwoliłeś mi kierować.

W odpowiedzi uśmiecha się, a następnie przeczesuje palcami włosy.

– Smażona, wędzona czy może sushi?

– Sushi nie. – Krzywię się na pokaz. – Żadnej surowizny.

– Okej. Wobec tego chodźmy tam. – Wskazuje na rząd maleńkich budek znajdujących się blisko plaży. – Zabiorę cię do najlepszej knajpy w mieście.

– Mam nadzieję, że podają tam też najlepsze ryby – zaczepiam go.

– Zaraz sama się przekonasz – odpowiada i ciągnie mnie za rękę.

Po chwili stajemy przy jednej z budek, która na moje oko ma mało wspólnego z „najlepszą knajpą w mieście”. Jednak aromaty wydostające się z tego ciasnego pomieszczenia mocno mnie zaskakują. Nie każdy mi-

jany przez nas bar pachniał świeżymi ziołami, cytrusami czy dopiero co usmażoną rybą.

– Leonardo! – Dochodzi do nas zza lady.

Zerkam na mojego towarzysza. Nie wiedziałam, że tak brzmi jego pełne imię. Dla mnie był i chyba już zawsze będzie po prostu Leo. Jak widać, nadal niewiele o nim wiem.

Obserwuję, jak właściciel budki wychodzi do nas i wita się z Leo. Zaczynają rozmawiać po włosku. Znam biegle wiele języków, ale tego akurat nie. Więc zanim wypytam Leo, kim jest ów człowiek, z którym wyraźnie łączą go bliskie relacje, obserwuję mowę ich ciał. Przyjaźnią się – to widać już na pierwszy rzut oka. Uśmiechają się do siebie serdecznie, a ja czuję się trochę jak intruz i chyba też lekką zazdrość. Nigdy nie miałam takiego przyjaciela. Poza Albą, z którą łączyła mnie bliższa relacja, nie spotkałam nikogo, kto okazywałby mi tyle serdeczności.

Kiedy słyszę swoje imię, schodzę na ziemię. Zauważam, że przepasany fartuchem kuchennym nieznajomy przygląda mi się z uznaniem.

– *Bellissimo* – przemawia, przyglądając mi się z dziwnym błyskiem w oku.

– Sonia. – Podaję mu rękę.

Ujmuje ją, choć wybucha śmiechem. Nie wiem, co takiego zabawnego powiedziałam albo co zrobiłam, ale musi to być naprawdę *coś*, skoro śmieją się obaj.

– Mario nazwał cię piękną – wyjaśnia Leo, widząc, że mrużę gniewnie oczy.

Nie jestem zła, ale nie lubię, kiedy ktoś się ze mnie śmieje, zwłaszcza gdy mało rozumiem.

– Ach tak – mrużę i wydaje mi się, że czerwienią mi się policzki. Czuję się niezręcznie.

Niejaki Mario wciąż trzyma w swojej wielkiej dłoni moją rękę i mówi coś po włosku. Nie rozumiem ani słowa, więc patrzę na Leo. Mam nadzieję, że mi wszystko przetłumaczy.

– Mario mówi, że mam piękną dziewczynę.

– Nazwał mnie twoją dziewczyną? – pytam jak ostatnia kretyńka, na co Leo kiwa głową, a ja znów czuję purpurę na twarzy.

– Sam mu cię tak przedstawiłem.

Zaskakuje mnie. Dlaczego nie mówi prawdy? W końcu jestem jego żoną. Co z tego, że na próbę? A może się mnie wstydzi? A co jeśli... Ten ślub był nieprawdziwy, tylko na pokaz?

Ogarnia mnie smutek, a przed moimi oczami pojawia się portret pięknej kobiety, która przede mną grzała jego łożo. Wiem, że to niepoważne, bo nie można być zazdrosnym o przeszłość, ale chyba naprawdę jestem zazdrośna. O wszystko: o niego, a zwłaszcza o jego historię, której nie byłam częścią.

Wczoraj przez przypadek natknęłam się na ich wspólną fotografię. Na jej odwrocie widniał napis: „Moja piękna żona. I ja”. Karolina rzeczywiście była piękna. Długie, falowane blond włosy, wielkie zielone oczy otoczone wachlarzem długich rzęs, wydatne wargi i figura godna pozazdroszczenia. Do tego apetycznie zaokrąglone biodra, talia osy i naprawdę ładne, fajnych rozmiarów piersi. Te ostatnie mogły być zasługą chirurga plastycznego, ale nie obchodziło mnie to jakoś przesadnie, bo pierwsza żona Leo naprawdę prezentowała się ekstra. Ja przy niej wyglądałam jak kij od mopa.

– Możemy już coś zjeść? – mówię proszącym tonem.

ROZDZIAŁ 17

LEO

Nie wiem, co ją ugryzło, ale kiedy ją przedstawiłem Mario, wyraźnie zmarkotniała.

– O co chodzi? – pytam wprost, kiedy siedzimy przy stoliku.

Widzę, że dłubie widelcem w sałatce. Ryby nie tknęła, choć wcześniej ponoć miała na nią olbrzymią ochotę. Obawiam się, że jeśli nawet jej nie spróbuje, Mario się na nas obrazi. Ten sympatyczny facet kocha gotować i sprawiać ludziom przyjemność, a już zwłaszcza patrzeć na malujący się na twarzach jego gości zachwyty, gdy jedzą przygotowany przez niego posiłek. A Soni wyraźnie brakowało entuzjazmu.

– O nic – odpowiada jedynie.

– Przecież widzę – mówię, przyglądając się jej wnikliwiej. – Nie smakuje ci?

– Co?

Spoglądam wymownie na jej nietkniętą kolację.

– Oczywiście, że mi smakuje – odpowiada i ostentacyjnie wkłada do ust trochę sałatki.

– Czyżby? – Unoszę brew.

– Nie czepiaj się – burczy.

Coś wyraźnie jest na rzeczy, nie wiem tylko co. Ale zamierzam się tego dowiedzieć. Odkrawam więc kawałek ryby i podsuwam jej pod usta.

– Otwórz buzię. – Mam nadzieję, że posłucha, bo czuję na sobie spojrzenie Maria.

Spełnia moją prośbę, a ja wsuwam jej do ust kawałek usmażonej na rumiano żabnicy i czekam na reakcję. Patrzę, jak przeżuwa, a potem się uśmiecha, choć nie tak pięknie, jak zwykle. Ale wiem, że jej smakuje. Jestem tego pewien. A zatem gdzie leży problem?

– Uraziłem cię czymś? – pytam wprost. – Sonia? – naciskam, kiedy milczy jak zakłeta. – Jeśli rzeczywiście coś spieprzyłem, to muszę wiedzieć, o co chodzi, żeby móc to naprawić.

– Dobrze się znacie?

– Z kim?

Nie odpowiada, ale ukradkiem zerka na Mario, który właśnie obsługuje innych gości.

– Tak.

– Ufasz mu?

Nie jestem pewien, do czego potrzebna jest jej ta wiedza, ale zamierzam być szczery, więc kiwam głową.

– To dlaczego nie powiedziałeś mi, że jestem twoją żoną?

A więc o to chodzi!

Już otwieram usta, żeby to wyjaśnić, ale jest o krok przede mną:

– Wstydzisz się mnie? – pyta oskarżycielskim tonem.

– Co?! Odbiło ci?

– Widziałam zdjęcie twojej żony.

– Grzebałaś w moich rzeczach?

– Nie grzebałam, natknęłam się na nie przypadkiem. Zostawiłeś je w książce, którą pozwoliłeś mi przeczytać. Już nie pamiętasz?

Patrzę na nią, ale nie wiem, co odpowiedzieć. Oczywiście powinienem przyznać jej rację, bo fakt, zapomniałem o tym zdjęciu, które dawno temu wetknąłem w książkę. Nie mogłem wówczas znieść widoku uśmiechającej

się do mnie z portretu Karoliny, więc wyjąłem fotografię z ramki i schowałem pośród stron, z dala od oczu, które tęskniły za jej widokiem.

– Poza tym jestem twoją żoną, więc sądziłam, że nie mam obowiązku pytania cię o...

Wstaję. Sonia wydaje się zaskoczona, może nawet odrobinę przestraszona, bo urywa w pół zdania. Zadziera głowę i patrzy mi w oczy. Wyciągam do niej rękę. Przygląda mi się z pewną obawą, ale w końcu podaje mi swoją.

– Mario?! – wołam za przyjacielem, który zniknął na zapleczu. Wyłania się po sekundzie.

– *Si?*

– Przedstawiam ci moją żonę – mówię po włosku, a potem przekładam to na angielski.

Sonia ma taką minę, jakby połknęła żabę. Cóż, sama tego chciała.

Mario rozciąga usta w szerokim uśmiechu i niemal rzuca się najpierw na nią, a potem znów ściska mnie i szczerze nam obojgu gratuluje. Sonia zerka w moją stronę, jakby szukała ratunku, na co ja tylko wzruszam ramionami. Właśnie przed tym chciałem ją uchronić. Kiedy mój przyjaciel wypuszcza nas z objęć, przynosi nam butelkę dobrego włoskiego wina.

– Na koszt firmy! – mówi rozentuzjasmowany, nalewa je do kieliszków i nas częstuje, a potem to samo robi przy innych stolikach. Mario to facet z sercem na dłoni. Kocha ludzi i uwielbia sprawiać im przyjemność.

Spoglądam na Sonię. Ma lekko zaróżowione policzki, choć jeszcze nie skosztowała nawet kropli alkoholu. Jest naprawdę zaskoczona i chyba po raz pierwszy nie wie, jak się zachować. Nic dziwnego; Mario wraz z innymi gośćmi już śpiewają na naszą cześć *Cento Anni*^[2]. Wkrótce do grona wiwatujących nam osób dołącza jeszcze kilkoro ludzi z sąsiadujących knajp. Zapowiada się naprawdę ciekawy wieczór...

– Ty płaczesz? – Wciąż poruszamy się w tańcu, ale odsuwam się od niej nieznacznie i patrzę prosto w jej zamglone oczy.

– Nie – zaprzecza zbyt prędko. – Coś mi wpadło do oka.

Ściemnia. Wiem to. Czasem nie trzeba z kimś być przez całe życie, by znać go lepiej niż tych, których zna się od lat.

– Wzruszyłaś się – mówię, przytulając ją do piersi. – To przez tę piosenkę? – pytam.

Na mnie cikliwe kawałki nie wywierają wrażenia. Ale muszę przyznać, że ten utwór jest wyjątkowo nastrojowy. *I'll Never Love Again* w wykonaniu Lady Gagi naprawdę ma w sobie to *coś*.

Sonia nie odpowiada, ale jej oczy stają się jeszcze bardziej szkliste.

A może to przez wino? Chyba wypila kieliszek za dużo. Cóż, Mario potrafi być wyjątkowo przekonujący.

Ja zakończyłem na pierwszym kieliszku, bo musiałem nas jeszcze dowieźć w jednym kawałku do domu. Za to Soni na dziś chyba naprawdę wystarczy. Nie jestem pewien, czy moja słodka żonka ma aż tak słabą głowę, czy to stres tak na nią podziałał. Właśnie tego chciałem jej oszczędzić; znam Maria od dawna i wiem, że ze zwykłej, kameralnej, nierzucającej się w oczy kolacji potrafi rozkręcić prawdziwą włoską fetę na miarę przyjęcia weselnego.

Sonia potyka się, schodząc z motocykla, i omal nie upada, kiedy zdejmuje kask. Ale nie przejmuje się tym zbyt, tylko chichocze jak mała dziewczynka. Jeszcze nie widziałem jej takiej wyluzowanej.

– Nie wiem, co było w tym winie – bełkocze, przez co ledwie ją rozumiem. – Ale podoba mi się to, co czyni z człowiekiem – dodaje, a potem łąduje w moich ramionach. Jest tak pijana, że ledwie stoi na nogach.

Biorę ją na ręce, bo w jej stanie raczej nie ma sensu fatygować jej gibkich nóg.

– Zamierzasz znów przenieść mnie przez próg? – pyta i uśmiecha się bardzo zadowolona.

Uśmiecham się tylko i wchodzę z nią do domu. Nie wiem jednak, co jest na rzeczy, bo kiedy próbuję zapalić światło, nic się nie dzieje. Na werandzie lampa działa bez zarzutu, więc tutaj albo się przepaliła żarówka, albo...

Stawiam Sonię na podłodze, licząc, że utrzyma się na nogach, i zasłaniam ją swoim ciałem. Mam złe przeczucia.

I słusznie, bo atak nadchodzi niespodziewanie. Jest ciemno, ale w mroku wyraźnie zauważam czyjąś sylwetkę i charakterystyczny błysk. A to oznacza jedno: napastnika, który ma w ręce nóż. Choć działam po omacku, jakimś cudem udaje mi się rzucić na niego, unikając ostrza. W tej chwili nie ma już czasu na wyjmowanie zza paska broni. Muszę być o sekundę szybszy od niego. Słyszę, jak Sonia piszczy za moimi plecami. Mam nadzieję, że nic jej nie jest i że oprócz tego jednego bandziora, którego teraz próbuję obezwładnić, nie ma tu nikogo więcej.

– Sonia?! – wołam i nawet próbuję spojrzeć w jej kierunku, żeby się o tym upewnić, a wtedy czuję, jak ostrze noża przecina moją skórę. To tylko ramię, więc jestem pewien, że się wyliżę. Teraz jednak muszę spacyfikować napastnika. Wykorzystuję chwilę i ryzykując kolejny cios, uderzam go w podbródek, a potem kopię mocno w brzuch. Cudem unikam kolejnej rany, a koleś ląduje na podłodze. Podnoszę nóż, który wypada mu z rąk, i rzucam się na niego. Pcham kilkakrotnie, żeby mieć pewność, że go zabiłem. Kiedy nie słyszę już żadnego ruchu, a jedynie szloch za plecami, oddycham z ulgą. Oznacza to bowiem, że moja żona jest cała.

– Sonia?

– Nic mi nie jest – odzywa się wreszcie, łkając.

Podchodzę do niej i obejmuję ją ramieniem. Upewniam się, że jest cała, wyjmuję z kieszeni telefon i badam teren przy świetle latarki.

– Nie odchodź – prosi Sonia, kiedy na moment się od niej odsuwam.

– Nigdzie się nie wybieram – zapewniam ją.

Na szczęście oprócz nas i trupa na dywanie nie ma tu nikogo. Aby zyskać pewność, że pozbyłem się problemu, sprawdzam denatowi puls. Facet jest martwy, choć nadal ciepły.

Biorę Sonię za rękę i idąc przed nią, niczym żywa tarcza, sprawdzam resztę pomieszczeń. Kiedy okazuje się, że nie ma tu już nikogo, mogę odechnąć z ulgą.

Wracamy do salonu. Sonia drży i powinienem ją teraz uspokoić, ale póki co musi jeszcze chwilę poczekać. Puszczam jej dłoń tylko po to, by sięgnąć do wiszącego nad naszymi głowami żyrandola. Tak jak przypuszczałem, ten gamoń, którego zabiłem, tylko poluźnił żarówkę. Dokręcam ją i w salonie na powrót robi się jasno. Patrzę na Sonię. Ma twarz mokrą od łez, jest też śmiertelnie blada. Nic dziwnego, upiła się, a do tego jest przerażona.

– Chodź tutaj – mówię i przyciągam ją do siebie.

– On cię zranił – szepcze i zaczyna płakać jeszcze bardziej.

– To nic wielkiego – zapewniam ją, choć widzę, że rana jest dość duża i powinna być zszyta.

– Boże, Leo... – Sonia przytula się do mnie mocno. Nadal drży. – On mógł cię zabić.

– Ale mu się nie udało – mówię, a potem sadzam ją na kanapie. Muszę zająć się trupem. – Trzeba tu teraz posprzątać.

– Najpierw opatrzę ci ramię – odpowiada nieco pewniejszym tonem. Zaczyna brzmieć jak ona.

– To może chwilę poczekać.

Dostrzegam, że nie jest jej w smak moja odpowiedź, ale na szczęście się nie upiera.

– Chcesz, żebym ci pomogła? – chlipie, widząc, że podchodzę do denata i próbuję go odwrócić.

– Nie.

Chwytam ciało za bark i odwracam, sycząc z bólu. Rana na ramieniu mocno piecze.

– Leo, powinnam cię opatrzyć, a potem powinniśmy jechać do szpitala...

– To raczej nie będzie możliwe – odpowiadam, przyglądając się martwemu mężczyźnie.

– Dlaczego?

Nie odpowiadam, wpatrując się w wykrzywioną w grymasie twarz koleśka leżącego u moich stóp.

– Znasz go? – Sonia przygląda mi się zafrasowana.

– Niestety tak. To jeden z ludzi twojego ojca.

– Co?! – Zasłania usta dłonią. – Czy to znaczy, że...

– Że mamy kłopoty – kończę za nią.

SONIA

Jeszcze chwilę temu byłam tak pijana, że ledwie stałam na nogach, ale wystarczy mi chwila, by wszystkie objawy alkoholowej niemocy zupełnie mnie opuściły. Nic dziwnego. Na podłodze leży trup. Jednak nie jego widok mnie przeraża, widziałam gorsze. Trapi mnie świadomość, że ten facet działał na zlecenie mojego ojca.

– Ile mamy czasu? – pytam, zszywając ramię Leo.

Opierał się, może nawet obawiał, że sobie z tym nie poradzę, bo w istocie piłam, a po alkoholu nie powinno się robić *pewnych rzeczy*, ale ostatecznie pozwolił mi się zająć swoją ręką.

– Na co?

– Na ucieczkę.

– Nie wiem. Kilka, może kilkanaście godzin. To zależy, czy Aleksiej zdążył już poinformować twojego starego i czy działał sam.

– Myślisz, że zaraz może przyjść tutaj ktoś jeszcze? – Zerkam z przerażeniem na drzwi.

– Raczej nie. Gdyby Aleksiej przyszedł tu z kimś, już dawno byśmy o tym wiedzieli.

– Ale jak on w ogóle nas namierzył? Jak wpadł na nasz trop?

– Też chciałbym to wiedzieć – odpowiada i lekko syczy, kiedy znów wbijam igłę i ciągnę ku górze za dratwę. Nic innego nie mieliśmy pod ręką, a przecież nie mogłam dopuścić do tego, żeby zostawić otwartą ranę. Potrzebny był solidny opatrunek.

– Ale masz na to chociaż jakąś teorię? – dopytuję.

Liczę, że tak, bo dobija mnie ta niepewność. Boję się, że na moich oczach ojciec zabije Leo. Przecież ten cały Aleksiej też zaatakował go nożem. Nie przyszedł tu, żeby z nami pogadać czy pertraktować. Przyszedł, żeby nas pogrążyć.

– Wydaje mi się, że Aleksiej wpadł na nas przez przypadek – odzywa się Leo.

– Przez przypadek? Ale jak?

– Może gdyby Mario nie zorganizował spontanicznie tej imprezy, nadal nikt niczego by nie podejrzewał.

– To wszystko moja wina. – Wreszcie to do mnie dociera.

– Nie, nie twoja, głuptasie. – Leo obejmuje mnie w tali i sadza sobie na kolanach.

– Jeszcze nie skończyłam – mówię, a wtedy on mnie całuje. – Leo...

– No dobra. Kończ zatem, bo za chwilę musimy ruszać w drogę.

– Chcesz prowadzić w tym stanie?

– Jeśli będę musiał. – Wzrusza ramionami.

– Wykluczone!

– Wobec tego ty poprowadzisz.

– Nie dam rady – bronię się. – Poza tym piłam.

Leo się uśmiecha. Nie wiem, co takiego zabawnego powiedziałam, ale ani trochę nie jest mi do śmiechu.

– Trzeźwiejesz równie szybko, jak się upijasz, więc powinnaś dać radę.

– Powinnam? To chyba za mało. – Próbuję odwieść go od tego głupiego pomysłu. Poza tym ścigacz to nie moja bajka, a droga jest wyjątkowo nie-

bezpieczna.

– Dasz sobie radę – zapewnia mnie.

Nie znoszę takich akcji. Nie, ja ich nienawidzę. Pakowanie się na wariata, ucieczka po nocy, w dodatku jazda *pełna wrażeń*. Na samą myśl pocą mi się dłonie.

Przed wyjściem nakładam jeszcze porządny opatrunek na ranę, a potem Leo opróżnia kieszenie denata. Wyjmuje z nich kilka drobiazgów, między innymi kartę do pokoju hotelowego; pod koszulą znajduje pistolet. Spluwę wsadza za pasek, kartę chowa do kieszeni własnych spodni, resztę rzuca na podłogę i pokazuje mi gestem, że wychodzimy. Słucham go, choć czuję się nieswojo, kiedy na moment zawraca do domu, a mnie każe czekać przy motocyklu.

Jest mi strasznie wstyd, że się tak wygłupiłam. Całkiem prawdopodobne, że przez głupią zazdrość narobiłam nam kłopotów. Gdyby nie mój babski foch, którym strzeliłam podczas kolacji, być może nikt nie zwróciłby na nas uwagi. I być może niejaki Aleksiej wcale nie wpadłby na nasz trop. Skoro Leo uważa, że nie musiał być w pracy, kiedy się na nas natknął...

– Boję się – wyznaję, kiedy Leo odpala motocykl, a potem każe mi zająć miejsce z przodu.

– I słusznie.

Nie ułatwia. Przez chwilę patrzy z nostalgią na rozprzestrzeniający się w jego domu ogień. Zdecydował się go podpalić, żeby zatrzeć ślady. Domyślam się, ile go to kosztuje...

– Ale dasz radę, mała – mówi, co dodatkowo mnie rozczoła.

On naprawdę we mnie wierzy. On, jedyny...

Zaskakuje mnie, kiedy każe mi jechać do hotelu, którego nazwa widnieje na karcie należącej do mężczyzny, który nas zaatakował. Ja bym o tym nie

pomyślała, on tak. Czyli postanowił sprawdzić pokój, w którym zameldowany był człowiek mojego ojca. Rozsądne, nie przeczę. Chyba.

– Dałaś radę. Brawo – chwali mnie, kiedy wreszcie parkujemy na tyłach hotelu.

– Nadal nie mogę w to uwierzyć.

Leo uśmiecha się w odpowiedzi.

– To lepiej uwierz. Możesz wszystko.

Mój kochany Leo...

Wchodzimy do budynku tylnymi drzwiami. Nie wiem, skąd Leo zna kod, czy wie wszystko o wyjściach ewakuacyjnych i innych, dla mnie równie niepojętych *sekretnych* przejściach, ale cieszę się, bo dzięki temu nie rzucamy się aż tak bardzo w oczy. W holu drzemie recepcjonistka, więc niezauważeni przemykamy w stronę wind. Leo trzyma mnie za rękę. Puszczają ją dopiero w chwili, kiedy zasuwiają się za nami drzwi. Robi to jedynie po to, żeby wyjąć i przeładować broń; na lufę nakłada tłumik.

Przełykam głośno ślinę. Nie żebym bała się widoku gnata – przywykłam. Po prostu przeraża mnie to, co za chwilę może się wydarzyć.

Leo podaje mi broń, a sam przygotowuje jeszcze swój pistolet.

– Schowaj się za mnie – nakazuje, kiedy opuszczamy windę. Przeklina cicho, wpadając na wózek z brudną pościelą, którą musiała tu zostawić jedna z pokojówek. Przesuwa go, a potem idzie naprzód. Ja jestem tuż za nim.

– Schowam się, ale pod jednym warunkiem – mówię.

Leo spogląda przez ramię, lekko zniecierpliwiony. Wiem, jak to zabrzmiało. I chyba się domyślam, co przez to zrozumiał. Ale nie to miałam na myśli.

– Obiecuj, że nie dasz się zabić – wyjaśniam.

Zatrzymuje się na moment i całuje mnie w przelocie, po czym odpowiada:

– Obiecuję.

A potem wszystko dzieje się jak w gangsterskim filmie.

ROZDZIAŁ 18

LEO

Otwieram drzwi kartą. Mechanizm wydaje krótki dźwięk, a zamek natychmiast puszcza. Czuję na ramieniu dłoń Soni. Boi się. Zdradza ją ten niepewny dotyk. Poza tym chwilę wcześniej, w windzie, widziałem jej strach – w każdym geście, w każdym spojrzeniu. Teraz jednak wyraźnie czuję, jak drży jej ręka. Chciałbym ją pocieszyć i zapewnić, że nic jej nie grozi, ale to nie jest odpowiedni moment. Za chwilę może zrobić się gorąco.

– Kochanie? – dociera do nas z głębi apartamentu.

Głos należy do kobiety. Mówi po rosyjsku.

– Wróciłeś wreszcie!

„A więc moja hipoteza może okazać się prawdziwa” – myślę, na wszelki wypadek unosząc broń. Ostrożności nigdy dość.

Na mój widok leżąca na łóżku naga kobieta piszczy, zrywa się na równe nogi i okrywa kołdrą.

– Kim jesteś?! – wrzeszczy, próbując uciekać. – I co robisz w moim pokoju?

Łapię ją i obezwładniam, dociskając ją do ściany. Materiał, którym się zasłaniała, zsuwa się na podłogę. Trzymam ją teraz za gardło. Muszę ją uciszyć, by przez jej krzyki nie zleciała się tu połowa obsługi hotelu.

– Co tutaj robicie? – pytam, nieco rozluźniając uścisk, bo kobieta zaczyna charczeć. – Co ty i Aleksiej robicie w Amalfi? – powtarzam ostrym, nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Jesteśmy na wakacjach – mówi. A więc jednak jej facet natknął się na nas przypadkiem. – Gdzie jest mój chłopak? – pyta, po czym zerka na Sonię, która obserwuje tę scenę ze zgrozą w oczach. – Znam cię! – rzuca nagle, a potem dostrzega moją obandażowaną rękę. – Co zrobiłeś z Aleksiejem?!

Tracę czujność, kiedy laska zaczyna się szarpać i kopie mnie kolaniem w krocze. Kulę się z bólu, a wtedy kobieta nieruchomieje. Unoszę wzrok i widzę, że Sonia z bliskiej odległości mierzy z pistoletu do wściekłej Rosjanki.

– Na kolana i ręce na głowę – rozkazuje.

Nie poznaję jej. Wiem, co robiła w przeszłości, ale nie sądziłem, że jest zdolna do czegoś takiego.

– Chyba śnisz – syczy Rosjanka.

Sonia uderza ją kolbą w okolicę barku, a ta upada na kolana.

– Ręce – warczy moja żona, a kiedy tamta nie wykonuje od razu jej polecenia, wymierza jej z otwartej dłoni policzek. – Powiedziałam, kurwa, ręce.

Tym razem klęcząca przed nią dziewczyna słucha i podnosi ręce nad głowę, patrząc na Sonię w taki sposób, jakby co najmniej chciała jej wydrapać oczy.

– Nic ci nie jest? – Sonia zerka na mnie przez ramię, mierząc do nagiej kobiety.

– Nie – odpowiadam, choć nadal czuję promieniujący ból w podbrzuszu.

– Jesteście tu sami czy przyjechał z wami ktoś jeszcze? – mówi Sonia, kierując pytanie do klęczącej przed nią laski.

– Gówno cię to obchodzi! – odpowiada tamta wściekle i spluwa jej pod nogi.

Sonia po raz kolejny nie wytrzymuje i wymierza jej policzek, na co tamta patrzy jej beczelnie w oczy. Sądzę, że gdyby nie jej beznadziejna sytuacja, byłaby w stanie rzucić się na Sonię, może nawet zabić ją. W jej oczach czai się bezgraniczna nienawiść.

– Słuchaj no. – Sonia nie odpuszcza. Przykłada kobiecie lufę do skroni, chwytając ją za włosy i zmusza, by ta na nią spojrzała. – Twój chłoptaş jest już martwy, ale ty nie musisz podzielić jego losu.

I wtedy rozwścieczona kobieta rzuca się na nią. Ma dużo szczęścia, bo jakimś cudem udaje się jej wytrącić mojej żonie pistolet z ręki, ale i pecha, bo unicestwiam ją jednym precyzyjnym strzałem.

Sonia zasłania usta ręką, próbując powstrzymać pisk przerażenia.

– Już... – mówię i przyciągam ją do siebie.

– Zabiłeś ją – szepcze zszokowana.

– Musiałem – odpowiadam jedynie.

Zacieramy ślady, sprzątając błyskawicznie pokój. Jakimś cudem udaje się nam zabrać zwłoki z hotelu. Wózek na brudną pościel, ten sam, na który wpadłem w korytarzu, okazuje się do tego bardzo przydatny.

Hotel opuszczamy tylnym wyjściem, tym samym, którym się tu zakradliśmy. Kod w drzwiach okazuje się banalnie prosty, fabryczny. Nie mogę uwierzyć, że go nie zmieniono, ale nie roztrząsam tego, bo mamy na głowie – raczej na wózku z pościelą – inny problem. Rozglądam się za *nowym* środkiem transportu. Trupa, którego musimy się pozbyć, nie da się niezauważenie przewieźć motocyklem. Już w zasadzie mam coś na oku, kiedy nagle podjeżdża do nas taksówka.

– Może was gdzieś podrzucić? – oferuje młody mężczyzna.

Jestem nieufny i nie zamierzam popełniać błędów, więc daję sobie chwilę na zastanowienie.

– Sprzedaj mi go – proponuję w końcu.

– Co? – Siedzący za kierownicą chłopak patrzy na mnie jak na krety.

– Samochód – wyjaśniam, spoglądając na tę kupkę złomu. Liczę, że jeśli uda mi się z nim jakoś dogadać, ten szmelc dowiezie nas, gdzie trzeba. – Sprzedaj mi auto.

– Chcesz kupić moje auto? – powtarza kompletnie oszołomiony.

Kiwam głową, na co on się zgadza i podaje jakąś śmieszoną kwotę. Problem w tym, że mam kasę, ale nie w gotówce. A po drodze nie rzucił mi się w oczy żaden bankomat.

– Wiesz co, mam lepszy pomysł...

SONIA

Ten samochód to jakaś cholerna pomyłka. Nie dość, że nie ma sprawnej klimy, to jeszcze siedzenia są tak niewygodne, że po kwadransie jazdy boli mnie tyłek. Moim skromnym zdaniem nie był wart tej wymiany. Motocykl, który początkowo znienawidziłam za niewygodę, sporo kosztował i z całą pewnością zapewniał odpowiednią wentylację. Poza tym ten złom, którym tłuczemy się od kilku ładnych godzin, ma jeszcze jedną wielką wadę. W bagażniku znajduje się trup. Obawiam się, co zrobimy, kiedy nie daj Boże natkniemy się na patrol. Nadal nie mam pojęcia, jak Leo planuje pozbyć się zwłok tej dziewczyny. Ja sugerowałam, by wrzucić je do morza, ale się nie zgodził. Liczę więc, że ma jakiś sensowny plan.

– Nie możemy pozbyć się tego ciała ot tak – mówi, zerkając na mnie nieuważnie, skupiony na prowadzeniu samochodu.

Upaął się, by usiąść za kółkiem mimo niedawno szytej rany.

– Dlaczego? – dociekam.

Nie czuję się niekomfortowo z myślą, że nie jesteśmy tu sami.

– Wciąż nie wiemy, czy Aleksiej doniósł na nas twojemu ojcu. Na pewno znał rozkazy, inaczej nie zjawiłby się w domu. Ale skoro on i jego partnerka byli tu na zwyczajnych wakacjach, a Aleksiej wpadł na nas przypadkowo, to może nie zdążył...

– Przypadkowo? – powtarzam, przypominając sobie nasz wypad do miasta, na którym tak bardzo mi zależało. – To moja wina – upieram się, choć obiecałam już nie wracać do tego tematu.

Leo nie odpowiada, tylko zerka na mnie.

– No co tak patrzysz? Gdybym nie była zazdrosna...

– Jesteś o mnie zazdrosna? – Spogląda na mnie zdumiony. – Przecież nie masz powodu.

Kiedy nie odpowiadam, znów zerka na mnie, jakby nie dowierzał.

– Jesteś zazdrosna o moją przeszłość?

Bystry jest, więc szybko na to wpada.

– Nie wiem, Leo – odpowiadam szczerze. – Wiem, że nie mam prawa czynić ci wyrzutów. Ale kiedy nagle postanowiłeś zachować w tajemnicy przed przyjacielem fakt, że się pobraliśmy, poczułam się fatalnie. Pomyślałam nawet, że się mnie wstydzisz. Nie jestem taka piękna jak twoja żona.

– Jesteś piękna – mówi nagle i chwyta moją dłoń, po czym składa na niej przelotny pocałunek. – Nigdy w to nie wątp.

Nie wiem, co powiedzieć, więc uśmiecham się lekko, choć trochę z przymusu.

– Nie żałujesz, że spaliłeś własny dom, aby zatrzeć ślady? – zmieniam temat.

– Czasem sytuacja zmusza nas do podejmowania decyzji, których unikałiśmy przez całe życie – odpowiada.

Nie rozumiem, co ma na myśli, ale boję się spytać.

– Żeby rozpocząć nowy rozdział w życiu, trzeba pozamykać wcześniejsze, które nie pozwalają nam iść do przodu – wyjaśnia, jakby czytał w moich myślach.

Mówienie o tym sprawia mu wyraźną przykrość. Nic dziwnego. Z tym domem wiązało się pewnie wiele wspomnień.

– To co chcesz zrobić z... nią? – Wskazuję na tył samochodu.

– Jeszcze nie zdecydowałem. Muszę pomyśleć. I odpocząć.

– Zmienić cię? – proponuję.

Leo zaprzecza ruchem głowy, a ja ganię się w myślach, że wcześniej o tym nie pomyślałam. Nie zrobiłam tego z wyrachowania; ten pozostawiający wiele do życzenia samochód po prostu przerażał mnie. Oprócz nie-

działającej klimatyzacji, która w zasadzie nie przeszkadzała w jego prowadzeniu, nie miał automatycznej skrzyni biegów, a ja kilkakrotnie zauważyłam, że nawet Leo, który umie wszystko, ma problem z ich zmianą. Bałam się, że sobie z tym nie poradzę, ale obserwując lokalną drogę, którą jedziemy, stwierdzam, że jest mało uczęszczana i że panuje tu niewielki ruch. Powinnam dać radę.

– Boli cię ręka? – dociekam.

Wiem, że taki twardziel jak on nie przyzna się do słabości, a już zwłaszcza do fizycznego bólu. Ale muszę się upewnić.

– Nie – oczywiście zaprzecza. – Nic mi nie będzie.

Jakoś mu nie wierzę.

– Może jednak się zatrzymasz i sama to ocenię?

– Zaraz będziemy na miejscu, więc...

– Leo – wchodzę mu w słowo. – Nie zamierzam ustąpić.

Staje na poboczu. Rozpinam mu koszulę i zsuwam z jego ramion, a następnie powoli, by nie zadać mu bólu, zaczynam zdejmować opatrunek. Muszę tylko zerknąć na ranę, sprawdzić, czy blizna się zasklepia i czy nie pojawiło się zaczerwienienie lub obrzęk, które mogłyby wskazywać na zakażenie. Wciąż nie mogę przeboleć, że Leo się nie zgodził, abyśmy pojechali do szpitala na zastrzyk przeciwko tężcowi. Jest strasznie uparty, ale poniekąd go rozumiem. Sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, w dodatku przeze mnie, wymagała natychmiastowego działania i wyjątkowej rozwagi. Każdy najdrobniejszy błąd mógł nas kosztować życie. A mnie za bardzo zależało na tym mężczyźnie, żeby go stracić.

– I jak? – pyta, kiedy z uwagą badam zszytą dratwą ranę po nożu.

– Wydaje się w porządku – odpowiadam, bandażując mu ramię.

Kiedy kończę, spoglądam mu w oczy. Ma pociemniały wzrok i zerka na moje usta, wymownie oblizując wargi. Kusi mnie, prowokuje. Jestem tego pewna.

– Co robisz? – pytam, kiedy łapie mnie za kark i przyciąga blisko, a następnie całuje.

– Pragnę cię, mała – szepcze w moje usta.

– Ale Leo! Jesteśmy na drodze.

– Chrzanić to – mruczy, a następnie rozpina spodnie, zadziera mi spódniczkę, odchyła na bok majtki i wciąga mnie na kolana.

Po kilkunastu przyjemnych sekundach pieszczot wilgotnieję, a wtedy on wchodzi we mnie. Czuję go w sobie. Calutkiego. Zamykam oczy i jęczę. Jest mi tak dobrze. Następnie zaczynam go pieprzyć. On, jak żaden inny zasłużył na przyjemność. A ja chcę mu ją dać.

ROZDZIAŁ 19

LEO

Sonia śpi już od kilku godzin. Po seksie zdarza się jej to dość często, mnie wręcz przeciwnie. Lubię na nią wówczas patrzeć. Teraz też to robię i uśmiecham się pod nosem, widząc jej błogą minę. Opiera głowę na moim ramieniu, nie przeszkadza mi to aż tak bardzo w jeździe, ale jestem tak skonany, że wreszcie postanawiam się zatrzymać. Od Amalfi dzielą nas już setki kilometrów, więc prawdopodobnie jesteśmy w miarę bezpieczni. Przynajmniej na razie.

Docieramy do Florencji. Wokół rozciągają się pola lawendy i winnice, liczę więc, że znajdę także jakiś pensjonat, bo dochodzę do wniosku, że czas na kolejną przerwę. Mijam kilka większych gospodarstw, ale póki co to w żadnym z nich nie oferują noclegu. Wreszcie jednak zauważam budynek, który może się okazać naszą tymczasową przystanią. Jest niewielki i wydaje się nieco zaniedbany, ale mnie to nie przeszkadza. Im mniej osób się na nas natknie, tym lepiej.

Jeszcze raz przyglądam się pensjonatowi. Jest zbudowany z kamieni, pokryty łupkową dachówką. Trochę przypomina mój dom, z którym niegdyś wiązałem tyle marzeń, a który niestety musiałem poświęcić.

Zatrzymuję się przed bramą, blisko zarośli. Nie chcę, żeby samochód rzucał się w oczy – zwłaszcza że w bagażniku znajduje się nieciekawa za-

wartość. Mam nadzieję, że zwłoki nie zaczną zbyt prędko cuchnąć, zanim stąd nie odjedziemy.

– Pobudka, śpiochu – zwracam się do cicho posapującej przez sen Soni.

Początkowo nie reaguje, ale kiedy składam na jej rozchylonych, kuszących wargach leciutki pocałunek, natychmiast otwiera oczy.

– Zasnęłam? – pyta, podrywa się nieznacznie i zaczyna rozglądać, próbując rozeznaczyć się w sytuacji. – Gdzie jesteśmy?

– We Florencji.

– We Florencji? – Nie potrafi ukryć zdziwienia. – To chyba kawał drogi od Amalfi. A mówiłeś, że musisz odpocząć... – dodaje z pretensją w głosie.

– Wiem, co mówiłem – przerywam jej. – Ale postanowiłem inaczej. Myślę, że tu możemy na chwilę zacumować.

– Zacumować? – pyta, a następnie kiwa głową i lekko się uśmiecha.

To miłe. Mnie Sonia na zawsze będzie kojarzyła się z jachtem. To tam, na łodzi jej ojca, coś do niej poczułem, coś zupełnie innego niż zimna nienawiść. To tam w swojej ofierze dostrzegłem ofiarę innego człowieka.

Dziś dziękuję Bogu, że zdołałem się powstrzymać i jej nie zabić, choć wiele razy miałem na to przemożną ochotę.

– Chodźmy więc – mówi, a potem wyskakuje z auta.

Wysiadam i ja, biorąc nasz plecak. Następnie zamykam wszystkie drzwi – sprawdzam je dokładnie, zwłaszcza bagażnik – obejmuję Sonię ramieniem i ruszamy w stronę głównego wejścia do pensjonatu o wdzięcznej, choć trochę dwuznacznej nazwie Przystań Leo. Zanim otwieram przedzoną drzwi i puszczam ją przodem, spontanicznie rozglądam się w poszukiwaniu różanych krzewów. Spośród niezliczonych gatunków kwiatów to właśnie róże najczęściej kupowałem Karolinie. Soni jeszcze nigdy nie podarowałem kwiatów. Nie złożyło się jakoś.

Wreszcie popycham pomalowane na niebiesko drewniane drzwi, a nad naszymi głowami rozbrzmiewa dźwięk dzwonka. To takie staroświeckie rozwiązanie, ale podoba mi się. Soni chyba również, bo zerka w górę i się uśmiecha.

– W czym mogę pomóc? – słyszymy zza kontuaru. – Nazywam się Russo i jestem właścicielką Przystani.

Kontuar też wygląda na staroświecki. W blacie wmontowany jest dzwonek; przypomina trochę rowerowy, tyle że na górze ma wbudowany biały, choć teraz już lekko wytarty przycisk.

Oboje z Sonią spoglądamy na sędziwą kobiecinę, która wyłania się zza kontuaru. Na moje oko ma około osiemdziesiątki, ale chyba dobrze się trzyma. Jest szczupła, o prostej sylwetce. Siwe sprężynki włosów luźno spływają jej na ramiona. Kobieta jest opalona, więc chyba dużo czasu spędza na świeżym powietrzu. I jest ubrana jak typowa Włoszka. Ma na sobie biały fartuszek w niebieskie kwiaty.

Witamy się z nią serdecznie. Moja żona odrobinę mnie przy tym zaskakuje, bo z jej ust pada *Buongiorno*^[3]. Uśmiecham się do niej z uznaniem.

– Chcemy z żoną wynająć pokój – zwracam się do właścicielki po włosku.

– Na jedną noc czy planujecie państwo zatrzymać się u mnie na dłużej? – pyta, patrząc na Sonię, która niestety nie rozumie ani słowa.

– Moja żona nie jest Włoszką – wyjaśniam.

– Nie?

Rzeczywiście Sonia wyglądem wpasowuje się w typowy obraz włoskiej kobiety. Ma czarne włosy i musniętą słońcem skórę, którą zawdzięcza kąpielom słonecznym, jakim oddawała się na jachcie. Poza tym jest temperamentna, jak na rasową Włoszkę przystało.

– Nie. Moja żona jest Polką – kłamię naprędce, choć w zasadzie po części jest to prawda. Ale nie mogę inaczej. Ostrożność przede wszystkim.

– Polką? – Moja rozmówczyni się dziwi. – Poznałam już kilku Polaków, ich żony również. W większości były blondynkami.

Kiwam głową.

„Moja żona też była blondynką” – myślę, wspominając Karolinę, jej piękną twarz okoloną delikatnymi jasnymi lokami.

– Na razie poprosimy pokój na jedną noc, jeśli to oczywiście nie problem – mówię, odpychając od siebie myśli o zmarłej żonie.

– Absolutnie żaden. Mam jednak nadzieję, że spodoba wam się tutaj tak bardzo, że zapragniecie zostać trochę dłużej.

Nie odpowiadam, tylko uśmiecham się lekko. Zostałbym tu na dłużej. Może nawet zatrudniłbym się w charakterze złotej rączki – na moje oko dom wymagał gruntownego remontu, więc mógłbym robić za konserwatora. Był tylko jeden mały problem...

SONIA

Budzę się o świcie, kiedy zza okna dochodzi do mnie nieznany mi wcześniej dźwięk z podwórka. Dopiero po chwilowym namyśle nabieram przekonania, że to musi być kogut. Tak, ten głos należy do *gospodarza kurnika*.

Uśmiecham się na myśl o jajkach i jajecznicy, zwłaszcza takiej, którą mógłby przyrządzić mój mąż. Spoglądam na niego. Śpi jak zabity. Albo raczej jak suseł.

Tak, to znacznie lepsze porównanie.

„Mój mąż...” – jak cudownie jest myśleć o nim w ten sposób.

Całuję go bardzo delikatnie, żeby go nie zbudzić, a następnie wyślizguję się z łóżka i ubieram cichutko. Pragnę, by odpoczął. Wczoraj był tak zmęczony, że zasnął, jak tylko przyłożył głowę do poduszki. Nic dziwnego. Jechał długo i niemal bez przerwy, a w dodatku zżerał go stres – nie powiedział mi o tym wprost, ale nie jestem ślepa.

Kiedy jestem już ubrana, wymykam się z pokoju na paluszkach, a potem schodzę na dół, do recepcji. Schody skrzypią i nie wyglądają zbyt solidnie, ale mają swój urok. Do niedawna żyłam otoczona luksusem, ale dopiero tu, we Włoszech, najpierw w domu Leo, a teraz tutaj, w tym starym, ale uroczym pensjonacie, zaczęłam dostrzegać, co tak naprawdę jest cenne. I to

właśnie w tej chwili dociera do mnie, że dzięki takim miejscom, które mają swoją dobrą historię, człowiek odkrywa, co naprawdę liczy się w życiu.

– Halo?! – wołam, stając przy kontuarze.

Niestety nigdzie nie ma właścicielki. Nieśmiało naciskam dzwonek. Brzęczy cicho, więc dotykam go jeszcze raz.

Wtedy, jakby z oddali, dochodzi do mnie kobiecy głos:

– *Buongiorno. Hai dormito, piccola?*

Z sąsiedniego korytarzyka wyłania się starsza właścicielka.

– *Buongiorno* – odpowiadam jedynie, bo reszty pytania nie rozumiem, więc przechodzę na angielski i pytam, czy mówi w tym języku.

– *Yes* – uśmiecha się ciepło.

Oddycham z ulgą. Włoski brzmi ekstra, ale co mi po tym, skoro go nie rozumiem. Mam nadzieję, że Leo mnie wkrótce nauczy, przynajmniej podstaw.

– Macie tutaj kury? – pytam.

– A co, zbudziło cię pianie koguta? – słyszę w odpowiedzi.

– To też. – Uśmiecham się szeroko. – Ale nie dlatego pytam.

– Nie? – Starsza pani wydaje się zdziwiona.

– Nie. – Kręcę głową. – Chciałam się dowiedzieć, czy można tu kupić jajka? – Kobieta unosi brwi, więc wyjaśniam: – Mój mąż świetnie gotuje i pomyślałam...

– Chodźmy.

Staruszka łapie mnie pod łokieć i prowadzi gdzieś na tyły domu. Mijamy schody, które wiodą na piętro, gdzie w jednym z nielicznych pokoi śpi Leo. Zerkam tam odruchowo, a właścicielka pensjonatu się uśmiecha.

– Bardzo go kochasz – zagaduje, otwierając drzwi wiodące do ogrodu.

To nie jest zwykły ogród. Biegają tu kury, kaczki i małe, żółte kaczątka, których widok dziwnie mnie rozczula.

– Tak, bardzo – odpowiadam.

Każdego dnia jestem tego coraz bardziej pewna.

- Długo jesteście po ślubie?
- Jakiś czas – mówię wymijająco.
- To twój pierwszy mężczyzna?

Jak dla mnie to trochę zbyt osobiste pytanie, ale uznaję, że z nią mogę być szczerą, więc kręcę głową.

- Jesteś bardzo młoda – mówi staruszka. – Sądziłam więc, że...
- Jestem – wchodzę jej w zdanie. – Ale wiele już przeszłam w krótkim życiu. A Leo...
- Twój mąż ma na imię Leo?

Kiwam niepewnie głową. Właściwie nie wiem, czy dobrze robię, że aż tak się przed nią otwieram. Nie jestem pewna, co na to mój mąż. On ma swój plan i działa według zasad, które ja niekoniecznie rozumiem.

- Mój zmarły mąż też miał na imię Leonardo – słyszę naraz.
- Leonardo? – powtarzam jak echo.

Staruszka potakuje.

- Kochałam go nad życie – mówi. – I liczę, że jeszcze kiedyś się spotkamy.
- Na pewno tak będzie. – Uśmiecham się do niej ciepło.
- Ja mam na imię Sofia. A ty, skarbie?

Waham się z odpowiedzią. Naprawdę nie wiem, czy powinnam jej zdradzić tak wiele informacji na swój temat, a także na temat mojego męża. Aż dziw, że wczoraj nas o to nie zapytała. Nie zażądała nawet żadnego dokumentu tożsamości. A dziś nagle chce wiedzieć, z kim ma do czynienia. I patrzy na mnie tak wyczekująco... Intuicja podpowiada mi, że mogę jej zaufać.

- Bardzo mi miło – mówię, biorąc w swoją dłoń jej pomarszczoną rękę i ściskając ją lekko. – Sonia.

Kobieta znów posyła mi uśmiech i z uznaniem kiwa głową.

- Nie sądzisz, że to dziwny zbieg okoliczności? – pyta naraz.

– Nie rozumiem. – Patrzę na nią z nadzieją, że mi wytłumaczy, co miała na myśli.

– Nasi mężowie noszą takie same imiona – wyjaśnia z westchnieniem. – A i twoje imię niewiele różni się od mojego.

– Rzeczywiście. – Podłapuję analogię. – Życie potrafi zaskakiwać.

– O tak! – Sofia kiwa głową. – Nie sądzisz jednak, że to znak od Boga? Nie wiem, co powiedzieć, bo ta staruszka nieustannie mnie zaskakuje.

– Wiesz, od dawna mierzę się z pewną decyzją – mówi, po czym dodaje: – Weź ten koszyczek, skarbie. – Wskazuje na wyglądający na ręcznie wpleciony koszyk z wikliny.

Spełniam jej prośbę.

– O jakiej decyzji pani mówi? – Zaintrygowała mnie, więc chcę się dowiedzieć czegoś więcej.

Spogląda na mnie.

– Jestem stara i kiepsko już sobie radzę z prowadzeniem pensjonatu.

– Prowadzi go pani sama? – Nie kryję zdziwienia.

Fakt, nie widziałam tu nikogo poza nią, ale sądziłam, że to dlatego, że większość czasu spędziliśmy, odpoczywając u siebie.

– Tak, kochanieńka. Młodzi uciekają do miasta. Nikt nie ma ochoty pracować na roli. A ja nie mam dzieci. Bóg nie raczył mnie nimi obdarować i mojego ukochanego także, więc... – wzdycha i rozkłada bezradnie ręce.

– Czy mogę jakoś pani pomóc?

Uśmiecha się figlarnie.

– Zbierz jajka.

ROZDZIAŁ 20

LEO

Kiedy się budzę, a jej nie ma w łóżku, czuję niepokój.

– Sonia? – Rozglądam się po pokoju, ale odpowiada mi głucha cisza.

Wstaję od razu, wkładam spodnie i zarzucam na ramiona czystą koszulę, którą wygrzebuję z plecaka. Przeszukując jego zawartość, zauważam książkę. Tę, którą dałem Soni. Tę samą, która należała do Karoliny. Otwieram ją i zaglądam do środka. Zdjęcie mojej żony nadal tkwi w tym samym miejscu. Wyjmuję je i czule gładzę. Jestem mile zaskoczony tym szlachetnym gestem Soni. Ja, w natłoku myśli, jakie mi towarzyszyły tamtej nocy, nie przypomniałbym sobie o takim szczególe. A ona owszem. Doceniam to. Bardzo.

Uśmiecham się, choć czuję wilgoć pod powiekami. Przyciskam zdjęcie do piersi, a potem umieszczam je w książce, którą od razu chowam w plecaku.

– Sonia?! – wołam, kiedy wychodzę na korytarz i staję u szczytu schodów. Ale tu również odpowiada mi głucha cisza, więc zbiegam na dół. – Kochanie? – Po raz pierwszy zwracam się do niej w ten sposób, ale czuję się z tym wyjątkowo dobrze. Jednak i tym razem nie słyszę odpowiedzi.

Nagle z tyłu domu dochodzą do mnie odgłosy toczącej się rozmowy. Idę tam niezwłocznie, popycham drzwi, za którymi znajduje się ogródek i kawałek poletka, po którym biega domowe ptactwo. Sonia rozmawia z właścicielką pensjonatu. Obie są tym tak pochłonięte, że nawet mnie nie dostrzegają.

Przyglądam się z zainteresowaniem, jak moja żona pomaga starszej kobiecie w zbieraniu jajek. To niby nic wielkiego, ale na ten widok czuję przyjemne ciepło rozlewające się w sercu. Nie sądziłem, że jest zdolna do tak zwyczajnych gestów, zwłaszcza wobec obcych. Wciąż pamiętam, jak traktowała mnie na jachcie. Ale wtedy byłem dla niej tylko jednym z chłoptasiów jej ojca. Od tamtej pory w naszych relacjach wiele się zmieniło.

– Czy jest coś jeszcze, co mogę dla pani zrobić? – słyszę, jak Sonia pyta gospodynię.

– Nie, skarbie. Jesteś na to zbyt wąta. Ale twój mąż z pewnością mógłby się przydać.

Robi się coraz ciekawiej – przyznaję.

– Zapytam go, gdy tylko się obudzi, ale jak go znam, nie odmówi pani pomocy.

– Z nieba mi spadliście, dzieci – odpowiada staruszka. – Oboje – dodaje i dopiero teraz spogląda w moją stronę.

– Leo! – Sonia już biegnie do mnie, uśmiechając się radośnie.

– Spokojnie. – Obejmuję ją ramieniem, a następnie całuję w policzek. – Bo potłuczysz jajka.

– No tak. – Szczerzy do mnie zęby, a potem zerka do koszyka, żeby się upewnić, czy nie narozrabiała. – Leo?

– Tak, kochanie?

Widzę, że jest zaskoczona, słysząc to określenie, ale tak bardzo chcę jej sprawić przyjemność, że nie umiem się powstrzymać.

– Pani Russo potrzebuje pomocy. Męskiej i fachowej – mówi i przygryza dolną wargę. – Pomyślałam o tobie.

Uśmiecham się do przyglądającej nam się z uznaniem kobiety.

– Jeśli tylko podołam, to chętnie – odpowiadam, po czym szybko dodaję:
– Najpierw jednak proponuję śniadanie. Jestem bardzo głodny – mówię, gapiąc się na usta mojej żony.

– Twój mąż to drogocenny skarb – chwali mnie staruszka i ciepło uśmiecha się do Soni. – Mało który umie tak dobrze gotować. Mój Leo nie potrafił.

– Pani mąż miał na imię Leo? – dziwię się.

– Tak. I tak jak ty był także szalenie przystojnym mężczyzną.

Dziękuję jej za komplement i spoglądam na Sonię, która patrzy na mnie rozanielonym wzrokiem.

– Leonardo był też złotą rączką – kontynuuje gospodyni. – Umiał naprawić dosłownie wszystko: samochód, pralkę, suszarkę do włosów, a nawet lodziarkę. Poza tym z niczego umiał zrobić coś. Był takim trochę włoskim odpowiednikiem MacGyvera – mówi żartobliwie i się uśmiecha.

– Kiedy tak wspaniale mówi pani o zmarłym mężu, zaczynam mieć obawy, czy podołam zadaniu, jakie ma pani dla mnie – kwituję i puszczam do niej oko.

– Niepotrzebnie się trapisz, chłopcze. – Posyła mi uśmiech znad filiżanki kawy. – Nie śmiałybym prosić cię o którąkolwiek z wymienionych czynności. Na początek przewiduję dla ciebie mniej wymagające zadanie.

To już nie zabrzmiało jak pochlebstwo, ale się nie obrażam. Lubię ludzi, zwłaszcza tak szczerych i mówiących wprost, co myślą. Żadnego owijania w bawełnę.

– Na początek? – wychwytyuję.

– Ach. – Wzdycha i bierze łyk kawy. – Przydałby mi się taki pracownik jak ty, Leo. Ten dom wymaga remontu, a do tego potrzeba męskiej ręki. Zresztą twoja żona też miałaby co robić w obejściu. Mnie, starej babie, czasem nawet zbieranie jajek ciąży, a ona radzi sobie z tym świetnie.

– Wcale nie jest pani stara – odzywa się Sonia.

Patrzę na nią. Wydaje się wzruszona.

– Kłamać to ty, dziecinko, nie potrafisz – śmieje się staruszka. – Ale dziękuję. Miło mi, że nie myślisz o mnie jak o starej, nikomu niepotrzebnej babie.

– To co mam dla pani zrobić? – przerywam tę niepotrzebną dyskusję, bo wyraźnie widzę, że Sonia nie wie, co powiedzieć.

– W kredensie, w dolnej szufladzie, są takie plastikowe opaski zaciskowe – mówi. – Weź je i przejdź się wzdłuż ogrodzenia. Wydaje mi się, że gdzieś jest dziura, bo lisy nie próżnują.

– Lisy? – Sonia otwiera szeroko oczy.

– Tak, dziecko. Nawet nie wiesz, jakie to przebiegłe istoty. Raz podkopiają się pod płotem, innym razem wspinają się po nim i przeskakują za ogrodzenie, a kiedy indziej prują siatkę.

– Prują?

– Tak, są w stanie uczynić dosłownie wszystko, byleby tylko gwizdnąć mi kolejną kurę. Mają szalony apetyt.

– Rozumiem, że za pomocą tych opasek mam połączyć rozerwaną siatkę? – pytam, żeby się upewnić.

– Tak. Tylko sprawdź płot dokładnie. Te rude skurczybyki znów musiały mi podebrać jakąś ptaszynę, bo śmierdzi okrutnie. Pewnie wciągnęły w okoliczne krzaki, zeżarły, ile się dało, a teraz reszta gnije i cuchnie.

Spoglądam na Sonię, a ona na mnie. Oboje wiemy, gdzie leży źródło fetoru. Mamy mniej czasu, niż sądziłem, i zaczynam się naprawdę martwić, bo wciąż nie wiem, co dalej.

SONIA

Sytuacja zaczyna mnie przerastać. Wiem, że to zwłoki tej Rosjanki, które ukrywamy w bagażniku, tak śmierdzą. Nie mam pojęcia, co wymyśli Leo, ale jeśli wciąż nie ma pomysłu, to mamy przechłapanie.

Ze stresu boli mnie brzuch i chce mi się wymiotować. Sofia parzy mi ziółka, ale nie pomagają. Czuję się po nich jeszcze gorzej.

– A może ty jesteś w ciąży? – pyta staruszka, przyglądając mi się z zaciekawieniem.

– Nie – zaprzeczam. – Zabezpieczamy się.

– Nie jestem znawczynią tematu, bo nigdy nie nosiłam dziecka pod sercem, ale kiedyś także byłam młoda i widziałam moje koleżanki w tym odmiennym stanie. Miały podobne objawy i też były takie bladziutkie. Zupełnie jak ty teraz.

Nie wiem, co jej odpowiedzieć, bo z pewnością nie mogę zdradzić jej całej prawdy. Na myśl o tym, jeszcze bardziej chce mi się wymiotować.

– To raczej niemożliwe...

– Dziecko, wszystko jest możliwe. Tam, gdzie uprawia się seks, tam też powstają dzieci. Na ogół. – Mruga do mnie. – Posłuchaj – dodaje po sekundzie, po czym wstaje od stołu i idzie w stronę wieszaka, na którym wisi kilka jej drobiazgów: torebka, kolorowa chustka, słomkowy kapelusz. Sięga po ten ostatni i bierze też torebkę. – Niedaleko stąd jest kilka małych sklepów. Apteka również. Pojadę tam i kupię ci test.

– Naprawdę nie trzeba...

Właściwie byłoby mi na rękę, gdyby Sofia zostawiła mnie na chwilę z mężem sam na sam. Mieliśmy do omówienia kilka ważnych i *niecierpiących zwłoki* kwestii, a przy niej nie mogliśmy zaryzykować rozmowy na ten temat.

– Może i nie, ale chętnie rozruszam stare kości.

Zdumiona unoszę brwi.

– Chce pani pójść na piechotę?

– A skądże! – Jest wyraźnie rozbawiona. – Pojadę na rowerze.

– Na rowerze? – powtarzam po niej. Trudno mi sobie wyobrazić, że osoba w jej wieku jest w stanie poruszać się rowerem.

– Zaskoczona, co? – Uśmiecha się. – Ruch, zaraz po zdrowym odżywianiu, to jeden z czynników, które mają wpływ na moją świetną kondycję i długowieczność. – Znów do mnie mruga. – No dobra, lecę, bo mi jeszcze aptekę przed nosem zamkną. Potrzebujesz czegoś jeszcze? – pyta, na co już tylko zaprzeczam ruchem głowy, a potem odprowadzam ją wzrokiem do wyjścia.

Rozmowa z Leo wcale mnie nie uspokaja. Wręcz przeciwnie. Przeraza mnie ten jego – jestem pewna – pozorny spokój.

Idę do domu, tak jak mi radzi, gdy tymczasem on kończy drobne naprawy. Nie wiem, jak Leo sobie z tym radzi, ale mnie ten odór naprawdę odrzuca i wciąż chce mi się wymiotować, dlatego oddycham z ulgą, kiedy wchodzę do pensjonatu. Tu chociaż nie śmierdzi.

Idąc na górę, rozmyślam o tym, co mówiła Sofia.

– Nie, to niemożliwe – burczę pod nosem, wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi.

Rzucam się na łóżko i pocieram twarz dłońmi. Nagle słyszę sygnał nadchodzącej wiadomości. Podnoszę głowę i spoglądam na szafkę nocną, na której leży podłączony do ładowarki telefon Leo.

Przecież zmienił kartę, więc kto może do niego pisać? Nikt poza Mario nie przychodzi mi do głowy.

Nie zamierzam go sprawdzać czy jakkolwiek kontrolować, ale moja ciekawość wygrywa i sięgam po telefon. Numer, choć niezapisany, wydaje się mi znajomy. Zerkam jeszcze w stronę drzwi w obawie, że Leo przyłapie mnie na gorącym uczynku, a potem otwieram SMS-a. Jego treść ścina mnie z nóg...

Wiem, że masz moją córkę. Wiem też, że uczyniłeś z niej swoją kochankę. I wiem, że zrobiłeś to z zemsty. Podaj cenę.

DV

– Ja pierdołę!

Nie wiem, co szokuje mnie bardziej: świadomość, że ojciec jakimś cudem namierzył jego telefon, czy sama treść wiadomości, w której zawarta jest insynuacja, że Leo mnie oszukał. Nie mam pojęcia, o jakiej zemście mówił ojciec, ale on zawsze jest konkretny. Jeśli więc napisał coś takiego, to musiała być to prawda.

Wtedy go zauważam. Stoi w drzwiach i przygląda mi się surowym wzrokiem. Jeśli sądzi, że mnie przestraszy, to jest w błędzie.

– Co robisz? – pyta, patrząc to na mnie, to na swoją komórkę, którą nadal trzymam w dłoniach.

– Co to, kurwa, ma znaczyć?! – krzyczę, ciskając w niego telefonem.

Łapie go w locie. Obserwuję, jak czyta tę samą wiadomość, którą i ja zdążyłam chwilę temu przeczytać.

– Odpowiedz! – wydieram się na całe gardło.

– Uspokój się.

– O jakiej zemście pisze ojciec?! – wrzeszczę. Jeśli za chwilę nie poznam prawdy, oszaleję. – I skąd zna twój nowy numer?

– Sam chciałbym to wiedzieć – odpowiada tylko na jedno z pytań, czym wkurza mnie jeszcze bardziej.

– A może ty...? – Celuję w niego palcem i zamieram.

– Co ja? – Przygląda mi się z uwagą.

To, o czym teraz myślę, z trudem przechodzi mi przez gardło.

– Sprzedałeś mnie?

Ojciec wspominał o cenie, więc wydaje mi się to całkiem logiczne.

– Oszalałaś?!

Jest wzburzony. Ja również. I chcę poznać prawdę, nawet za cenę złamanego serca.

– Ja?! – piszczę i uderzam go w tors. Ani drgnie, więc biję go po raz kolejny. – O jakiej zemście mówił mój ojciec? – Rzucam się na niego po raz kolejny, ale wówczas łapie mnie za nadgarstki i unieruchamia mi ręce.

– Nie chcesz tego wiedzieć.

– Nie ty o tym, kurwa, decydujesz! – krzyczę mu prosto w twarz. – O co chodzi?

Szamoczę się z nim. Próbuję wyrwać ręce z jego niedźwiedziego uścisku, ale trzyma zbyt mocno, więc się poddaję.

– Odpowiedz, do cholery! – żądam.

– Dobrze.

Zaskakuje mnie, kiedy gwałtownie sadza mnie na krześle obok łóżka, wyjmując z kieszeni opaski zaciskowe i krępuje nimi moje dłonie i kostki.

– Oszalałeś?! – wydzieram się i zaczynam rzucać, a krzesło, na którym siedzę, niebezpiecznie się chybcze.

Leo bierze do rąk serwetkę, która zdobi mały stoliczek stojący nieopodal okna, zwija ją w rulon i wciska mi w usta. Próbuję jeszcze krzyknąć, ale zamiast tego z moich ust dochodzi jedynie nieprzyjemny bulgot.

– Opowiem ci wszystko od początku – odzywa się nagle.

Nie podoba mi się sposób, w jaki na mnie patrzy. Przeraża mnie ton jego głosu, ale nie umiem powstrzymać furii.

– Albo właściwie nie – dodaje po sekundzie, a ja znów zaczynam się szarpać i próbuję krzyknąć, choć mam zakneblowane usta. – Pokażę ci.

ROZDZIAŁ 21

LEO

Krwawi mi serce, kiedy na nią patrzę, ale nie mam wyjścia. Skoro poznała już część prawdy, musi poznać i resztę. Nie ma odwrotu.

Scrolluję pliki w telefonie w poszukiwaniu tych właściwych. Mam tego sporo, bo dowody okrucieństwa, jakiego dopuszczał się stary Vasiljew jej rękami, zbierałem latami.

Najpierw natrafiam na zdjęcie. Jest... *nietypowe*. Przedstawia płód, dziecko. Bardzo, bardzo małe. Mieści się na dłoni. Zostało wyrwane z łona matki przed czasem. Nadal mam nadzieję, że kiedy je *wyjmowano*, ono już nie żyło, nie cierpiało jak jego rodzicielka.

Podsuwam telefon pod nos Soni. Mruży oczy, nadal się szarpie, ale też przygląda okrucieństwu, którego sama dokonała.

– Rozpoznajesz? – pytam, ale ona nie reaguje, tylko spogląda na mnie w taki sposób, jakbym to ja skrzywdził ją, a nie odwrotnie. – Długo staraliśmy się o to dziecko. Kiedy Karolina powiedziała mi o ciąży, nie posiadałem się ze szczęścia. Ona też była w siódmym niebie. Poprosiłem ją, żeby od razu zrezygnowała z pracy, ale ona tak kochała to, co robiła, że nie chciała o tym słyszeć. Zdołała mnie nawet przekonać, że jej zawód jest na tyle bezpieczny, że nie musi z niego rezygnować, bynajmniej nie od razu. Pracowała jako dziennikarka, więc pomyślałem: Co może jej się stać? Szybko doszedłem do wniosku, że rzeczywiście nie mogę jej zabronić pracować i jakkolwiek inaczej ograniczać. Nie przypuszczałem jednak, jak wielkie czyha na nią niebezpieczeństwo. – Wzdycham.

Trudno mi o tym mówić. Zwłaszcza że Sonia patrzy na mnie teraz w sposób, którego nie mogę znieść. Ale muszę to wytrzymać, a ona – poznać prawdę, nawet za cenę tego, że mogę ją stracić.

– Karolina dostała kolejne zlecenie – kontynuuję. – Od początku mi się nie podobało. Miała wyjechać do Moskwy.

Kiedy z moich ust pada nazwa tego miasta, wyraz twarzy Soni się zmienia. Jej mina wskazuje na to, że zaczyna rozumieć...

– Nigdy nie przepadałem za tym krajem, za ludźmi, którzy w nim żyją, a którzy wydawali mi się tacy... bez zasad. Na całym świecie wiele się mówi na temat tamtejszego rządu. Nawet to, że Rosją rządzi mafia, która nie ma litości dla wroga. Dlatego prosiłem żonę, by zrezygnowała z tego zlecenia. Ale ona była taka uparta, a ja nie mogłem jej niczego zabraniać. Poza tym ufałem jej. I skoro mówiła, że nic jej nie grozi, nie miałem powodu, żeby jej nie wierzyć. Dziś wiem, że bardzo się myliłem. Ten jeden cholerny raz powinienem być bardziej stanowczy i wyperswadować wyjazd.

Pocieram nerwowo szczękę, bo nie dość, że wspomnienia znów stają się nad wyraz żywe, to jeszcze muszę się mierzyć ze spojrzeniem Soni. Ale postanawiam dokończyć to, co już zacząłem. Tylko tak moja żona zrozumie; póki co patrzy na mnie, jakby to ona była ofiarą, a nie ja i nie moja rodzina.

– Wzięli ją za szpiega – kontynuuję. – Tylko dlatego, że znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej godzinie.

Nie mogę mówić dalej, bo słowa więzną mi w gardle, więc szukam kolejnego pliku i włączam film, ten sam zresztą, który jakiś czas po jej śmierci znalazłem na jej służbowej poczcie. Ten, który na pocztę mojej żony wysłał Vasiljew, prawdopodobnie ku przestrodze dla innych dziennikarzy śledczych. Ciało mojej żony nigdy nie odnaleziono.

Kolejny raz podsuwam Soni telefon pod nos i włączam wideo. Sam nie patrzę na odtwarzane nagranie. Nie mam siły przechodzić przez to jeszcze raz. Zresztą nie muszę, bo pomimo upływu lat pamiętam każdą sekundę z tego brutalnego aktu.

Widzę, jak Karolina wisi, podwiązana za ręce. Początkowo nawet jej nie poznaję. Ma zakrwawione dłonie – u jednej brakuje chyba kilku palców. Ma też tak zmasakrowaną twarz, że zupełnie nie przypomina siebie. Ale kolor włosów do złudzenia przypomina kolor włosów mojej ukochanej żony. I ma też na sobie ubranie, które natychmiast rozpoznaję. Ta bluzka to był prezent ode mnie.

Patrzę w ekran monitora. Nie jestem pewien, czy Karolina nadal żyje, ale kiedy widzę, jak jeden z tych typów, którzy stoją dookoła i wpatrują się w swoją ofiarę, podchodzi i zdiera z niej dolną część ubrania, nabieram pewności, że jeszcze żyje. Widzę, że nadal się broni, ale nie ma najmniejszych szans. Wszyscy ci ludzie, to liczne męskie grono, jeden po drugim gwałcą ją w najbardziej wyuzdany i brutalny sposób...

Nie mogę patrzeć, więc wciskam pauzę. Nawet nie wiem, na co właściwie liczę. Może nadal wierzę, że ją jeszcze odnajdę? Żywą bądź martwą...

Gdy ostatni kończy, przecina nożem sznur, na którym Karolina wisi. Tym samym ruchem tnie jej skórę, a z nadgarstków bucha żywa krew. Moja żona pada na ziemię. Ktoś do niej podchodzi i wraz z typem, który ją odciął, włoką ją gdzieś.

Tutaj film na moment się urywa. Obraz wraca, kiedy moja zupełnie już naga żona leży na jakimś metalowym stole. Domyślam się, że to prosektorium. I kiedy po raz kolejny myślę, że już umarła, że już chociaż nie cierpi... Okazuje się, że mylę się i tym razem. Widzę Vasiljewa. Podchodzi do niej, a potem zsuwa ją na brzeg stołu. Karolina nadal się nie porusza. Dopiero kiedy Rosjanin wsadza w nią swojego brudnego kutasa, otwiera oczy i spogląda w kierunku kamery. Widzę, że kona, ale nie godzi się z tym, co ją spotkało...

Przymykam oczy. Pamiętam doskonale każdy kadr, choć od dnia, kiedy odtworzyłem to nagranie, minęło już kilka lat. Teraz znów czuję, że moje serce na moment przestaje bić. Jak wtedy.

Kiedy nagranie dobiega końca, spoglądam na Sonię. Po jej policzkach płyną łzy. Oddycha płytko, jakby za chwilę miała stracić przytomność. Chciałem jej tego oszczędzić, naprawdę. Ale zmusiła mnie, żebym się przed nią obnażył. Więc to zrobiłem. Nie miałem wyboru.

Wyjmuję z kieszeni nożyczki, które zabrałem ze sobą, sądząc, że mogą się przydać podczas naprawy ogrodzenia, i przecinam opaski zaciskowe, które krępują jej stopy. Nie reaguje, choć przypuszczałem, że zaraz po tym jak ją uwolnię, spróbuje mnie kopnąć. Przecinam również te przy nadgarstkach. Spoglądam na blizny. Mam ochotę ich dotknąć, rozetrzeć, rozmasować po to, by ukoić ból wywołany zbyt mocno zaciągniętymi opaskami, ale podejrzewam, że mi na to nie pozwoli. Sięgam po knebel, ale sama wyjmuje go sobie z ust.

– Sonia? Spójrz na mnie – proszę, kiedy usilnie patrzy gdzieś przed siebie, wyraźnie unikając mojego wzroku. – Kochanie...

– Nie nazywaj mnie tak! – Podnosi się gwałtownie, a krzesło, na którym siedziała, z łoskotem upada na podłogę. – Wykorzystałaś mnie. Zemściłaś się – dodaje tak cicho, jakby za chwilę znów miała się rozpłakać.

– Początkowo tak właśnie było, ale...

– Nie ma żadnego „ale”, Leo! – przerywa mi ze złością. – Wszystko sobie zaplanowałaś. Naprawdę sprytnie! – kpi ze mnie. Jeszcze tylko brakuje, żeby zaczęła mi bić brawo, ale powstrzymuje się, choć wygląda, jakby miała na to ochotę. – Uknęłaś to wszystko bardzo sprawnie. Opracowałaś intrygę na miarę możliwości mojego ojca. Świetna gra! Brawo!

– Sonia?

Próbuję jej dotknąć, ale cofa się o krok i patrzy na mnie z furją w oczach.

– Nie przerywaj mi, do cholery!

– Uspokój się. – Staram się ją opanować.

– Sam się, kurwa, uspokój! – wrzeszczy jak opętana.

– Kochanie...

– Już mówiłam...

– Co się tutaj dzieje? – dochodzi do nas głos z korytarza, a po chwili w progu naszego pokoju stoi właścicielka pensjonatu.

– To raczej nie pani sprawa – warczę i już podążam w tamtym kierunku, żeby zamknąć jej drzwi przed nosem, ale Sonia mi na to nie pozwala. Zastępuje mi drogę i spogląda na mnie z jeszcze większą złością.

Ja pierdołę! Dlaczego jeszcze bardziej wszystko komplikuje? Czy ona nie rozumie, że musimy dokończyć naszą rozmowę *na osobności*? Przecież musi być jakiś sposób, abym ją przekonał, że nie wszystko było udawane. I że naprawdę ją kocham.

Tak, właśnie to do mnie dotarło. Kocham córkę mojego największego wroga.

SONIA

– Wyjdź – mówię, siląc się na opanowanie, którego mi brakuje.

– Słyszałeś, co powiedziała twoja żona, młody człowieku? – wtrąca się staruszka.

Niepotrzebnie. Ona nie jest świadoma tego, z kim tak naprawdę ma do czynienia. Ja zresztą także nie byłem. Aż do dziś. Aż do teraz. Nic już jednak na to nie poradzę. Liczę tylko, że mój... mściciel nie okaże się człowiekiem bez serca i nie zrobi jej krzywdy, bo teraz patrzy na nią w taki sposób, że oblatuje mnie strach. Ale skoro nie zabił mnie do tej pory, to jej też nie powinien... Zwłaszcza że ta wielkoduszna kobieta nie zasłużyła na śmierć.

– Sonia? – Leo patrzy na mnie w taki sposób, że obawiam się, iż za chwilę zmięknię. Nie mogę sobie na to pozwolić.

– Wyjdź, do cholery – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Tym razem słucha i wychodzi. A ja, jak tylko zatrząskują się za nim drzwi, chowam twarz w dłoniach. Nie wytrzymuję i zanoszę się płaczem.

Nie wiem, jak długo trwam w tym stanie, ale przytomnieję dopiero w chwili, kiedy towarzysząca mi staruszka podsuwa mi chusteczkę, a po-

tem wyjmuję z kieszeni kwiecistego fartuszka niewielki kartonik.

– Nie martw się, kochanie – pociesza mnie. – Dzieci na ogół cementują związki.

– Cementują? – powtarzam, naraz mając przed oczami jedną z tortur, jakie mój ojciec stosował na swoich wrogach. – Nie powinnam być w ciąży – chlapię. – To nie jest odpowiedni moment.

– Dziecino, w każdym związku są lepsze i gorsze momenty – przekonuje mnie łagodnie Sofia. – W dodatku wam, młodym, zawsze wydaje się, że nie jesteście jeszcze gotowi na bycie rodzicami. A to nieprawda. Po prostu boicie się zmiany, ale to normalne. Tylko głupcy się nie boją. I tylko słabi i niedojrzali ludzie się poddają, kiedy pojawia się pierwszy problem – dodaje, zerkając wymownie na drzwi, za którymi jakiś czas temu zniknął Leo. – A ty pomimo młodego wieku sprawiasz wrażenie bardzo dojrzałej, no i nie wyglądasz mi na cherlawą – rzuca cierpki żart, który mnie wcale nie bawi.

– Dziękuję – mówię z przekąsem.

– Nie obrażaj się. Nie miałam niczego złego na myśli – wyjaśnia. – Po prostu próbuję ci jakoś pomóc.

– A jeśli mi już nie można pomóc? – pytam łamiącym się głosem.

– Nie gadaj bzdur. A teraz idź do łazienki i zrób ten cholerny test.

Zaskakuje mnie sposób, w jaki się do mnie zwraca, ale chyba właśnie jej stanowczy ton mnie motywuje.

„Co ma być, to będzie. – Wzdycham. – Poza tym gorzej już raczej być nie może. Chyba że...”

Mam pewność, że nie jestem w ciąży, ale postanawiam spełnić polecenie naszej gospodyni.

„Naszej”. Nadal myślę w liczbie mnogiej, choć Leo tak bardzo mnie zawiódł.

– I co? – słyszę przez zamknięte drzwi.

– Cierpliwości! – odkrzykuję. Odrobinę mnie krępuje, że ta kobieta stoi pod drzwiami łazienki w chwili, kiedy ja siusiam, w dodatku do plastiko-

wego pojemnika.

Gdy kończę, nabieram pipetką odrobinę moczu i umieszczam kilka kropeł na płytce, po czym odkładam ją na brzeg wanny. Oczekując na wynik, myję ręce. Wiem, że to tylko nieporozumienie, zwyczajna formalność, ale z lękiem spoglądam na test. Mój niepokój sięga zenitu, kiedy na płytce dostrzegam dwie grube, czerwone krechy. Tak – krechy to właściwe określenie na to, co zobaczyłam.

Paskudnie się czuję z myślą, że oszukałam tę przesympatyczną kobietę, ale w panice postanowiłam nie wyznawać prawdy. Nie wiedziałam jeszcze, co sama powinnam zrobić z tą wiedzą, zwłaszcza że *mój mąż*, który wyszedł silnie wzburzony, nie wraca od kilku godzin.

Przechadzam się nerwowo po pokoju i raz po raz wyglądam przez otwarte okno. Zaczyna zmierzchać, a Leo jak nie było, tak nie ma.

A jeśli mnie zostawił? Może właśnie taki był jego plan? Rozkochać mnie w sobie, a potem porzucić jak niepotrzebną rzecz. Mógłby się tak zachować w imię zemsty?

Niestety nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Leo wraca, kiedy za oknami panuje zupełna ciemność.

„Dziwne – myślę. – Nie słyszałam warkotu silnika”. Nie wiem dlaczego, ale wcześniej wyszłam z założenia, że kiedy wyprosiłam go z pokoju, odjechał stąd autem.

– Przeszło ci? – pyta swoim zwyczajnym głosem.

Zupełnie jakby nic się nie stało, jakby nie doszło między nami do żadnej kłótni. A wydarzyło się, i to sporo.

– Gdzie byłeś? – warczę.

Nadal jestem na niego zła. Wiem, sama nalegałam, żeby mnie zostawił, ale nie sądziłam, że przepadnie na tyle godzin. Poza tym się martwiłam.

Owszem, sama nie wiem, czego chcę, ale ta sytuacja... Przerasta mnie to wszystko.

– A więc jednak nie przeszło? – mruczy, a potem siada na łóżku i zdejmuję zabłocone buty. Po południu zaczęło padać i ziemia musiała się zrobić strasznie grząska.

– Odpowiedz do cholery! – naciskam, opierając ręce na biodra. Wiem, jak beznadziejnie to wygląda, ale mam to w dupie.

Leo patrzy na mnie i milczy. W dodatku uśmiecha się pod nosem, czym zupełnie wytrąca mnie z równowagi.

– Co cię tak bawi? – syczę.

– Ty.

No nie mogę uwierzyć! Jeszcze się ze mnie nabija!

– Zachowujesz się jak typowa żonka – dodaje, a potem łapie mnie za rękę i przyciąga. – I nią jesteś – dodaje jeszcze, unosząc mój podbródek i patrząc mi w oczy. – Jesteś moja, Soniu. Jesteś moją żoną.

Być może to efekt buzujących we mnie hormonów, ale naraz rozklejam się i wybucham płaczem.

– No już... – Leo sadza mnie sobie na kolanach. – Nie płacz, mała. Wszystko się jakoś poukłada.

– Jakoś? – chlipię, patrząc mu w oczy. Jest w nich tyle troski i uczucia, które, zanim go poznałam, było mi obce. Ale inna rzecz nie daje mi spokoju. – Leo, niedawno powiedziałaś mi, że...

– Nie mówmy już o tym – przerywa mi. – To przeszłość.

– Która nie powinna się wydarzyć.

Leo zaledwie kiwa głową.

– Przetrywamy to. Razem – zapewnia po chwili.

A ja... Cóż, wierzę mu, choć tak bardzo się boję.

Znów jestem zawieszona w próżni. Wyszliśmy z domu i udaliśmy się do altany, która znajduje się na tyłach ogrodu. Sądziłam, że świeże powietrze dobrze nam zrobi, ale nawet tu nie czuję się komfortowo, a tak bardzo tego potrzebowałam.

Patrzę na Leo, oczekując, że zaraz mi wszystko wyjaśni: gdzie był, co robił, dlaczego tak długo nie wracał.

– Pozbyłem się ciała – oświadczam.

– A co z samochodem?

– Samochodu też.

Mówi to tak zwyczajnie, że nie mogę uwierzyć w jego spokój. Jestem pewna, że to tylko pozory, że udaje opanowanie, żeby nie dokładać mi trosk i żeby mnie nie stresować.

– I co teraz? – pytam, denerwując się jeszcze bardziej. – Przecież wiesz, że nie możemy tu dłużej zostać. To zbyt duże ryzyko. Nie możemy narażać pani Russo.

– Myślę, że twój ojciec nie wpadł jeszcze na nasz trop...

– Myślisz? – przerywam mu, bo dla mnie samo przypuszczenie to za mało, by poczuć spokój. – Jeszcze? – Pragnę mu uzmysłować, że niebezpiecznie balansujemy na krawędzi. – Sam widzisz.

– Uważam, że nie udałoby mu się nas tutaj znaleźć, jeśli...

– Jeśli – mówię z naciskiem, wchodząc mu po raz kolejny w zdanie. Nie lubię tego robić, ale paraliżuje mnie coraz większy strach, z którym zupełnie sobie nie radzę. – Ojciec już jakimś cudem wpadł na nasz trop, zdobywając twój nowy numer. Musimy stąd wyjechać. Jak najprędzej! Nie możemy ryzykować życia tej biednej staruszki.

– Nie będziemy. Obiecuję. – Bierze w dłonie moją dłoń i całuje ją. – Jak tylko zdobędę jakiś nowy środek transportu, od razu stąd wyjedziemy.

– Nasza gospodyni ma tylko rower. Nie widziałam tu żadnego samochodu.

– Rower to za mało. Nam potrzebny jest samochód, a najlepiej motocykl. Szybki.

Na samą myśl przechodzą po mnie ciarki. Wciąż jeszcze doskonale pamiętam naszą przeprawę z Lizbony do Walencji. To był koszmar. Prędkość i zmęczenie to naprawdę nieciekawe połączenie. A teraz jeszcze, kiedy mam świadomość, że jestem w ciąży...

No właśnie. Nadal o niczym mu nie powiedziałam. Złożyło się na to kilka powodów. Ale najważniejszym, przez który wciąż trzymam tę wieść w sekrecie, jest fakt, że nie wiem, jak mam to zrobić. Strasznie boję się tej rozmowy, bo wiem, że znów wrócimy do *tamtego* tematu. Wyznanie prawdy jest nieuniknione – zdaję sobie z tego sprawę – ale tak bardzo chcę to odwlec w czasie, że milczę. Mam poczucie winy. Przez mojego ojca i przede mną – byłam przecież narzędziem w rękach tego strasznego człowieka i robiłam wszystko, co mi kazał czynić – Leo stracił ukochaną żonę. A dziecko? Cóż – po tym nagraniu nie miałam już wątpliwości, dlaczego ojciec kazał mi wyjąć z ciała tej zmasakrowanej kobiety płód. Ten człowiek nie miał litości. Wielokrotnie rodzinom swoich największych wrogów wysyłał ich serca lub inne narządy, które kazał mi wyjmować z ofiar. Dziś miałam już absolutną pewność, że to biedne maleństwo, któremu nie dane było się urodzić, posłał zrozpaczonemu ojcu.

Boże, co też Leo musiał przeżywać...

– Motocykl – powtarzam po nim i już otwieram usta, żeby powiedzieć mu o naszym dziecku, kiedy dociera do mnie głos Sofii.

– O, tutaj się skryliście, gołąbeczki. Cieszę się, że się pogodziliście – oznajmia staruszka, patrząc na mnie z miną: „A nie mówiłam?”. – Szukam was, bo zrobiłam kolację – wyjaśnia. – Rozmawiacie o motocyklach?

Uśmiecham się nerwowo i kiwam głową, licząc, że nie usłyszała z tej rozmowy zbyt wiele. Im mniej będzie wiedziała, tym lepiej.

– Mój mąż był zapalonym motocyklistą. Ja nie przepadałam za tymi maszynami, ale on... – Pani Russo przewraca oczami. – Miał bzika na ich punkcie. Zwłaszcza na punkcie swojego harleya-davidsona.

– Pani mąż miał harleya? – zaciekawia się Leo.

– Tak. Osiemdziesiąty siódmy rocznik. Prawdziwy sześćdziesięciokonny szatan – śmieje się i kiwa z zadumą głową. – Czerwony metalik. Czterosu-

wowy, cokolwiek to oznacza. – Mruga do mnie. – Leonard długo na niego zbierał, ale jak wreszcie go kupił, nie posiadał się z dumy. Chcecie go zobaczyć?

– Nadal go pani ma?

Widzę, że Leo ucieszyła ta wiadomość. Oby się zbyt nie pośpieszył. A jeśli motocykl męża pani Russo nie nadaje się do użytku? W końcu ma już trochę lat.

– Oczywiście. Stoi w stodole. Chodźcie. Pokażę wam.

ROZDZIAŁ 22

LEO

Dopisuje nam szczęście. Nasza gospodyni rzeczywiście zachowała motocykl po mężu. Harley-davidson rocznik osiemdziesiąty siódmy, z raptem dwoma i pół tysiącem kilometrów na liczniku, stoi zaparkowany w stodole. Jest zakurzony i stoi pośród jakichś starych i zabytkowych, jak mniemam, maszyn rolniczych. Pani Russo zaoferowała się nam go pożyczyć. Jestem jej wdzięczny za tę propozycję, zwłaszcza że jest zapewne sporo wart, a ja nie posiadam przy sobie dużej ilości gotówki, by go odkupić. Oczywiście obiecuję, że zwrócę go w nienaruszonym stanie, i słowa zamierzam dotrzymać.

– Prawda, że jest piękny? – mówi Sofia i uśmiecha się do nas szeroko.

– Tak – potwierdza moja żona, czym mnie lekko zaskakuje.

Dotąd sądziłem, że nie przepada za mechanicznymi rumakami. A może przypadł jej do gustu ten konkretny model?

– I wygląda jak nowy – dorzuca po chwili, usuwając miękką ściereczką resztki kurzu z błyszczącego lakieru.

Okazuje się, że to naprawdę unikatowy egzemplarz i dopracowany w każdym calu. Chromowane felgi i rury wydechowe, czerwony metalizowany bak, czarne podwójne siedzenie z ćwiekami. A jak pięknie brzmi... Dla fana gatunku ryk jego silnika to prawdziwa muzyka dla uszu.

– Może mi chociaż zdradźcie, dokąd się wybieracie? – docieka pani Russo.

Jestem zdziwiony, dlaczego jeszcze nie zapytała, co zrobiłem z samochodem.

– Do Rzymu – kłamię na poczekaniu.

Dla jej własnego bezpieczeństwa będzie lepiej, jeśli się nie dowie, dokąd zmierzamy.

– Do Rzymu. – Z zadumą kiwa głową. – Leonardo i ja braliśmy ślub w Rzymie.

– Naprawdę? – Soni błyszczą oczy.

Wiem, o czym pomyślała. Też chciałyby wziąć ślub, prawdziwy, kościelny. Tak jak nasza gospodyni i jej mąż.

Nagle robi mi się jej żal, kiedy myślę o tym, jak powiem jej prawdę. Wcale nie miałem zamiaru zabrać jej do Rzymu, a jedynie do Werony, gdzie mieszka kilku moich dawnych znajomych. Jeden z nich był mi winien przysługę. Liczyłem, że nam pomoże. Ten człowiek, niejaki Adriano Valussi, oraz jego ludzie to towarzystwo pokroju zbirów Vasiljewa. Włoska mafia. Wierzę więc, że będą w stanie nas obronić przed rosyjskim oligarchą i jego świtą.

Słucham jeszcze przez chwilę opowieści pani Russo, a potem biorę Sonię za rękę i we troje opuszczamy stodołę.

– Powinniśmy się zdrzemnąć przed podróżą – mówię.

– Zdecydowanie – potwierdza staruszka. – O której zamierzacie wyjechać?

– O świcie.

– To pozwólcie, że już teraz się z wami pożegnam i pożyczę wam bezpiecznej podróży.

Sonia jest bardzo wzruszona. Nie poznaję jej. To już nie ta sama dziewczyna, z którą udałem się w rejs. Tamta rozkapryszona, widząca jedynie czubek własnego nosa dziewczucha zniknęła. Sonia się zmieniła. I pięknie jej po tej przemianie.

Patrzę, jak Sonia i Sofia się obejmują. Pomimo znaczącej różnicy wieku wyglądają jak najlepsze przyjaciółki. Ten widok chwyta mnie za serce, bo

nagle uświadamiam sobie, że Sonia nigdy wcześniej nie doświadczyła bezinteresowności od ludzi. Wychowywana przez tyrana, człowieka pozbawionego zasad, bezwzględnego i okrutnego, nie zaznała prawdziwej miłości ani nawet zwyczajnej ludzkiej serdeczności. Aż do dziś.

Kiedy kończą, obie mają łzy w oczach. Teraz kolej na mnie. Również obejmuję starszą panią i za wszystko jej dziękuję. Proponuję też zapłatę za wypożyczenie harleya męża, ale kategorycznie odmawia.

– Schowaj pieniądze, chłopcze – mówi, kiedy wyjmuję kilka banknotów z tylnej kieszeni dżinsów. – Mnie nie są potrzebne. Wam przydadzą się bardziej.

– Ale... – Dziwnie czuję się z myślą, że miałbym zwiększać zaciągnięty u niej dług. Już i tak sporo dla nas zrobiła.

– Bo się obrażę – ruga mnie, więc natychmiast chowam kasę. – A teraz zmykajcie do łóżka, gołąbeczki.

Nie mogę zmrużyć oka. Milion myśli zaprzęta moją głowę. Mam mnóstwo obaw, czy postępuję właściwie. Wiem, że ludzie, do których zamierzam wystąpić o pomoc, są niebezpieczni. Jedno potknięcie, jeden mały błąd, a cały mój plan może obrać zupełnie inny obrót. Nie boję się jednak o własne życie. Drzę z obawy o nią, moją żonę, której jestem winien bezpieczeństwo. Jako mąż muszę ją chronić, choćby własnym ciałem.

Spoglądam na Sonię śpiącą na moim ramieniu. Wygląda tak bezbronne. Wiem, że to tylko pozory, bo zrobiła w życiu wiele strasznych rzeczy. Ale dziś wiem także, że robiła to wszystko, bo była do tego zmuszana. Dokonywała tych strasznych rzeczy, żeby ocalić własne życie.

Wzdycham cicho i wysuwam się z jej objęć. Mruczy coś przez sen, ale na szczęście się nie budzi. Wstaję, ubieram się i opuszczam pokój. Mam jeszcze jedną ważną rzecz do załatwienia. Myślałem o tym przez pół długiej, nieprzespanej nocy. I wiem, że muszę to zrobić, bo obiecałem Soni, że jej pomogę.

SONIA

Leo zachowuje się inaczej – stwierdzam to zaraz po przebudzeniu. Nie mam pojęcia, co go trapi, ale wyraźnie widzę, że coś jest nie tak. Oczywiście kiedy pytam go o to wprost, zaprzecza. Zbývá mnie, a nawet kocha się ze mną, choć wcześniej mówił, że powinniśmy już się zbierać. Wiem, że robi to, by odciągnąć moje myśli od kłopotu, który mu wyraźnie doskwiera. Poddaję się temu całkowicie. Uwielbiam jego boskie ciało i czułość, jaką mnie obdarza.

Nasze usta złączają się w namiętym pocałunku, ręce błądzą po spragnionych pieszczot ciałach.

Wargi Leo suną już w dół po mojej szyi, po drodze muskając obojczyk, i docierają do oczekujących na pieszczoty piersi. Jęczę, kiedy mój mąż zaczyna je całować. Każdą z osobna, delektując się ich smakiem i przeciągając ten moment, przez co prawie doprowadza mnie do szaleństwa. Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że stałam się bardziej wrażliwa na to wszystko z powodu dziecka, które w sobie noszę.

– Leo...

Właściwie nie jestem pewna, czy to odpowiednia chwila, żeby mu o nim powiedzieć. Otwieram usta, jednak nie po to, żeby przemówić. Czynię to bezwiednie, głośno dając upust emocjom, które się we mnie kumulują. Jest mi tak cholernie dobrze, gdy mój mąż pieści mnie językiem coraz niżej, aż dociera do...

Moje reakcje chyba sprawiają mu olbrzymią przyjemność. Zdradza go mina, gdy wraca na górę i znów zaczyna mnie całować.

– Uwielbiam na ciebie patrzeć, gdy jesteś w takim stanie – mówi, wsuwając się we mnie do samego końca. – Uwielbiam sprawiać ci przyjemność – dodaje, poruszając się we mnie powoli, z namaszczeniem, jakby chciał tę chwilę przeciągnąć jak najdłużej.

– A ja uwielbiam ciebie – szepczę, wplatając palce w jego gęste włosy i przyciągając jego twarz do swojej. – I Kocham cię, Leo.

– A ja ciebie, moja najdroższa żono – odpowiada wprost w moje usta. – Nawet nie wiesz jak.

– Wiem – odpowiadam wzruszona jego wyznaniem i obejmuję go jeszcze ciaśniej, tak ciasno, że chyba bardziej się nie da.

Kiedy kończymy, dociera do mnie, że ten akt fizyczny różnił się od poprzednich, a przecież było ich całkiem sporo. Było dobrze, niesamowicie, jak zawsze zresztą, ale jednak inaczej. Nie umiem tego opisać, ale coś wyraźnie się zmieniło. Nie wiem tylko, czy powinnam się tym trapić. Całkiem wyraźnie czuję niepokój.

– A więc jednak nie jedziemy do Rzymu?

Czuję się zawiedziona. Właściwie nie wiem dlaczego, bo i nie wiem, na co tak właściwie liczyłam. Może sądziłam, że Leo ożeni się ze mną po raz kolejny, tyle że w tradycyjny sposób? Tak jak to zrobili Sofia i jej Leonardo...

– Nie. Może innym razem.

Nadal jest bardzo tajemniczy. Nie jestem pewna, czy coś się za tym kryje, może po prostu to sobie wmówiłam, ale niepokoję się jeszcze bardziej.

– Gotowa? – pyta, kiedy oboje siedzimy na motocyklu.

– Tak. Jedźmy już – odpowiadam, czując niezrozumiały smutek.

Kiedy opuszczamy posesję pani Russo, oglądam się za siebie. Czuję się naprawdę fatalnie z myślą, że mogłabym już nigdy tutaj nie wrócić. Żółć podchodzi mi do gardła i ledwie się powstrzymuję, by nie zwymiotować. Mdłości są koszmarnie, ale przestały mnie dziwić. W końcu jestem w ciąży.

Tuż przed wjazdem do miasta Leo zatrzymuje motocykl. Właściwie nie wiem, po co to robi, ale gasi silnik i zarządza postój. Jak dotąd, niezbyt chętnie nam na nie pozwalał.

– Co się dzieje? – pytam, zdejmując stary kask, jeden z dwóch, które wraz z harleyem pożyczyła nam Sofia. Nadal uważam, że wyglądam w nim jak postać z bajki albo aktorka grająca w jakimś oldskulowym filmie.

– Przejdźmy się – proponuje i podaje mi rękę.

A ja, choć początkowo patrzę na to z rezerwą, ostatecznie podaję mu dłoń. Czuję jednak dziwne podenerwowanie. Nie mam pojęcia, skąd się wzięło, ale towarzyszy mi od chwili, kiedy się obudziłam i kochałam ze swoim mężem.

– Co się dzieje, Leo? – pytam, bo jest dziwnie milczący.

To do niego niepodobne. On zawsze wie, co chce powiedzieć. I wciąż ma jakiś plan. Ale od wielu godzin nawet o nim nie napomknął. Stresuje mnie to coraz bardziej.

– Musisz o czymś wiedzieć – odzywa się nagle.

Może i muszę, ale nie wiem, czy chcę. Leo mnie przeraża.

– Zwłoki tej kobiety...

– Co z nimi? – przerywam mu natychmiast.

Mam coraz gorsze obawy.

– Upozorowałem wypadek – wyjaśnia. – A na koniec podpaliłem samochód, żeby zatrzeć ślady.

– To chyba... dobrze? – pytam niepewnie.

– Podłożyłem jej twój łańcuszek.

– Łańcuszek?

Początkowo nie rozumiem, o czym mówi. Potem jednak doznaję olśnienia. W dniu, kiedy poszłam na tę nieszczęsną imprezę, miałam mój ulubiony łańcuszek. To, że zniknął z mojej szyi, odkryłam dopiero, kiedy ocknęłam się na jachcie. Myślałam, że go zgubiłam. Teraz wiem, że to Leo musiał mi go zdjąć.

– Dlaczego?

Moje pytanie może nie jest aż tak oczywiste, ale Leo to naprawdę bystry facet, więc doskonale pojmuje jego sens.

– Na wypadek, gdyby w Weronie coś poszło nie tak.

Nie to chciałam usłyszeć.

– Boję się, Leo.

Wtedy dotyka mojej twarzy. Ciepło jego palców sprawia, że zamykam oczy. Jest mi tak dobrze. I czuję się bezpieczna. Ale tylko przy nim.

– Jeśli coś mi się stanie...

– Nie mów tak! – Szybko podnoszę wzrok. Widzę troskę w jego spojrzeniu, a zaraz za nią obawę. – Nic ci się nie stanie, słyszysz?! – Chwytam jego twarz w dłonie i zmuszam, żeby potwierdził. Robi to, choć niechętnie, jakby stracił wiarę.

Jestem przerażona. Nigdy się tak nie bałam, a to zła wróżba.

– Możemy jeszcze zmienić plany. Możemy uciec daleko stąd. Jeśli będzie trzeba, możemy stale uciekać – mówi szybko. To jest do niego zupełnie niepodobne. I oznacza, że sytuacja robi się naprawdę nieciekawa.

Potrząsam głową, czego Leo chyba nie umie zinterpretować.

– Nie, kochanie – szepczę, uparcie kręcąc głową.

On nadal nie wie o dziecku. A przecież z dzieckiem nie da się stale przed czymś uciekać. Ono wymaga opieki, spokoju i stabilizacji, a nie nieustających przeprowadzek, atmosfery strachu i oglądania się za siebie. Powinniśmy więc zaryzykować i zmierzyć się z nieuchronnym. Żeby mieć szansę na normalne życie, musimy stawić czoła mojemu ojcu.

– Wreszcie się doczekałem – słyszę z jego ust. Nie rozumiem, co chce przez to powiedzieć.

– Co masz na myśli?

Przyglądam się mu w skupieniu.

– Nazwałaś mnie „kochanym” – wyjaśnia łagodnie, rysując kciukiem kreskę na moim podbródku.

– Kocham cię, Leonardzie – mówię bardzo poważnym tonem.

Po raz kolejny w tak krótkim czasie wyznaję mu miłość. Chcę, żeby miał absolutną pewność, by zrozumiał, że dla mnie liczy się tylko on.

– Podejrzewałam to od dawna, sam zresztą wiesz – podkreślam, wracając wspomnieniami do dnia, kiedy powiedziałam mu to po raz pierwszy. Siłę się na lekki ton, choć w gardle mam gułę. – Ale odkryłam całkiem niedawno. A raczej nabrałam pewności – poprawiam się. – Wcześniej niczego nie byłam pewna. Wydawało mi się, że coś wiem, a potem szybko docierało do mnie, że niczego nie powinnam traktować serio. Zwłaszcza uczuć, które na ogół bywają takie zmienne. Ale teraz moje uczucie do ciebie jest jedynym pewnikiem w moim popierdolonym życiu.

– Nie mów tak.

– Jak?

– Twoje życie nie musi być do bani.

– Łatwo ci mówić. – Wzdycham.

– Wiem, co mówię – upiera się łagodnym tonem.

Ma rację. Przeszedł tak wiele, ale się nie poddał. Tyle że jego napędzała niewidoczna, mroczna siła. Nienawiść. Ta, którą do mnie czuł, sprawiała, że chciał dożyć kolejnego i kolejnego dnia. Tylko po to, by dokonać zemsty, by poczuć satysfakcję, że uczynił wszystko, aby pomścić ukochaną żonę i nienarodzone dziecko.

– Masz rację – przyznaję w końcu. – Przede mną długa droga, żeby nauczyć się żyć od nowa.

– Przyrzeknij mi właśnie teraz, że dasz radę – prosi, czym trochę mnie zaskakuje.

Znów nie jestem pewna, czego właściwie dotyczy jego nietypowa, owiana nutą tajemniczości prośba. Ale mam coraz gorsze przeczucia. Ta rozmowa staje się... *dziwna*.

– Przyrzeknij mi, kochanie, że nawet jeśli coś mi się przydarzy, poradzisz sobie i będziesz żyła dalej. Beze mnie.

– Nie! – Potrząsam głową. – Nie, Leo, nie zgadzam się.

– Soniu...

Znów zmusza mnie, żebym na niego spojrzała. Kiedy nie radzę sobie z sytuacją, uciekam wzrokiem. Boję się wtedy patrzenia w oczy.

– Obiecuj mi, że jeśli nie wyjdę z tego żywy, odjedziesz, nie oglądając się za siebie.

Jego słowa ranią mnie do tego stopnia, że nie potrafię zapanować nad łzami. Jak może mnie prosić o coś takiego? Przecież już wie, co do niego czuję...

– Nie płacz, tylko mi przyrzeknij – naciska łagodnie.

Unoszę powieki i spoglądam mu w oczy. Uwielbiam to spojrzenie. Jest w nim tyle troski, ciepła, miłości...

– Przyrzeknij, że nawet jeśli przyjdzie mi oddać za ciebie życie, ty pójdziesz naprzód – nalega, a ja rozklejam się jeszcze bardziej.

– Leo...

– Proszę, Soniu.

– Przyrzekam – chlapię już jak mała dziewczynka. – Ale ty też mi coś przyrzeknij.

– Obiecuję, że jeśli tylko zdołam, to przyrzeknę ci wszystko.

– Przyrzeknij, że nie dasz się zabić. Że wyjdziemy z tego oboje.

– Sonia... – wzdycha bezsilnie.

– Obiecałeś.

– Wiesz, jak to się nazywa? – Patrzy na mnie z niepewnym uśmiechem, który nijak ma się do okoliczności. – To zwykły szantaż.

– Wiem, ale nie pozostawiasz mi wyboru. Jestem w ciąży, Leo – wyznaję wreszcie. Nie jestem jednak pewna, czy dobrze mnie zrozumiał, bo ma dziwną minę, więc powtarzam: – Spodziewam się dziecka. I to ty jesteś jego ojcem.

Początkowo oczy zachodzą mu łzami, jakby nie do końca ucieszyła go ta nowina. Ale potem porywa mnie w ramiona i całuje – a więc jest szczęśliwy, tak samo jak ja! Bo pomimo *nieciekawych* okoliczności, w jakich się

znaleźliśmy, wieść o dziecku wprowadza nadzieję w moje dotąd popieprzone życie.

– Przyrzekam – mówi jeszcze i mocno mnie przytula.

ROZDZIAŁ 23

Dwa dni później...

LEO

Daję jej spluwę. Jest naładowana, tak jak moja. Czuję, jak dłoń Soni drży w mojej ręce. Wiem, że się boi. Ja również. Już dawno się tak nie stresowałem i nie byłem tak sparaliżowany strachem. Ostatni raz drżałem z niepokojem, gdy zaginęła moja żona. Potem przerażony byłem jeszcze tylko jeden raz, gdy musiałem pochować własne dziecko...

– Wiesz, jak jej używać? – pytam tylko na wszelki wypadek.

Sonia kiwa głową. Brakuje jej pewności. Nic dziwnego. Teraz jest odpowiedzialna nie tylko za siebie. W tej chwili musi chronić przede wszystkim życie naszego dziecka.

Oboje chowamy pistolety za paski do spodni, a potem ruszamy w stronę starego magazynu, w którym umówiłem się z Adriano. Widzę kilku jego ludzi. Na placu jest ich dwóch, ale ktoś jeszcze chyba kryje się w krzakach, a już na pewno paru z nich celuje do nas z dachów okolicznych budynków. Ryzyko jest olbrzymie, jednak w tej chwili nie ma już odwrotu.

– Leo! – słyszę wołanie. – Punktualny jak zawsze.

– Adriano. – Kiwam głową na powitanie.

Szczerzy zęby w uśmiechu. Wydaje się strasznie zadowolony z siebie. Ja mam trochę mniej powodów do radości. Przynajmniej na razie. Liczę, że wkrótce to się zmieni.

– To jest ta dziewczyna, o której wspominałeś? – Adriano patrzy na Sonię w taki sposób, że mam ochotę wyjąć pistolet i go zabić. Nie mogę jednak tego zrobić, bo zanim wyciągnąłbym splotkę, oboje, ja i moja żona, bylibyśmy już martwi. – Ładniutka – kwituje, a ja odruchowo zasłaniam ją własnym ciałem.

Rozmawiamy po włosku i cieszę się, że Sonia nas nie rozumie.

– Czego chcesz w zamian za ochronę? – pytam wprost.

– Jeszcze nie wiem – odpowiada Adriano, przygryzając wykałaczkę. Zawsze tak robi, gdy dobija targu. – Dziewczyna jest godna uwagi, więc może wystarczy, że spędzi ze mną noc.

– Wykluczone!

Nie jestem pewien, czy mnie tylko prowokuje, ale nawet jeśli próbuje mnie wkreślić, to i tak nie zamierzam przed nim udawać, że mógłbym mu na to pozwolić. Sonia to moja kobieta, żona, którą nie zamierzam się dzielić z żadnym innym facetem. Również z nim.

Adriano śmieje się perfidnie, a potem wypluwa wymemłany patyk pod nasze nogi. Robi się naprawdę nieciekawie.

– Więc co proponujesz? – pyta.

– Nie wiem. Pomyśl, czego ode mnie oczekujesz w zamian za pomoc. Zgodzę się na wszystko, ale dziewczyna jest nietykalna.

Adriano poważnieje, ale nadal nie spuszcza oczu z Soni. A ona? Czuję, jak drży. Jest przerażona, tak jak ja. Karolina miała na temat strachu własną teorię. Pamiętam, że raz, przed jakimś jej wyjazdem, zapytałem, czy nie boi się latać. Jej praca wymagała regularnych rejsów samolotem. Ja nienawidziłem latać i robiłem to tylko wtedy, kiedy nie miałem wyboru. Odpowiedziała mi wówczas, że bardzo się boi, i dodała: „Tylko głupcy się nie boją”.

Nie jestem głupcem. Nigdy nie byłem.

– Dobrze. – Adriano kiwa głową, pozerając Sonię wzrokiem. – Muszę zatem pomyśleć. Czekać na telefon.

– Ten człowiek mnie przeraża – mówi Sonia, kiedy wracamy do motelu, w którym wynajęliśmy pokój.

Nie mieliśmy zbyt dużego wyboru, więc wzięliśmy cokolwiek, byleby tylko zachować należyłą ostrożność. Tu, choć niemal nie było ciepłej wody, nikt nie prosił nas o dokumenty. Byliśmy więc względnie bezpieczni.

Po drodze krótko wyłuszczyłem przed Sonią istotę naszej rozmowy z Adriano, omijając niektóre szczegóły, o których nie musi wiedzieć.

– Spokojnie... – Głaszczę ją po policzku, a potem składam na nim pocałunek. – Adriano to facet, a ty jesteś piękną kobietą. Nic dziwnego, że zaproponował coś takiego. Ale Adriano, pomimo że uwielbia prowokować, to także człowiek honoru. Wierz mi, nie zrobi niczego głupiego.

Sam chciałbym w to wierzyć, ale nie mówię o tym Soni. Nie chcę jej martwić. Jest w ciąży i potrzebuje spokoju.

Myśl, że zostanę ojcem, jeszcze nie całkiem do mnie dociera. Nie posiadam się z dumy, choć jeszcze nie było okazji, by o tym szczerze porozmawiać z matką mojego dziecka.

– Chodźmy do łóżka – proponuje Sonia.

– Myślałem, że najpierw coś zjemy.

– Mam żołądek zawiązany w supeł, więc obawiam się, że niczego nie przełknę.

– Musisz jeść – mówię, obejmując ją i patrząc z miłością na jej śliczną buzię. – Teraz jesteś odpowiedzialna już nie tylko za siebie. Nie zapominaj o tym.

– Oczywiście, że nie zapominam, ale...

– Nie ma żadnego „ale” – uśmiecham się do niej ciepło. – Zamówimy coś i zjemy tutaj. Zadbam o was oboje. Mój syn musi wyrosnąć na zdrowego, silnego mężczyznę.

– Syn? – Sonia patrzy na mnie, a na jej ustach maluje się szeroki uśmiech, którego dotąd mi szczędziła. Nic dziwnego, stresowała się. – Skąd pewność, że spłodziliśmy właśnie syna?

– Mam przeczucie.

– Dobrze więc. Zamów już to jedzenie, bo mam *przeczuć*, że powinniśmy też skorzystać jeszcze z łóżka.

– Jesteś niemożliwa – śmieję się w głos, a potem porywam ją w ramiona i całuję.

SONIA

Tej nocy jestem bardzo niespokojna. Naprzemiennie zasypiam i budzę się zlna potem. Męczą mnie koszmary: śni mi się obecna sytuacja, poprzepłataną wspomnieniami z poprzednich lat. Być może za sprawą ciąży i zmieniających się hormonów stałam się szczególnie wrażliwa, ale każda z tych obaw czy wspomnień, o których wolałabym zapomnieć, dziś jest dla mnie prawdziwą torturą.

Bezszelestnie wychodzę z łóżka. Leo nadal śpi, a ja nie chcę go zbudzić. Jest przemęczony, chociaż wcale się nie skarży. Cały on. Człowiek ze stali, lecz o gołęmbim sercu. Powinien odpocząć, bo jeśli uda mu się dogadać z Adriano, w co pomimo wielu obaw staram się głęboko wierzyć, znów czeka nas podróż motocyklem, a to strasznie mnie wyczerpuje.

Nadal nie wiem nic na temat naszych dalszych planów. Nie mam pojęcia, dokąd pojedziemy, czy osiadzimy gdzieś na stałe, czy może – póki sytuacja się nieco nie unormuje – zatrzymamy się tylko na chwilę. Nie widzę przyszłości, a to mnie bardzo niepokoi.

Idę do łazienki. Liczę, że o tak nieprzyzwoitej godzinie – dochodzi piąta – z kranu popłynie wreszcie ciepła woda. O tej porze ludzie na ogół śpią, więc mam nadzieję, że zdołam opłukać lepiące się od potu ciało. Wchodzę pod prysznic, odkręcam kurek i wzdrygam się lekko, kiedy początkowo czuję chłód. Po chwili jednak woda staje się znacznie cieplejsza, więc oddaję się przyjemności płynącej z kąpieli. Nie zauważam, kiedy dołącza do mnie Leo. Staje za moimi plecami, a jego dłonie suną po moim ciele. Obejmuje mnie, zagarniając ciasno do siebie. Palce miękko ślizgają się po moim brzuchu, sięgając piersi. Wyginam się w łuk, czując niewyobrażalną roz-

kosz płynącą z tej subtelnej pieśczoży, a z moich ust wydobywa się cichy jęk. To dopiero początek: Leo pochyła się i całuje mnie w kark, zasysając wrażliwą w tym miejscu skórę. Przeszywają mnie dreszcze. Te jednak nie mają nic wspólnego ze strachem. Są wynikiem olbrzymiej przyjemności.

– Pragnę cię – słyszę tuż koło ucha.

– Jestem twoja – mówię, odwracając się w jego stronę i zarzucając mu ręce na szyję. – Calutka – dodaję, a potem wpijam się zachłannie w jego kuszące wargi.

Leo oddaje mi pocałunek, po czym chwyta mnie za pośladki, przyciska do ściany i wchodzi we mnie głęboko. Piszczę pod wpływem narastających doznań, a on odsuwa się ode mnie i uśmiecha leciutko. Kocha mnie najlepiej jak potrafi, tak jak lubię najbardziej.

– Adriano dzwonił.

Tak, czekałam na tę informację, ale teraz, kiedy dociera do mnie, że znów mamy się z nim spotkać, czuję strach. Ten facet jest przerażający. Typowy włoski mafioso. Widziałam w życiu wielu takich bandytów, mój ojciec jest jednym z nich, ale włoska mafia wydaje mi się wyjątkowo niebezpieczna i brutalna. To przecież tu, na tych ziemiach, utworzyły się pierwsze klany, to właśnie o nich krążą legendy, historie mrozące krew w żyłach, pełne okrucieństwa i bolesnej prawdy.

– Mamy spotkać się z nim dziś wieczorem – informuje mnie mój mąż.

– Wieczorem? – powtarzam po nim. Nie powinno mnie to dziwić, bo w tym chorym świecie interesy na ogół załatwia się po zmroku, ale mimo to narasta we mnie niepokój.

Leo kiwa głową. Też jest zmartwiony, choć lepiej się z tym maskuje niż ja. Cóż, stara się mnie chronić za wszelką cenę przed całym światem i złem.

– Pamiętasz, co ustaliliśmy?

Spoglądam na niego, ale nie odpowiadam. Wcześniej Leo wymusił na mnie obietnicę, że jeśli coś mu się stanie, ja, nie oglądając się za siebie, zrobię wszystko, by przeżyć. Złożyłam obietnicę, choć przyszło mi to z wielkim oporem. A teraz on znów mi o tym przypomina. Zupełnie jakby nie do końca dawał wiarę w moje złożone pod presją przyrzeczenie.

– Sonia?

– Tak, Leo. Pamiętam. – Wzdycham. – Ale nie przyjmuję tego do świadomości – dodaję, by postawić na swoim.

– Jesteś niemożliwa. – Obejmuje mnie i całuje w czubek głowy.

– Ile razy to jeszcze powtórzysz?

– Będę ci to powtarzał do skutku, bo to prawda – śmieje się, choć w jego głosie nie słyszę radości.

– A ty jesteś uparty. Jak osioł.

– I za to mnie kochasz. – Szczerzy do mnie zęby w uśmiechu.

– Nie tylko za to – odpowiadam, a potem wspinam się na palce i go całuję.

– Jesteś...

– Tak, wiem – przerywam mu.

Mam lepszy pomysł, jak spędzić resztę czasu, która nam pozostała do wieczornego spotkania.

ROZDZIAŁ 24

LEO

Na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się w porządku, ale jak dla mnie jest zbyt spokojnie. Wiem, że lokal, do którego zaprosił nas Adriano, należy do bardziej kameralnych i że bywa tu wyłącznie śmietanka towarzyska Włoch, ale ta cisza potęguje we mnie podejrzenia.

– Pamiętasz, co ci mówiłem? – Powtarzam się, ale wolę mieć pewność, że Sonia zrozumiała każde moje słowo.

Zerkam na goryla, który prowadzi nas do swojego szefa. Jest uważny i słucha, choć z Sonią rozmawiamy teraz po polsku. Liczę, że tego mało popularnego języka nie zrozumie.

Sonia patrzy na mnie oczami wielkimi z przerażenia. Nie odpowiada, tylko kiwa głową. Wyraźnie udzielił jej się mój strach, choć robiłem wszystko, żeby jej tego oszczędzić.

– Leonardo? – słyszymy po chwili, kiedy przechodzimy przez kolejne masywne drzwi pancerne. Na dźwięk głosu Adriano Sonia wyraźnie się spina. – Zapraszam. – Dziś zwraca się do nas po angielsku.

Podchodzimy do stolika, przy którym siedzi. Sonia jest blada, ale za wszelką cenę próbuje zachować kamienną twarz.

– Usiądźcie – mówi władczo Adriano, choć jego głos ma serdeczny ton. Widać, że wie, co robi, i że sprawia mu to niebywałą przyjemność. – Napijcie się czegoś? – proponuje, kiedy zajmujemy miejsca naprzeciwko.

– Dziękujemy – odpowiadam. – Dobrze wiesz, że nie przyszliśmy tu w celach towarzyskich.

– A szkoda – stwierdza, patrząc na Sonię.

Ściskam lekko jej dłoń, która przez cały ten czas spoczywa w mojej ręce. Nie reaguje, choć wiem, że wyraźnie to poczuła. Zachowuje się tak, jak ją o to prosiłem. Zero okazywania emocji, zero słabości. W tym świecie ujawnianie swoich słabych stron jest bardzo niepraktyczne, bowiem każdy drapieżnik – a Adriano zalicza się do tej kategorii – uwielbia polować. A polowanie wiąże się z adrenaliną i czerpaniem satysfakcji ze strachu swojej ofiary.

– Jaka jest twoja decyzja? – pytam, kiedy cisza się przedłuża i staje się nie do zniesienia.

– Mam złe wieści – mówi wówczas Adriano, a ja czuję na karku zimny pot. – Vasiljew jest już w mieście i za chwilę pewnie się tu zjawi.

– Ty pieprzony skurwysynu! – Sonia nie wytrzymuje.

Łapię ją w tali, kiedy zrywa się z krzesła i próbuje doskoczyć do Adriano.

– Uspokój się – mówię cicho.

Staram się brzmieć naturalnie, ale głos trochę mi się łamie. Tak cholernie się o nią boję.

– No, no, jaka temperamentna – odzywa się Adriano. – Naprawdę szkoda, że wczoraj nie doszliśmy do porozumienia. Może jeszcze udałoby się zatrzymać tę maszynę śmierci.

– Jesteś... – Sonia próbuje mi się wyrwać. – Łajdakiem! – Puszczają jej nerwy.

Adriano śmieje nam się prosto w twarz, a Sonia kolejny raz próbuje do niego doskoczyć. Ale nie pozwolę jej na nic. Ludzie Adriano tylko na to czekają. W kilka sekund przerobiliby nas na żarcie dla psów.

– Zdradziłeś nas? – pytam, siląc się na bezpretensjonalny ton.

– Nie – odpowiada poważnym głosem.

Wiem, że każdy szanujący się gangus nienawidzi słowa „zdrada”, dlatego używam go celowo, licząc na to, że może jeszcze zdołam coś wskórać, że Adriano zmieni zdanie i da nam ochronę.

– Więc dlaczego? – dociekam.

– Żeby uniknąć większych strat. Wiesz, że każda wojna wiąże się z olbrzymią stratą i licznymi ofiarami. Ta pochłonęłaby ich znacznie więcej. Od lat staram się żyć w zgodzie z Rosjanami. Po prostu nie wchodzimy sobie w drogę. Gdyby Vasiljew się nie dowiedział, że zwróciliście się do mnie z prośbą o wsparcie, pewnie zdołałbym wam jakoś pomóc. Ale ktoś z tutejszych musiał mu donieść. Znajdę go. I zabiję. Tyle mogę wam przyrzec.

– Co nam po twojej obietnicy?! – krzyczy wzburzona Sonia. – Miałeś nam pomóc, a nie składać nic nieznaczące przysięgi!

Adriano patrzy na nią w milczeniu. Jej pretensje drażnią go, ale póki co panuje nad sobą. Muszę szybko wdrożyć plan „B”, zanim Sonia zupełnie wszystko rozpieprzy.

– Ona musi żyć – mówię nagle, na co siedząca u mojego boku dziewczyna spogląda na mnie. I ja na nią zerkam, i w jej spojrzeniu widzę, że ma ochotę mnie udusić. – Nie zapominaj, że jesteś mi winien przysługę. – Nie omieszkuje mu o tym przypomnieć.

– Leo, do cholery!

Sonia jakimś cudem udaje się wyrwać rękę z mojej dłoni i wstać. Na szczęście nie ma już w niej nienawiści do przyglądającego się nam z zaciekawieniem Adriano. Tym, któremu ma teraz szczerą ochotę wydrapać oczy, jestem ja. Kiedy stoję obok niej, patrzy na mnie z dziką furją.

– Musisz mi pomóc. – Mimo wszystko zwracam się do Adriano. – Potrzebuję wsparcia. Trzeba odwrócić uwagę ludzi Vasiljewa od jego córki. Ona musi stąd wyjść. Cała i zdrowa.

– Czyś ty oszalał?! – Sonia wrzeszczy i zaczyna okładać mnie pięściami. – Oszukałeś mnie? – pyta nagle. Chyba lada chwila się rozplacze.

– Nie oszukałem. Po prostu musimy skorzystać z planu awaryjnego.

– Ale nie ma żadnego planu awaryjnego! – drze się na całe gardło. – Nie ma, słyszysz?!

– Czas – wtrąca się Adriano. – I decyzja, bo właśnie przyjechali.

SONIA

– Nie zgadzam się!

To się, kurwa, nie dzieje naprawdę! Leo albo postradał rozum, albo zadurzył sobie ze mnie w najbardziej okrutny sposób.

– Soniu? – Łapie mnie za ramiona i lekko mną potrząsa.

Nie wiem, na co liczy; że tyle wystarczy, bym wyłączyła emocje, które odbierają mi zdolność logicznego myślenia? Tak, mam wrażenie, że oszalałam.

– Posłuchaj mnie, kochanie...

– Nie mów tak do mnie! – rzucam mu prosto w twarz. – Gdybyś naprawdę mnie kochał, nie wymyśliłbyś czegoś tak... okrutnego!

– Z miłości do ciebie wymyśliłbym każde szaleństwo.

Wybucham płaczem. Dłużej nie dam rady powstrzymać nieuniknionego.

– Kochanie...

Leo mnie obejmuje. Nie jestem pewna, co się ze mną dzieje, ale czuję, jakby to robił ostatni raz. Nie wiem, które z nas drży bardziej, ale ta sytuacja sprawia, że żadne z nas już nie panuje nad emocjami. Leo jest mocno poruszony, a w jego oczach dostrzegam rozpacz. Opuszczam wzrok.

– Posłuchaj mnie. – Zmusza mnie, żebym na niego spojrzała. Odwracam głowę, bo nie mogę znieść tego widoku, ale on ujmuję mój podbródek i przyciąga ku sobie. – Musisz żyć. Dla mnie. Dla naszego syna.

– Jesteś pieprzonym egoistą, Leo – wyrzucam mu, a cały gniew, całą tę niemoc, nad którą nie udało mi się zapanować, kieruję tylko na niego.

– Możliwe. Ale cię kocham. I nie pozwolę ci umrzeć.

Wtedy za nami otwierają się drzwi. Stoję tyłem, więc nie wiem, co się dzieje, ale gdy dochodzi do mnie odgłos *tych* kroków, nie mam już wątpliwości. W dodatku ten zapach... Ciężkie piżmowe perfumy i dym kubańskiego cygara. To zapach okrucieństwa. Rozpoznaję go natychmiast, bo towarzyszy mi od wczesnego dzieciństwa.

– Naprawdę byliście tak naiwni, że sądziliście, iż zdołacie przede mną uciec? – słyszę za plecami. – Sądziłem, że jesteś mądrzejsza, córko.

Odwracam się, choć Leo próbuje mi zastąpić drogę. Nie pozwalam mu jednak. Ja też mam plan awaryjny.

Spoglądam z nienawiścią na ojca, który stoi naprzeciwko mnie w towarzystwie kilku goryli. To nie armia, jakiej się spodziewałam, raptem paru kolesi, z którymi ludzie Adriano poradziliby sobie bez większych problemów. Nie rozumiem, dlaczego nie chciał nam pomóc.

– Pozwól nam odejść – zwracam się do ojca, czując, jak serce podchodzi mi do gardła.

W odpowiedzi słyszę tylko jego głośny, donośny śmiech.

– Jesteś śmieciem – warczę przez zaciśnięte zęby.

Moje słowa działają na niego jak kubek zimnej wody. Nigdy się tak do niego nie zwracałam, ani razu nawet nie podniosłam głosu. Aż do dziś. Dzisiaj nie jestem w stanie nad sobą zapanować, bo stawką w tej nierównej grze jest życie ukochanego mężczyzny.

Ojciec natychmiast milknie, choć nie wykonuje żadnego ruchu. Nie wyjmuję spluwy, żeby nas rozpieprzyć. Nie, nie on. On nie lubi takich prostych, banalnych zabaw. On kocha adrenalinę i okrucieństwo. Zabicie nas jednym strzałem byłoby zbyt proste.

– Sonia? – Leo łapie mnie za ramię, ale odtrącam jego rękę.

– Jesteś łajdakiem. – Patrzę ojcu hardo w oczy.

Nigdy, przez całe swoje życie, nie zwróciłam się przeciwko niemu. Robiłam wszystko, co mi nakazywał. Ale tym razem, kiedy na szali znajdowało się nie tylko moje życie i życie mojego dziecka, lecz także życie ukochanego mężczyzny, nie potrafiłam dłużej siedzieć cicho.

– Zamilcz! – odzywa się wreszcie mój ojciec.

– Sonia! – Leo po raz kolejny próbuje opanować sytuację, ale ja nie zamierzam się poddawać. Może liczę na cud, choć wiem, że cuda nigdy się nie zdarzają, ale muszę spróbować.

– Jesteś nic nieznaczącym zerem – cedzę przez zęby, patrząc w zmrużone, pełne nienawiści oczy ojca. – Pieprzonym gównem, szambem, które zatruwa ten świat.

– Sonia!!!

Nie boję się, kiedy ojciec wyjmuje spluwę. Ja swoją wyjęłam zza paska chwilę przed nim. Wiem, że to już koniec, więc pierwsza oddaję strzał.

Emocje i cała ta sytuacja najwyraźniej mnie przerosły, bo chwilę po tym, jak wymierzyłam pistoletem prosto w jego serce, a następnie strzeliłam do własnego ojca, musiałam zemdleć. Teraz czuję, jak ktoś mnie cuci, klepiąc po policzkach. Powieki mam ciężkie jak z ołowiu, ale myśląc o Leo, zmuszam się, by je dźwignąć. W głowie mi wiruje, a obraz wydaje się rozmyty, ale słyszę całkiem dobrze. Kilka głosów zwraca się do siebie po włosku. W tle nie słychać żadnej strzelaniny.

– Leo?! – Zrywam się z podłogi, a gdy to robię, wydaje mi się, że zaraz ponownie upadnę.

Wtedy go zauważam. Siedzi wsparty plecami o ścianę nieopodal mnie, w kałuży własnej krwi.

– Najdroższy... – Rzucam się w jego stronę, a w głowie wiruje mi tak, jakbym była pod wpływem alkoholu albo jakichś prochów.

Uśmiecha się, cały Leo, choć sytuacja wygląda tragicznie. Jest ciężko ranny. Na jego ciele widzę kilka ran postrzałowych. Rozdarte ramię, poszarpane udo, krew tryskającą z rany w brzuchu, a on próbuje uciskać to miejsce jedną dłonią.

– Kochanie... – Kucam obok niego i drżącymi dłońmi obejmuję jego twarz. Przymyka oczy, kiedy go głaszczę. Jest taki nienaturalnie blady... Przeraza mnie widok jego mętnych oczu.

Rozglądam się dookoła w panice. Widzę ludzi Adriano, a także kilka ciał, w tym ciało tego zwyrodnialca, mojego ojca. Nigdy nie sądziłam, że zginie z moich rąk, a dziś żałuję, że czekałam z tym tak długo. Kiedy ży-

łam w jego cieniu, gdy pozwalałam, żeby robił te wszystkie straszne rzeczy innym ludziom, brakowało mi odwagi, by sięgnąć po broń i zakończyć to raz na zawsze. Teraz żałuję, że wystarczyło mi jej dopiero dziś.

– Pomóżcie mi – zwracam się po angielsku do Włochów.

Chyba mnie nie rozumieją, bo w żaden sposób nie reagują, a ja niestety nie znam włoskiego.

– Sonia? – odzywa się Leo.

Spoglądam na niego. Mocno krwawi, więc muszę się pospieszyć.

– Posłuchaj mnie – mówi słabym, cichutkim głosem.

Nie zamierzam go słuchać, bo boję się, że usłyszę coś, co zupełnie złamie mi serce.

– Adriano, proszę, pomóż mi – błagam mężczyznę w czarnej koszuli i eleganckich spodniach, który zjawia się w drzwiach.

– Soniu, kochanie...

Nie słucham go. Zamierzam błagać Adriano o pomoc.

– Adriano, proszę...

Głos mi drży, a do moich oczu napływają łzy, przez co obraz staje się rozmyty, niewyraźny. Adriano staje z innymi mężczyznami. On, w przeciwieństwie do swoich ludzi, rozumie mnie, jestem tego pewna. Liczę więc, że mnie posłucha i zechce mi pomóc.

– Musimy wezwać pomoc. – Jestem zrozpaczona i nawet nie staram się tego ukryć. – Musisz mi pomóc. Zrobię co zechcesz, tylko mi pomóż. Błagam... – chlipię.

– Adriano? – odzywa się Leo, więc znów przenoszę na niego wzrok. Jest z nim coraz gorzej, słabnie z każdą sekundą. – Zabierz ją stąd.

Spoglądam na zbliżającego się do mnie z wolna gangstera. Nie wydaje się mieć złych zamiarów, ale ja nie zamierzam z nim nigdzie iść.

– Nie ma mowy – odpowiadam, odruchowo sięgając za pasek do spodni. Zapominam tylko, że pistoletu, z którego zabiłam ojca, już tam nie ma. Więc gdzie jest teraz? Musiał wypaść mi z ręki, gdy zemdlałam.

Spoglądam na Leo. Jego spluwa leży obok niego, w czerwonej, lepkiej kałuży. Chwytam ją i celuję w zbliżającego się Adriano.

– Ani się waż! – warczę.

Dygoczę na całym ciele, ale jestem pewna, że jeśli postąpi choćby jeden krok do przodu, zastrzelę go z zimną krwią. Na szczęście się zatrzymuje.

– Kochanie... – Głos Leo jest coraz cichszy, a on wygląda, jakby lada moment miał zasnąć. – Musisz już iść. Za chwilę zrobi się tu gorąco.

– Nigdzie się bez ciebie nie wybieram! – odpowiadam, a potem próbuję go podnieść. Brakuje mi jednak sił, a żaden z tych osiłków nie zamierza mi pomóc. Na Adriano także nie mam co liczyć. Nie wiem, co robić. – Musimy się stąd wydostać i jechać do szpitala. – Kiedy to mówię, słowa więzną mi w gardle.

– Kolejni ludzie Vasiljewa wjechali na parking – mówi spokojnym głosem Adriano. – Musimy się pospieszyć.

– Nie zbliżaj się, bo cię rozpierdołę! – krzyczę na całe gardło.

W tej chwili nie jestem pewna, czy uda mi się go trafić, bo ręce trzęsą mi się tak bardzo, że nie jestem w stanie utrzymać prosto pistoletu.

– Sonia... Sonia, kochanie... – Leo mi tego nie ułatwia. – Musisz iść...

– Nie, najdroższy. Nie zostawię cię tu.

Przed oczami natychmiast jawią mi się dantejskie sceny. Wiem, co mu zrobią, jeśli go tu zostawię. To bezwzględni ludzie, żądni zemsty, tacy sami jak ich nieżyjący już szef. Doskonale znam metody ich działania.

– Pomogę ci – mówię, po raz kolejny próbując go dźwignąć. Bez skutku. – Daj sobie pomoc – dodaję cicho. Czuję się bezradna. Leo nie dość, że jest dla mnie zbyt ciężki, to jeszcze brakuje mu sił, żeby współpracować. Stracił tak wiele krwi. Zbyt wiele...

Nagle chwyta moją rękę, tę, w której trzymam pistolet, kieruje lufę prosto w swoje serce.

– Co robisz? – piszczę i próbuję wyrwać dłoń z jego uścisku.

Zaskakuje mnie siła, z jaką trzyma moją rozdygotaną rękę.

– Ono dla ciebie zabiło od nowa, choć przez lata wydawało się martwe.–
Leo mówi głosem tak pewnym i opanowanym, jakby nic mu nie dolegało.
– I dla ciebie wyda ostatnie tchnienie, i zabije po raz ostatni.

– Nie, Leo...

– Nie ma innego wyjścia, kochanie. Byłaś najpiękniejszym, co mnie spotkało w tym ciężkim czasie. Ale teraz musimy się rozstać. Jeśli Bóg istnieje naprawdę – zamyśla się na moment, a ja widzę, jak jego wzrok mętnieje jeszcze bardziej. – To się jeszcze spotkamy. Obiecuję, że cię znajdę. Choćby za tysiąc lat. A teraz pociągnij za spust...

– Dłużej ich nie zatrzymamy – słyszę za sobą głos Adriano.

– Obiecałaś mi – mówi Leo. Przez jego głos przebija się pretensja. – Przymknij oczy, że nawet jeśli przyjdzie mi oddać za ciebie życie, ty pójdziesz naprzód. Dotrzymaj słowa.

– Leo, kochany... – Nie jestem w stanie powiedzieć nic więcej. Przelykam łzy, a potem go całuję. Po raz ostatni.

– Do zobaczenia, najdroższa.

Właściwie nawet nie wiem, kto pociąga za spust...

EPILOG

Rok później...

– Gotowa? – Sofia staje w drzwiach mojej sypialni.

– Za chwilę – odpowiadam, zerkając na śpiącego Leo.

Wygląda tak błogo, tak niewinnie. Nie umiem się z nim rozstać. Po prostu jeszcze nie przywykłam do tej myśli. Dziś ma być ten pierwszy raz i czuję się z tym wyjątkowo nieswojo. Poprawiam mu koc, naciągając go odrobinę wyżej na jego ramiona, a potem wychodzę, zostawiając uchylone drzwi.

– Motocykl już czeka przed domem – mówi Sofia, zniżając głos do szeptu.

– Dziękuję.

Nieustannie zadaję sobie pytanie, skąd w tej kobiecie bierze się ta nadludzka siła. Pewnego razu zapytałam ją o to wprost. Uśmiechnęła się wówczas i powiedziała, że my, kobiety, mamy więcej sił niż niejeden facet. Że w imię miłości jesteśmy w stanie zrobić coś, co wydaje nam się niemożliwe. Ona sama z miłości do męża, który tak bardzo kochał motocykle, nauczyła się prowadzić jego harleya. To właśnie wtedy zdecydowałam, że ja również nauczę się porządnie jeździć.

Tamtej nocy, o własnych siłach i w dodatku w jednym kawałku, wróciłam motocyklem z Werony do Florencji. Nie musiałam nikomu niczego udowadniać, ale bardzo chciałam to zrobić – dla siebie. Chciałam uwie-

rzyć, że jestem w stanie podjąć każde, nawet najtrudniejsze wyzwanie. Zrobiłam to również dla Leo. Wiem, że byłby ze mnie dumny.

– Sonia, skarbie, zaczekaj – słyszę za sobą głos Sofii, kiedy ruszam w dół schodów.

– Tak? – zastanawiam się, o czym tym razem zapomniała.

Ostatnio trochę dziwnie się zachowuje. Jest roztargniona bardziej niż zwykle. Może to kwestia wieku, a może emocji, bo za kilka dni mija rocznica śmierci Leo.

– Mam coś dla ciebie – mówi i wyjmuję z kieszeni kwiecistego fartuszka lekko pożółkłą kopertę.

– Co to? – pytam, spoglądając na słowo zapisane na kopercie. To moje imię.

Zerkam na patrzącą na mnie z lekkim niepokojem Sofię, a potem jeszcze raz na odręczne pismo. Rozpoznaję ten charakter – jest jego. Widziałam go raz, na odwrocie portretowego zdjęcia jego i jego żony, które znalazłam w książce.

– Kazał ci go przekazać rok po... – Sofia nabiera wody w usta, a następnie przekazuje mi kopertę i przygląda mi się badawczo. – Nie wiedziałam, kiedy będzie właściwy moment, żeby ci go wręczyć, ale pomyślałam, że chyba powinnam oddać ci go właśnie teraz. Może razem go przeczytacie?

Wielka klucha staje mi w gardle, więc tylko kiwam głową.

Na odchodne ściskam leciutko Sofię, a potem wychodzę przed dom i spoglądam w niebo. Przez łzy uśmiecham się na widok słońca i kilku małych obłoczków, które płyną beztrudnie po nieskazitelnej лазurze.

– Kochany... – szepczę, przytulając list do piersi.

Minał rok, odkąd nie ma go tu ze mną. Czas tak szybko płynie. Ale ja nadal pamiętam... Jego zapach. Smak jego ust. Dotyk rąk...

Spuszczam głowę i obejmuję się ciasno ramionami. Tak bardzo mi go brakuje.

Do cmentarza Evangelico agli Allori jest niedaleko, więc dojeżdżam tam w trzy kwadransy. Harley-davidson należący do Sofii spisuje się bez zarzutu, więc na trasie nie przytrafiają się mi żadne przykre niespodzianki. Nie szarżuję na drogach, ale i tak przykuwam uwagę gapiów, zwłaszcza mężczyzn, dla których widok kobiety na motocyklu jest chyba dość niecodzienny.

Parkuję nieopodal cmentarza. Gaszę silnik, zdejmuję kask i chowam go do kufra, a potem idę w stronę straganiarzy, by kupić kwiaty. Bukiet czerwonych róż. I jedną białą. Czerwone są oznaką mojego niegasnącego uczucia do Leonarda, a biała symbolicznie oznacza rok, od którego odliczam dni do naszego kolejnego spotkania. Zapewne przyjdzie mi jeszcze trochę poczekać, zanim to nastąpi, ale wierzę, że kiedyś, choćby za tysiąc lat, odnajdziemy się na nowo.

Droga do jego mogiły zajmuje mi chwilę. Leo pochowano na samym obrzeżu, żeby grób aż tak bardzo nie rzucał się w oczy. To zasługa Adriano. Ten facet, tak jak zapewniał Leo, a w co ja nie chciałam wierzyć, okazał się wyjątkowo honorowy. Po wielu tygodniach od tamtej strasznej nocy spotkał się ze mną. Wzbraniałam się, bo zwyczajnie nie chciałam mieć z tym człowiekiem nic wspólnego, ale wydawał się taki przekonujący... Powiedział mi wówczas, że jeśli ja nie przyjadę do niego, on odwiedzi mnie na farmie Sofii.

Postanowiłam spełnić jego żądanie i dobrze, że to zrobiłam. Wiele mu zawdzięczam. Dzięki jego wpływom oficjalnie uznano mnie za zmarłą, choć we wraku, którym osobiście zajął się Leo, znajdowały się zwłoki innej kobiety. Adriano zadbał o to, by wiadomość o mojej śmierci odbiła się szerokim echem i by w końcu zapomniano o córce zdrajczynie pewnego wpływowego oligarchy.

Adriano opowiedział mi o tym wszystkim podczas naszego spotkania. Tym jednak, co odjęło mi z ramion część ciężaru, była informacja, że ciało mojego ukochanego Leonardo nie zostało wrzucone do dołu wraz z innymi zwłokami. Leo został pochowany w tradycyjny sposób – na cmentarzu, na

którym właśnie się znajdowałam – co w mafijnym świecie zdarza się nad wyraz rzadko.

Podziękowałam Adriano i zapytałam, czego oczekuje w zamian, zdając sobie sprawę, że wobec takich ludzi lepiej nie mieć żadnych długów. Ale on odparł, że nie jestem mu nic winna. Nie naciskałam więc. Tak było lepiej. Od tamtej pory go nie widziałam i nie zamierzałam już nigdy więcej oglądać. Zerwałam z dawnym życiem raz na zawsze.

Wreszcie stoję nad grobem Leo. Na głównej płycie znajduje się tylko imię. Wiem, to dziwne, ale wiem, że Leo pragnął dla nas bezpieczeństwa.

– Witaj, ukochany – szepczę i na mieniącej się w słońcu płycie kładę pęk róż. – Tak bardzo za tobą tęsknię – dodaję, nie umiając powstrzymać łez napływających do oczu.

Wyjmuję z kieszeni list, który dała mi Sofia. Drżącymi palcami rozrywam kopertę i ostrożnie chwytam za brzeg kartki. Jestem tak bardzo wzruszona i jednocześnie zdenerwowana, że mam problem z jej rozłożeniem.

Kiedy w końcu udaje mi się jakoś zapanować nad drżeniem rąk, spoglądam na znajomy kształt pisma.

Najdroższa Soniu,

jeśli Sofia dotrzymała słowa, a wierzę, że tak jest, to dziś mija równo rok, gdy widzieliśmy się po raz ostatni. Chciałbym powiedzieć, że bardzo za Tobą tęsknię, bo wierzę, że przejście na drugą stronę nie oznacza końca, a jedynie nowy, lepszy początek. Ufam, że jeszcze się kiedyś odnajdziemy.

No już, nie płacz, kochanie, przecież dałem Ci słowo.

– Cholera, Leo – mówię cicho. – Jak ty mnie dobrze znasz.

Wierzę, że skoro czytasz ten list, to jesteś bezpieczna i że nic nie zagraża Twojemu życiu ani życiu naszego syna. Leo jest już pewnie dużym chłopakiem i założy się, że daje Ci w kość.

– Skąd wiedziałeś? – pytam, ścierając łzy z policzków. – I skąd ta pewność, że nazwałam go twoim imieniem? – śmieję się, pociągając nosem i wyobrażając sobie jego minę. Leo pewnie byłby z siebie rad.

Przekaż mu kiedyś, jak dorośnie na tyle, by zrozumieć, że byłbym dumny, gdybym mógł uczestniczyć w jego życiu. O niczym innym tak nie marzyłem, jak o tym, żeby móc go zabrać na ryby i nauczyć jeździć na motocyklu. Ale niestety nie mogę. Ty to za mnie zrobisz, prawda, najdroższa?

Uśmiecham się, przypominając sobie nasze wędkowanie i podróże motocyklem. Te wspomnienia są takie prawdziwe, takie żywe...

Ukochana, pragnę jeszcze raz przeprosić Cię za to, w jaki sposób pojawiłem się w Twoim życiu. Jak pewnie sama wiesz, sytuacja nam nie sprzyjała, a i Ty nie pomagałaś. Dlatego wybac mi. Naprawdę nie chciałem Cię skrzywdzić. Byłem zaślepiony chęcią zemsty, ale na szczęście szybko zrozumiałem, że to nie na Tobie powinien skupiać się mój gniew. Mam nadzieję, że mi wybaczyłaś, bo na szczęście w porę się opamiętałem. To zresztą Twoja zasługa. Masz wielkie serce i otworzyłaś je właśnie dla mnie. Szkoda, że nie mogłem zostać w nim na dłużej.

– Bzdury gadasz! – fukam, pociągając nosem. – Zostaniesz w nim na zawsze.

Wiem, że żaden ze mnie książę z bajki, ale cieszę się, że niczym rycerz w lśniącej zbroi wprowadziłem Cię i że udało mi się pomóc Ci wyrwać się ze świata, który tak bardzo Cię krzywdził i ograniczał. Ty, moja ukochana Soniu, zasłużyłaś na lepsze życie. Teraz musisz jeszcze nauczyć się żyć po swojemu tak, żeby sprawiało Ci ono przyjemność. Więc żyj, najdroższa. Żyj pełną piersią. Nie oglądaj się za siebie, tylko rozpychaj się łokciami i spełniaj swoje cele i marzenia. Nawet te najbardziej nieprawdopodobne.

Do zobaczenia za tysiąc lat.

Twój Leo

Wielkie krople gorących łez spadają na trzymaną w dłoniach kartkę. Patrzę jeszcze przez chwilę na rozmywające się litery, a potem na powrót składam list na cztery i umieszczam go w kopercie. Przyciskam ją jeszcze do serca, zanim zniknie w mojej kieszeni.

Spoglądam na kwiaty, na dłuższą chwilę zatrzymując wzrok na białej róży. Wzdycham cichutko i wierzchem dłoni ścieram łzy z policzków, a potem wyjmuję z wewnętrznej kieszeni fotografię. To zdjęcie Leo i jego pierwszej żony. Nie jestem już o nią zazdrosna. Stawiam ich portret na jego grobie. Teraz znów są razem. Właściwie to chyba nawet się cieszę, że Leo nie jest tam sam. Bo samotność jest najgorszym, co może człowieka spotkać w życiu.

Kilka lat później...

– Leo, nie! – krzyczę w ślad za synem, który mnie w ogóle nie słucha.

Jeśli myśli, że pozwolę mu wsiąść na ten skuter, to grubo się myli. Jest na to za młody, a ja bardzo się o niego boję. Nie chcę go stracić, bo po tym, jak Sofia odeszła, został mi już tylko on.

– Do cholery, stój! – wrzeszczę, bo Leo wybiega z domu, zatrzaskując mi drzwi przed nosem. Wiem, że przekleństwa to nie jest sposób na wychowanie dziecka, i lepiej, żeby mój syn nie brał ze mnie przykładu, ale teraz mam gdzieś świecenie przykładem, jeśli miałoby coś mu się stać. – Natrę ci uszu, ty mały nicponiu! – wołam, biegnąc w ślad za nim.

Kiedy otwieram drzwi, wpadam na mężczyznę w średnim wieku. Wygląda na tutejszego. Ma ciemne włosy, poprzepłatane srebrnymi nitkami siwizny, ciemną karnację i okulary na nosie. Jest ubrany na czarno, co odróżnia go od innych turystów, którzy na ogół chodzą w bardziej stonowanych kolorach. Jednakże może być przyjezdny, przecież o tej porze roku przybywają do nas tłumy.

Mężczyzna zdejmuje okulary i spogląda na mnie przenikliwie. W jego spojrzeniu jest coś, co wydaje mi się znajome.

– Jakieś kłopoty? – pyta. – Chętnie pomogę.

Kiedy słyszę jego głos, brakuje mi tchu w piersiach.

– To ty...

*Chciałabym móc powiedzieć: żegnaj
Powiedziałabym to, co chciałam
Może nawet bym za tobą zapłakała
Gdybym wiedziała, że to będzie ostatni raz
Złamałabym moje serce na pół
Próbując ocalić część ciebie*

*Nie chcę czuć innego dotyku
Nie chcę wzniecać innego ognia
Nie chcę znać innego pocałunku
Żadne inne imię nie wypłynie z moich ust
Nie chcę oddawać mojego serca innemu obcemu
Albo żeby kolejny dzień się rozpoczął
Nie wpuszczę nawet światła słonecznego
Nie, nigdy więcej nie pokocham
Nigdy więcej nie pokocham^[4].*

PODZIĘKOWANIA

Drodzy Czytelnicy! Mam nadzieję, że historia Soni i Leo skradła Wasze serca. Wierzę, że wybaczycie mi tych kilka... hm, qtasów. Takie określenia są zupełnie nie w moim stylu, ale sądzę, że ich nie nadużyłam. Czasem trzeba się przełamać, żeby nie zostać zaszufadkowanym. Dziękuję, że ze mną jesteście!

Dziękuję mojemu kochanemu mężowi. <3 Twoje wsparcie i POMOC są dla mnie najcenniejsze.

Całemu Wydawnictwu Luna serdecznie dziękuję za zaufanie! Dziękuję także wszystkim redaktorkom, dzięki którym ta książka zaistniała.

Dziękuję moim przyjaciółkom – Ani i Iwonce. Cieszę się, że Was mam, nie tylko w tym książkowym świecie.

I wszystkim, dla których moje książki coś znaczą...

DZIĘKUJĘ!

Wasza Kasia Mak

PRZYPISY

[1] A. Ratiere, H. Lee Lindsey, N. Hemby, S. Germanotta, *I Will Never Love Again*, wyk. Lady Gaga, Lyric Find, © BMG Rights Management, Concord Music Publishing LLC, Sony/ATV Music Publishing LLC, Universal Music Publishing Group, Warner Chappell Music, Inc.

[2] (wł.) *Sto lat*.

[3] (wł.) Dzień dobry.

[4] A. Ratiere, H. Lee Lindsey, N. Hemby, S. Germanotta, *I Will Never Love Again*, tłum. Roguee, dostęp: https://www.tekstowo.pl/piosenka,lady_gaga,i_8217_ll_never_love_again.html [data dostępu: 19.01.2023]